

PO PIERWSZEJ TURZE WYBORÓW

Gra o prezydenturę.
Analizują Semka, Warzecha i Sommer



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 22/631 26 MAJA–1 CZERWCA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

O matkach, które robią biznes
na swoich dzieciach



Dyskretny zapach
bardzo drogich perfum

PIOTR GONTARCZYK PIĘTNUJE SKANDAL

NAGRODA ZA ANTYPOLONIZM

Barbara Engelking
szefem Rady Muzeum
Auschwitz-Birkenau



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 43 500 egzemplarzy

Drase, 100 Cal 40157

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Idziemy na giełdę,
by budować jeszcze
mocniejsze, niezależne
medium.”*

Lisicki

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.

Wreszcie mamy siły antyunijne



PAWEŁ LISICKI

Kłęska obozu rządowego, zachwianie pozycji duopolu PO-PiS, ogólne przesunięcie sympatii społecznych w prawo i pojawienie się w polityce silnych tendencji antyunijnych – to najważniejsze wnioski, jakie można wyciągnąć z pierwszej tury wyborów prezydenckich w Polsce.

Co do pierwszego punktu nie mają wątpliwości nawet tacy zwolennicy obozu liberalno-lewicowego jak Jacek Żakowski, który to stwierdził, że w każdym normalnym państwie demokratycznym premier, którego obóz dostałby taki łomot w wyborach, podałby się do dymisji. Nie jesteśmy jednak w normalnym państwie demokratycznym, tylko w państwie demokracji walczącej. Nie tylko, że nie obowiązują w nim obyczaje, a tylko z tego powodu mógłby myśleć o rezygnacji szef rządu, ale nawet, co jest rzeczą o wiele gorszą, nie obowiązują przepisy prawa. Jak publicznie przyznawało to wielu urzędników, na czele z ministrem Adamem Bodnarem, najpierw władza podejmuje określone działania, w tym przypadku przede wszystkim wymierzone w opozycję, a potem szuka dla nich właściwej, to jest wydumanej, podstawy prawnej.

Niezależnie wszakże od tego, że ostatniej rzeczy, której spodziewam się po Donaldzie Tusku i jego nieudacznikach, jest przyznanie się do winy i wyciągnięcie konsekwencji, a więc oddanie władzy, rzeczywistość jest taka, jaka jest. Za kandydatami rządowymi głosowało ledwo 40 proc. Polaków. Za przedstawicielami szeroko rozumianej opozycji, przede wszystkim prawicowej, grubo ponad połowa.

Co to zatem oznacza w praktyce? Sądzę, że pierwszą reakcją będzie wzrost agresji. Od samego początku, a więc od chwili, kiedy to pierwszy raz złamali prawo,

sprawa rządzenia przestała być dla nich kwestią pragmatyczną i polityczną, a stała się kwestią egzystencjalną. Dziś stracić władzę dla tuskowców oznacza gotować się na prawdziwe, a nie wymyślone, rozliczenia. To zaś musi obudzić w nich strach i gniew. Nic dziwnego zatem, że większość propagandystów władzy mówi o zagrożeniu faszyzmem, o zwycięstwie skrajnej prawicy i o hydrze antysemityzmu.

Czy mamy do czynienia z chwilowym paroksyzmem wściekłości czy z początkiem procesu dekompozycji i rozpadu – to zależy od wyniku drugiej tury. W przypadku zwycięstwa Karola Nawrockiego rządy Tuska skończą się w ciągu kilku miesięcy. Coraz większa liczba stronników uśmiechniętej koalicji będzie rozumieć, że znalazła się na tonącym okręcie, i – jak to zwykle bywa – będzie chciała (stała przypadłość szczurów) jak najszybciej z niego uciec.

Aw przypadku zwycięstwa Rafała Trzaskowskiego (mam nadzieję, że do niego nie dojdzie)? Cóż, jestem pewien, że żaden pozytywny przełom nie nastąpi. Ewentualne zwycięstwo Trzaskowskiego jedynie nasili te procesy, które i tak ostatecznie wysadzą obóz Tuska w powietrze. Przyspieszy masowa imigracja, szybciej i głupiej będzie wprowadzany Zielony (a może czysty?) Ład, unijny zamordyzm będzie szalał, a Polacy po raz pierwszy staną w obliczu przywrócenia cenzury i represji za korzystanie z wolności słowa. Jeśli kilkanaście miesięcy rządów liberalnych autokratów spowodowało wzrost poparcia dla różnych sił prawicowych do niebywałego wcześniej poziomu, to można być pewnym, że opór będzie narastał.

Co więcej, jak wyraźnie widać, aż 21 proc. wyborców zagłosoowało za siłami – mam tu na myśli tak Konfederację Sławomira

Mentzena i Krzysztofa Bosaka, jak Koronę Grzegorza Brauna – które jednoznacznie kwestionują podległość Warszawy wobec Brukseli. Pierwszy raz pojawiły się w Polsce realne ugrupowania eurosceptyczne. To już nie rozmemłany i w istocie sparaliżowany strachem przed brukselskimi salonami PiS, ale w pełnym tego słowa znaczeniu formacje uderzające w politykę Brukseli, a ich liderzy nie wahają się mówić o opuszczeniu Unii. Szantaż unijczyków przestał działać.

To jest właśnie najważniejszy skutek tych wyborów – duopol PO-PiS został poważnie naruszony. W najważniejszych sprawach politycznych – a jest jedną z nich na pewno polityka uległości wobec Unii – obie partie rządzące na przemian Polską od 2005 r. różniła przede wszystkim retoryka. W praktyce jednak – gdy chodziło o zachowanie realnych kompetencji polskiego państwa względem Brukseli – jedni i drudzy ustępowali. PiS robił to, używając retoryki bogoojczyznianej i okazując niechęć, PO posługiwała się retoryką proeuropejską i okazywała chęć.

Dlatego inaczej niż większość komentatorów uważam, że to, co najważniejsze, już się dokonało. Owszem, druga tura wyborów ma znaczenie, czymś ważniejszym jednak było pokazanie się na mapie politycznej nowych, prawdziwie antyunijnych formacji. Jeśli uda się im dalej działać i rozwijać, to nie będzie mógł powstać żaden układ rządowy z ich pominięciem. A skoro, jak wiadomo, prawdziwa władza w Polsce znajduje się w Sejmie, a nie w Pałacu Prezydenckim, to można się spodziewać, że ten zwrot ku suwerenności, ku tradycji, wolności, to odzyskanie rozumienia wagi interesu narodowego wreszcie doprowadzi do prawdziwej zmiany. © ©

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR GONTARCZYK
NOŻYCKI BARBARY ENGELKING
Manipulacje pani socjolog

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KTO TU WPUŚCIŁ ENGELKING?



KRAJ

24 PIOTR SEMKA
**TUSK SŁABNIE
– PRAWICA STOI
PRZED WIELKIM TESTEM**
Krajobraz po pierwszej turze

27 ŁUKASZ WARZECHA
NIE MA JUŻ FAWORYTA

30 ROZMOWA
Z TOMASZEM SOMMEREM
**BEZ WYBORCÓW BRAUNA I MENTZENA
NAWROCKI NIE MA SZANS**

32 KRYSZTOF KRATIUŁ
**IMIGRANTI
I PRAWDZIWE MIŁOSIERDZIE**

35 RADOŚLAW WOJTAŚ
**EMPATIA
W TRYBIE SAMOLOTOWYM**

38 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
RODZICIELSTWO, CZYLI BIZNES

KULTURA

40 PIOTR SEMKA
**NOWICZY – SIŁA TALENTU KONTRA
FATALIZM HISTORII**
Ciekawa wystawa w Zodiaku

44 PIOTR GOCIEK
LEGENDA O WŁOSKIEJ KUCHNI

50 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – BASIA STEPNIAK-WILK

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

52 JAN FIEDORCZUK
REMILITARYZACJA NIEMIEC
Berlin się zbroi

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
MROCNY ŚWIAT ELONA MUSKA

58 FILIP MEMCHES
**ROZCZAROWANY
LIBERALIZMEM**

HISTORIA

60 JACEK KOMUDA
**POLSKA
OD BUDZISZYNA DO KIJOWA**
Kogo uwiera Bolesław Chrobry?

ŚWIAT

66 JACEK PRZYBYLSKI
RUMUŃSKI ROLLER COASTER
Ważna lekcja z Bukaresztu

69 MACIEJ PIECZYŃSKI
**PUTIN CHCE WOJNY,
NIE POKOJU**

EKONOMIA

74 JOANNA BOJAŃCZYK
DLACZEGO TAK DROGO?
Jak się zmieniał przemysł perfumeryjny

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (i sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cośic (*Brusela*),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniejczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczyk-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Piotr Mołęcki/East News

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orlie Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;

tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

Druk: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Znów to samo

[...] ukarałem się wysłuchaniem wywiadu
red. Pawła Wojewódki z prof. Ireneuszem
Krzemińskim w radiostacji PolskieRa-
dio24 [...]. Prócz bohaterskiego aktu wier-
ności obecnej władzy w postaci nazwania
prezydenta RP „marionetką” (choć nie
wiem czyją?) usłyszeliśmy ubolewania na
rosnący antysemityzm w świecie i oczywi-
ście w Polsce. Dowiedziałem się, że „chłopi
polscy w czasie drugiej wojny światowej
zabili więcej Żydów, niż uratowali”, „Żego-
ta” to było zupełnie marginalne zjawisko,
a Polacy byli pomocnikami nazistów.
Zaimponował mi red. Wojewódka, który
starał się ratować sytuację, przypomi-
nając profesorowi, że antysemityzm do
Polski przyszedł z zewnątrz, a za pomoc

Nie wydaje ci się, że taka trochę
brudna ta kampania?..



Żydom mordowano całe rodziny. Ale na
późno [...].

dr hab. Leszek Kania,
em. prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego

Wyjaśnienie

W „Do Rzeczy” nr 20/2025 z 12 maja br.
podałem za jednym z branżowych portali
informację, że zmodernizowana wersja
kanadyjskiej technologii reaktorów jąd-
rowych CANDU będzie gotowa w 2035 r.
Jednak dostawca tej technologii zapowiada
jej gotowość na rok 2027. Z perspektywy
planów ewentualnej budowy drugiego
reaktora w Polsce to istotna różnica.
Przepraszam.

Piotr Ciompa

NEKROLOG

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci wspianego Człowieka



Bogusława Nizieńskiego

Sędziego Sądu Najwyższego,
w latach 1999–2004 Rzecznika Interesu Publicznego,
pod którego kierownictwem mieliśmy zaszczyt pracować,
Człowieka bezgranicznie oddanego służbie dla Polski,
pełnionej odważnie i bezkompromisowo.
Pozostanie dla nas wzorem patrioty i urzędnika państwowego,
na wskroś uczciwego i rzetelnego.
Dzięki Jego niezwyklej serdeczności i skromności
w miejscu pracy czuliśmy się jak w rodzinie.

Żegnaj, Kochany Panie Sędzio!

Rodzinie i Bliskim Zmarłego składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Pracownicy byłego Biura Rzecznika Interesu Publicznego



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Historyczne porno

Zabił Żydów, wcześniej ich ukrywał. Poruszający spektakl Smarzowskiego w Teatrze Telewizji. Reżyser »Kleru« wraca do Teatru Telewizji po 19 latach – w tak entuzjastycznym tonie jeden z dzienników recenzuje spektakl „Winny”, który wyemitowano niedawno na antenie TVP. Wojciech Smarzowski zaadaptował na zamówienie telewizji w likwidacji monodram napisany przez pisarza i aktora Stanisława Brejdyganta. Obaj panowie znają się już z planu filmu „Kler”. Teraz Brejdygant fantazjuje na temat Holocaustu – bo to temat chwytliwy i atrakcyjny do epatowania polską podłością wpisaną w narodowe DNA.

Oddajmy znów głos zachwyconemu recenzentowi, który tak streszcza spektakl: „Bartek Sowiński zabił dwoje Żydów w swojej piwnicy. Najpierw ich ukrywał przed Niemcami, ale potem własnoręcznie zamordował. Po wojnie nie poniósł odpowiedzialności, po latach – sam zgłosił się do prokuratury. Wyznanie winy przez Sowińskiego – to treść monodra-

mu [...]. Tutaj to postać mordercy ma głos, przytłoczona ciężarem zbrodni i własną nienawistną ignorancją, i próbuje sama zrozumieć, co zrobiła i dlaczego. [...] Sowiński zabił Żydów w trakcie wojny, bo dowiedział się o tym, że jego ojciec zginął w Katyniu, a tam, jak słyszał, Polaków zabijają »żydokomuna«.

Smarzowski postanowił przeobrazić monodram Brejdyganta, bo brakuje mu wątku kościelnego zepsucia. Zmienia oryginalny tekst tak, by wnuk Sowińskiego, odbiorcy jego spowiedzi po latach, był księdzem katolickim. „To drugi wątek, współczesny, dzisiejszy, rozgrywający się w cieniu wyznania w PRL-owskiej celi, opowieści o wojennej przeszłości. [...] w ramach intensywnego przenikania się planów czasowych współczesne homofobiczne kazanie stawało się nagle kazaniem antysemitycznym – w tym samym kościele, tylko jakieś osiemdziesiąt lat wcześniej. Wnuk-ksiądz (w tej roli Dariusz Toczek) poddawany jest presji przełożonych w związku z pedofilską aferą w diecezji. Znów jednak tak, jak przy postaci mordercy Żydów, Smarzowski stawia

bohatera przed moralnym wyborem, daje mu szansę”.

Tyle urzeczony recenzent. Każdy, kto badał okupacyjne relacje, dostrzeże w mig, że cała konstrukcja fabuły Brejdyganta jest niewiarygodna. W czasie niemieckiej okupacji ludzie często bali się pomagać Żydom, ale gdy już zdecydowali się ich ratować, to nie zmieniali zdania z dnia na dzień, bo wyciągnęli z jakis szpargałów przedwojenny tekst krytykujący Izraelitów.

Stanisław Brejdygant w 1939 r. miał trzy latka, a gdy wojna się kończyła, niecałe dziewięć lat, więc nie może powoływać się na osobiste wspomnienia z niej. Od lat za to lubi zabierać głos na temat grzechów Polaków, zawsze z tym samym przesłaniem: moi rodacy to naród o złych skłonnościach. Brejdygant napisał monodram, który jest czymś w rodzaju historycznej pornografii. A Smarzowski oblał to jeszcze swoim ulubionym sosem antyklerykalizmu. Telewizja publiczna, która obiecywała być czystą wodą, serwuje taki brudny koktajl, suto zaprawiony politycznie poprawną samonienawiścią. © ©



FOT. POLSATNEWS.PL

POSEŁ KO: CÓŻ SZKODZI OBIECAĆ

Klub Parlamentarny Koalicji Obywatelskiej zdecydował w ubiegłym tygodniu o ukaraniu posła KO Przemysława Witka. Oburzenie partyjnych kolegów wzbudziły słowa wypowiedziane przez posła w programie „Debata Gozdry” w Polsat News. Dziennikarka pytała posła o osiem punktów z tzw. listy Mentzena. – Jest pan pewien, że nie będą potrzebne żadne nowe podatki? – Cóż szkodzi obiecać? – odparł Witek, wywołując śmiech gości w studio i zażartą debatę w mediach społecznościowych. (jap) © ©

I Forum Ekspansji Międzynarodowej

Jak zwiększać eksport
w erze niepewności geopolitycznej?

Poznaj liderów globalnej ekspansji

Ryszard Florek



Krzysztof Domarecki



Tadeusz Chmielewski



Adam Sikorski



prof. Małgorzata Podrecka



Artur Rytel



Sprawdź pełną agendę wydarzenia i poznaj wszystkich ekspertów

ZAREJESTRUJ SIĘ

WWW.EKSPANSJAFORUM.PL



11 Czerwca
2025



Look Up Skyevents
Warszawa



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wizytacja

Spokojnie, to tylko kampania – tak można byłoby streścić wpis niemieckiej dziennikarki Zary Riffler o opiniach wyrażonych przez Donalda Tuska podczas spotkania z nowym kanclerzem Niemiec, Friedrichem Merzem. Z uwagi na kampanię Tusk i Merz, którzy znają się od dawna i zgadzają się we wszystkim, muszą publicznie wyrażać opinie rozbieżne. Ale Merz wie doskonale, że sprzeciw Tuska wobec wyrzucania do Polski migrantów jest tylko na użytek polskich mediów, zresztą – przypomina pani Riffler – przecież „odrzućmy” cały czas trwają, a Polska i tak musi „odrzućmy” przyjmować, bo „istnieją stare traktaty i Polska musi ich przestrzegać”. Podsumowując: nie ma żadnego

problemu z Polską, jak twierdzą niektóre niemieckie media, nowy kanclerz panuje nad wszystkim, a Tusk jest i pozostanie posłuszny.

Nie jestem w stanie ocenić, na ile Zara Riffler, specjalizująca się w tematyce islamu, migracji i polityki unijnej, jest w niemieckich mediach osobą wpływową. Wydaje się jednak, że wyrażony przez nią pogląd (kto ciekaw, może sam sprawdzić – wspomniana wypowiedź pochodzi z konta @ZaraRiffler w serwisie X – 40 tys. obserwujących) nie jest w niemieckim świecie odosobniony. Przebieg krótkiej wizyty nowego kanclerza w Warszawie zdaje się to potwierdzać. Pozwolił on wprowadzić wygłosić Tusko- wi gołosłowne oświadczenia w sprawach takich jak reparacje

czy migranci, ale też zapowiedział jasno, że w żadnej z nich nie będzie dyskusji. Kwestia reparacji jest dla Niemiec zamknięta, ośrodki dla wyrzucanych z Niemiec gości, których swego czasu zaprosiła do Niemiec kanclerz Merkel, już są w Polsce budowane, nadgraniczny ośrodek przerzutowy w Niemczech też – nic do gadania.

Nie była to kurtuazyjna wizyta szefa sąsiedniego państwa w suwerennym kraju, w którym chce podtrzymać dobre, partnerskie stosunki. Była to wizyta inspekcyjna nowego zarządcy ordynacji w jednym z należących do niej folwarków. Z poklepaniem ekonomy po plecach, ale bez czynienia złudzeń, żeby sobie za dużo nie pomyślał. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Dawno temu w Rzymie

OJakubie III, Starszym Pretendencie, Maria Niemojowska trafnie napisała, że „dla swej religii poświęcił szansę panowania”. Ostatni Stuartowie byli bezkompromisowymi katolikami; bezkompromisowymi – gdy chodzi o własny obowiązek. Papieżu odpłacali im solidarnością, czego pamiątką jest wspólny grobowiec Stuartów w bazylice św. Piotra w Rzymie, na początku lewej nawy. Tam również spoczywa Klementyna Sobieska, wnuczka zwycięzcy spod Wiednia, żona Wielkiego Pretendenta.

Wspomniana już Niemojowska zwraca natomiast uwagę, że Jakub III, prawdziwy bohater wiary, przez całe życie na swym emigra-

cyjnym dworze w Rzymie „dbał z niezmierną skrupulatnością o utrzymanie równowagi między swymi katolickimi i protestanckimi zwolennikami, sprawiedliwie rozdzielając różne funkcje i dworskie godności”. Angielski pastor, który odwiedził dwór Jakuba III, był zaskoczony, że anglikańscy dworzanie mają tam swą kaplicę i kapelana, który z kolei zapewnił go, iż król Jakub jest prawym człowiekiem „wrogim jakimkolwiek religijnym dyskryminacjom, tak że na ten temat nigdy ani jedno słowo nie pada w tym domu”.

Tak było w czasach „kontrreformacyjnego absolutyzmu”. Czemu dziś, w dobie „pluralistycznej” demokracji,

solidarność i szacunek budzi takie opory? Dlaczego nie zawsze łatwo przyjąć do wiadomości, że skoro pretendenci zważyli swe poparcie w I turze, to teraz pora uznać legitymizm tego, którego wskazała opinia patriotyczna i chrześcijańska, a on z kolei powinien przez wszystkie lata prezydentury kierować się szcunkiem dla tych, którzy – mimo publicznie wyrażonych zastrzeżeń – poparli go w ostatecznym głosowaniu. Oczywiście chodzi o szacunek dla osób, ale przede wszystkim – dla ich argumentów. Bo przecież od czasów Sokratesa wiemy, że w wolnym społeczeństwie to one powinny mieć ostatnie słowo. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Bonjour, Panie Boże!



Cezary Krzysztopa & Marian Kowalski

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Tyrolczykach południowych

WMerano (40 tys. mieszkańców) w Górnej Adydze wybory wygrała Katharina Zeller z Południowotyrolskiej Partii Ludowej, którą wspierali mieszkańcy niemieckojęzyczni. Stanowią 48 proc. populacji. Gdy jej poprzednik reprezentujący włoskojęzycznych przekazał jej uroczyste insygnia władzy, odłożyła na bok trójkolorową szarfę w kolorach włoskiej flagi, czyli symbol państwa włoskiego. Założyła natomiast medalion z herbem miasta, co jest tradycją sięgającą czasów, gdy rządzili tam Austriacy (do 1918 r.). Wybuchł skandal. Wzburzyły się i lewica, i prawica.

Kobieta tłumaczyła, że zmuszenie jej do zakładania „włoskiej” szarfy uznaje za prowoka-

cję, i postanowiła w ten sposób zaprotestować. Padło pytanie, kto ją tak wychował. Mama jest senatorką, a tato deputowanym. Włosi zajęli te tereny po pierwszej wojnie. Mussolini brutalnie italianizował Tyrolczyków. Na podstawie umowy z Hitlerem mieli być deportowani do Rzeszy, ale przeszkodziła temu druga wojna. Granic nie zmieniono, ale oczywiście mieszkańcom Górnej Adygi tęskno było za Austrią. Nacjonaliści tyrolscy przeprowadzili 360 zamachów terrorystycznych. W końcu w 1971 r. podpisano traktat włosko-austriacki, dzięki któremu Tyrolczycy żyją sobie w Italii jak pączki w maśle. Posiadają niemal całkowitą autonomię, niemiecki jest językiem urzędowym, a 90 proc. podatków służy wyłącznie Górnej Adydze, gdzie

stopa życiowa jest najwyższa w Italii.

Mimo to niechęć do Italii demonstrują na każdym kroku. We włoskie święta narodowe nie wywieszają włoskich flag. Gdy premier Giorgia Meloni przyjmowała burmistrzów całej Italii, Tyrolczycy przyjechali bez szarf z włoskim trójkolorem. Gdy w 2006 r. Włosi zdobyli futbolowe mistrzostwo świata, Rzym szalał do białego rana. W Górnej Adydze zaległa grobowa cisza, bo tam kibicują Niemcom albo Austriakom. Często Tyrolczycy, którzy zdobędą dla Włoch złoty medal, stojąc na podium, nie śpiewają włoskiego hymnu. Indagowany w tej sprawie tyrolski saneczkarz wyjaśnił: „Nie znam tej piosenki”. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CELEBRYTKI ZDAŁY EGZAMIN Z ROZPACZY

Drodzy czytelnicy, mamy to! Pierwsza tura wyborów prezydenckich, a szczególnie zaskakująco dobry wynik kandydatów „skrajnej” prawicy – Sławomira Mentzena oraz przede wszystkim Grzegorza Brauna – wywołał u naszych celebrytów szok i niedowierzanie. Influencerki zaangażowane w poniedziałek po głosowaniu masowo udostępniały na Insta rozpaczliwe posty, a później szły do fryzjera albo na paznokcie – wiadomo, w dobie kroczącego „fasyzmu” trzeba sobie ulżyć. Wśród załamanych szafiarka Kasia Tusk (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa). „Ciężko patrzy się na wyniki skrajnej prawicy w ten powyborczy poniedziałek. Zastanawiam się, jak my – kobiety – powinnyśmy ze sobą rozmawiać o polityce. Dlaczego tak wiele z nas głosuje na osoby, które otwarcie żądają ograniczenia nam praw? Co was przekonało?” – pytała Tusk na Instastories. Dalej zasugerowała, że głos na prawicę to powrót do strasznych dla

kobiet standardów średniowiecza. „Mam też pytanie do kobiet, które (tak jak ja) są przerażone tym, jaką przyszłość zbudowałyby nam mężczyźni, którzy marzą o powrocie do średniowiecza. Jak rozmawiałybyście z przyjaciółką, która głosuje na skrajną prawicę? Czy próbowałybyście przekonać ją do swoich racji? Wiem, jakie to czasem trudne [...]”. Mam wrażenie, że bańki, w których żyjemy, to już raczej bunkry i coraz trudniej wymienić się poglądami...” – dodała córka premiera. „Uważam, że prawdziwy feminizm nie polega na tym, że każda z nas musi odejść od tradycyjnego modelu rodziny. Ja w wielu kwestiach tradycyjnalistka (a w niektórych absolutnie nie!). Feminizm to równość i szacunek. To takie same prawa. To możliwość wyboru swojej życiowej drogi, a nie podporządkowywanie się silniejszej osobie w związku” – podsumowała pani Kasia. Skoro takie same prawa, to chyba także prawo do głosowania na Brauna? Czy to już zbyt wiele wolności?

UPADEK FEMINIZMU

Skrajnością, która zyskuje poklask w społeczeństwie, przerażona jest także dziennikarka Polskiego Radia Karolina Korwin-Piotrowska. „Ponad 40 proc. Polaków w wieku 18–25 głosuje na skrajną prawicę. Takie będą rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie. Czyli Polska brunatnieje na TikToku i nie tylko” – oceniła. Komentatorka zwała winę na słaby poziom polskiej szkoły. „Wiedziecie, co bym teraz zobaczyła? Debatę, ale prawdziwą, bez chińskich lubrykantów, z udziałem wszystkich ministrów edukacji. Krew, pot i łzy. Bo to, co widać, to najlepsze podsumowanie systemu edukacji w PL po 1989. Tu jest wszystko. Całe to gó...o. To jest efekt waszej pracy, panie i panowie, rozumiem, że jesteście z siebie teraz bardzo dumni” – grzmi dalej. Korwin-Piotrowska wysnuwa wniosek, że dobry wynik prawicy to upadek myśli feministycznej w formie proponowanej przez feministki celebrytki. „I jeszcze coś – na prawicę, przeciw prawom

kobiet, przeciw wykluczonym, głosuje ponad 40 proc. kobiet, tylko 5,5 proc. głosuje na Bieją. To jest moim zdaniem kosmiczna porażka feminizmu w Polsce. To jest kosmiczna porażka feministycznej i prokobiecej narracji. To jest efekt tego, że feminizm wyładował na koszulkach, zdjęciach profilowych, w kradzionych z Ameryki feministycznych postach, w internetowych gó...oburzach, w tym całym »aktywizmie« z du...y na pokaz i dla zasięgów. Mówimy »goście«, robimy debaty dla znajomych, zamykamy się w bańkach, klepiemy po plecach, feminizm zatem na dzisiaj odhaczony i chooo. Te liczby nie kłamią. To jest wiadro zimnej wody. Lodowatej moim zdaniem. Gilead nadchodzi. Szykujcie białe czepki dla swoich córek” – straszy Korwin-Piotrowska. Na sam koniec dziennikarka dorzuca jeszcze do rzekomego polskiego antysemityzmu. „Wisienka na torcie: oficjalne dane, chyba pierwszy raz od końca wojny: 6,2 proc. Polaków to antysemita. Wreszcie ktoś to policzył” – podsumowuje. Jak to jest żyć wśród ludzi, których się tak bardzo nie znosi? Współczujemy.

ROZBIEGAĆ BRAUNA

Do chóru zrozpaczonych gwiazd Instagrama dołączyła prezenterka TVN Agnieszka Woźniak-Starak. Z nieco smutnym uśmiechem, bez widocznego make-upu pokazała się światu w powyborczy poniedziałek. – No i jak tam wasze refleksje po wyborach? Ja poszłam rano na trening, potem na drugi. Myślałam, że jakoś to z siebie zrzucę, ale nadal nie mogę się otrząsnąć po wyniku Grzegorza Brauna... – przyznała. – Bo że Karol Nawrocki, to było do przewidzenia, oni są zawsze niedoszacowani w sondażach, żelazny elektorat PiS. Dobra, że Sławomir Mentzen, młodzi poszli, zagłosowali. Ale Grzegorz Braun? Tego nie rozumiem. Chyba jeszcze muszę iść pobiegać – dodała Woźniak-Starak. Droga pani, nie chcę straszyć, ale być może w najbliższym czasie tego biegania będzie jeszcze całkiem sporo. © ©



FOT. PIOTR HUKALO/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zgodnie z naszymi przewidywaniami wielkim zwycięzcą pierwszej tury wyborów prezydenckich w tym kraju został Rafał Trzaskowski – gratulujemy. Rafał po zwycięstwie we wszystkich debatach, w których brał udział (a także w tych, w których nie uczestniczył – tam odniósł moralne zwycięstwo), tym razem nie pozostawił konkurentom żadnych złudzeń, kogo Polacy – ci lepiej wykształceni, młodszy, światlejsi – chcą oglądać jako osobę prezydencką.

Uważamy więc, iż w drugiej turze zwycięstwo będzie formalnością. Na szczęście, iż w innym wypadku cofnęlibyśmy ten kraj o 200 albo nawet 700 lat rozwoju społecznego do tyłu. Tak by się stało, gdyby do drugiej tury wszedł np. Braun. Na razie tylko nie możemy spać z nerwów, iż w tym kraju żyje aż 6 proc. ludzi, którzy na niego zagłosowali. Możemy ich mijać na ulicach, w sklepach – to straszne, iż pravicowi fanatycy mogą być wśród nas, mogą pozostawać nawet całkowicie nierozpoznani dopóty, dopóki nie przyjdzie do wyborów.

W kontekście tego pravicowego fanatyzmu musimy też przyznać, iż niezwykle podoba nam się, że Rafał ma i reprezentuje wszystkie poglądy, of korskoprócz tych skrajnych. Chodzi o wszystkie poglądy rozsądne, progresywne i społecznie wrażliwe. Dzięki temu nie mamy najmniejszych wątpliwości, iż za

tydzień będziemy wszyscy w świetnych nastrojach i z nadzieją spoglądali na kolejne pięć lat.

Trochę burzy rozpętało się po słowach posła z Koalicji Obywatelskiej, który rzucił w telewizji słowa, iż „co szkodzi obiecać” – w kontekście słynnej listy Mentzena, który oczekiwał

i ciekawe, pobudza wyobraźnię i daje nadzieję, iż będzie fajnie.

A realizacja? Zaraz się okazuje, że nie do końca się da, że na to nie pozwalają przepisy, tu przeszkadza prezydent, tam nie ma woli politycznej, gdzieś w tle się nie zgadza koalicjant. Trochę się zacznie, trochę rozgrzebie, połowę zostawi, drugą połowę się zrobi byle jak, całość ledwo się trzyma.

Podobnie jak projekty w korpo.

Dlatego my absolutnie pretensji nie mamy, no ale cóż, my jesteśmy mniejszością, która wie, jak świat działa. A poza tym obiecywanie w celu przechrzta fashysmu jest oczywiście akceptowalne.

Trzecia Droga okazała się drogą do Donalda Tuska



ze strony obu kandydatów w drugiej turze, iż poprą jakieś tam jego postulaty, w zasadzie nie wiemy jakie, iż nie interesują nas fashystoffskie postulaty.

W każdym razie poseł dotknął tematu, który poruszaliśmy już dawno temu. Czasem właśnie ważniejsze jest, że się coś obieca (i of korsk co to jest), a nie że się coś robi. Obiecywanie może być o wiele bardziej interesujące, kuszące

Wogóle beka z Karola Nawrockiego, bo podobno na klatce piersiowej ma tatuaż na cześć klubu Chelsea Londyn, który od dosyć dawna niczego nie wygrał (tak jak Nawrocki nie wygra wyborów xD). Co czujniejsze dziennikarskie umysły powiązały to z faktem, iż właścicielem Chelsea był do niedawna Rosjanin Roman Abramowicz, uważany za człowieka Putina.

Mamy nadzieję, iż nie zabrnjemy w tym szukaniu rosyjskich związków za daleko i np. nikt nie wywlecze, iż Rafał Trzaskowski jest prezydentem miasta, które kiedyś miało prezydentów w osobach rosyjskich generałów Starynkiewicza czy Bibikowa, bo jeszcze oszalała prawackie media gotowe będą z tego zrobić aferę. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nienawiść

Jak ja ich nienawidzę, tych pisiorów i tego faszysty Brauna, i tego gangusa Nawrockiego! Zobacz, Donald, jakiego fajnego mema zrobiłem za pomocą sztucznej

inteligencji: Nawrocki ulepiony z kału, a obok Braun z rzygowin. Zaraz wstawię!

Czekaj, Stefan. Może się wstrzymaj...

Ale nie! Dlaczego?! Przecież nienawiść zalewa im mózg! To faszysty, antysemita, gangusy, sutenerzy! Spokojnie, spokojnie! Problem jest taki, że jak wy takie rzeczy

wrzucacie, to mobilizujecie zwolenników...

Czekaj, to nie wszystko. Tu mam lepsze: Jarek jako taki czop wychodzący z tyłka...

Uspokój się!

Ale z tyłka!... Oj, ach...

Co ci jest? Halo! A może to i lepiej... ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pan Karol Nawrocki [...] pomimo dowodów na komunikatywną znajomość języka obcego w kampanii przez większość czasu pozostaje patriotycznie monolingwistyczny”.

ALEKSANDRA UZNAŃSKA-WIŚNIEWSKA,
posłanka PO, w Sejmie RP





DRAMAT DZIECI W STREFIE GAZY

– Coraz bardziej niepokojąca i bolesna jest sytuacja w Strefie Gazy. Ponawiam żarliwy apel o to, by umożliwić dostarczenie godnej pomocy humanitarnej i położyć kres działaniom zbrojnym, których przejmującą cenę płacą dzieci, ludzie starsi i chorzy – oznajmił podczas pierwszej audycji generalnej na placu św. Piotra papież Leon XIV. „Zaniepokojenie” sytuacją humanitarną w Strefie Gazy wyraził również szef dyplomacji USA Marco Rubio. Szef francuskiego MSZ Jean-Noel Barrot ostro skrytykował zaś działania Izraela w Strefie Gazy, oskarżając rząd Netanjahu o łamanie prawa międzynarodowego i blokowanie pomocy humanitarnej. W izraelskich nalotach na Strefę Gazy zginęło w ubiegłym tygodniu kilkuset Palestyńczyków. W ostatnich dniach tylko z głodu zmarło zaś ponad 30 dzieci i osób starszych.

W wyniku międzynarodowej presji premier Benjamin Netanjahu zgodził się wpuścić do Strefy Gazy kilkadziesiąt ciężarówek, które przewoziły m.in. mąkę oraz pokarm dla niemowląt. Przeciwno tej decyzji zaprotestował izraelski polityk Mosze Feiglin, przekonując, że „każde dziecko w Gazie jest wrogiem, każde niemowlę w Gazie jest wrogiem”. – Każde dziecko, któremu teraz dajecie mleko, za 15 lat zgwałci wasze córki i zamorduje wasze dzieci – oznajmił w wywiadzie. – Musimy podbić Gazę i ją osiedlić – i ani jedno dziecko z Gazy nie powinno tam pozostać. Nie ma innego zwycięstwa – dodał.

Tymczasem w fatalnych warunkach żyją również Palestyńczycy na okupowanym przez izraelskie wojska Zachodnim Brzegu. Gdy w ubiegłą środę obóz dla palestyńskich uchodźców w Dżeninie odwiedziła delegacja dyplomatów i dziennikarzy, izraelscy żołnierze otworzyli ogień, strzelając ostrą amunicją i zmuszając delegację do ucieczki. Siły Obronne Izraela wyraziły żal z powodu zaistniałych „niedogodności”. Izraelski atak na dyplomatów potępiła UE, a włoskie oraz francuskie MSZ wezwały izraelskich ambasadorów do złożenia wyjaśnień. Incydent potępiło też MSZ Hiszpanii.

Izraelska operacja w Strefie Gazy to odwet za atak Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. Zginęło wówczas ok. 1,2 tys. osób, a 251 zostało porwanych. W izraelskiej akcji odwetowej zginęło już ponad 53 tys. Palestyńczyków. **(jap)** ©

FOT. HANI ALSHAER/ANADOLU/GETTY IMAGES

No i po pierwszej turze. Mamy dwie wiadomości: złą i dobrą. Najpierw zła: naczelni, wice-naczelni i różni cyngle mediów trzaskopodobnych nerwowo biegają i dzwonią, gdzie się da, żeby natychmiast dostać obiecane kompromaty na kandydata Karola Tadeusza. Są to ponoć kompromaty obyczajowe. A teraz dobra wiadomość: skoro tak biegają i nerwowo dzwonią, to znaczy, że kompromaty nie są jeszcze gotowe.

Wramach podsumowań kampanii niektórzy pytają nas, które hasło wyborze podobało nam się najbardziej. Otóż mamy nieoczywistego faworyta, ale nie jest to żadne z haseł oficjalnych. Najbardziej przypadło nam bowiem do gustu hasło dopisane w Warszawie do słupa wyborczego niejakiej Magdaleny Biejat. Brzmiało ono: „Pięte – nie zabijaj”. Jeszcze to o fałszywym świadectwie, znane skądinąd, nam się podoba, ale to nie hasło, to codzienność mediów tzw. głównego nurtu.

Skoło już wpadliśmy w tematy biblijne, to chcieliśmy powiedzieć, że wolimy na ważnych stanowiskach państwowych ludzi skromnych, a nie dupiarzy. W związku z tym chcieliśmy przeciąć spekulacje medialne i zacytować

dosłownie tatuaż jednego z kandydatów w drugiej turze. Sami zgadnijcie którego. Brzmi on: „Panie, nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”.

Serdecznie chcieliśmy podziękować Władysławowi Kosiniakowi-Kamaszowi, znanemu też jako Tygrys. Dziękujemy za słowa, które znalazły się w instrukcji dla posłów PSL przed drugą turą. Po pierwsze, nazwano w niej Rafała Kazimierza „złem” (nieważne, że „mniejszym złem”). Po drugie, zasugerowano, że ów kandydat jest „szansą na odbudowanie normalności” – pal sześc kandydata, dziękujemy za przyznanie, że

pod rządami koalicji 13 grudnia Polska nie jest krajem normalnym.

Skoło już o ludowcach, to i o ich sojusznikach z Polski 2050. Jest pewien kłopot z elektoratem Szymka Hołowni. Otóż niektórzy ludzie się łudzą, że w jego małym wyniku z pierwszej tury brali udział jeszcze jacyś sumiasto wąsaci chłopci, którzy oddali głos, bo matka partia Peezel kazala, a teraz pójdą do Nawrockiego. Cóż, z tego, co słyszeliśmy o wyborach zielonych braci, to prawdziwi peezelowcy raczej głosowali w pierwszej turze na Brauna, więc u Szymka prawicowych zaparkowanych głosów może brakować. Co poddajemy pod rozwagę sztabowi Karola Tadeusza.

dwaj panowie g

Tymczasem były szef BBN Jacek Siewiera został doradcą społecznym kandydata Rafała Kazimierza. I ogłosił, że chce być także przyszłym szefem BBN, jeśli wygrał Trzaskowski. Niektórych to oburzyło, innych zaskoczyło. Nas nie bardzo. Gdyż przypomnieliśmy sobie spotkanie Siewiery z osobą nadzorującą najważniejsze służby specjalne w USA. A było to jeszcze za czasów dziadka Bidena. Siewiera, wysłuchawszy, co miała do powiedzenia osoba nadzorująca tak ważne instytucje jak CIA i DEA, wyszedł do swoich współpracowników i ku ich zdumieniu oświadczył: „Eee tam, Amerykanie ch...a wiedzą”. Życzliwi przytoczyli to zdanie osobie głowy państwa. Nasze wiewiórki twierdzą, że była to jedna z ostatnich kropel, która przepełniła dzban. Słowa „dzban” nie użyliśmy tutaj przypadkowo.

W sprawie Siewiery prawda jest taka, że tych kropel przepełniających dzban było znacznie więcej. A niektórzy twierdzą, że cała ulewa. Nasze wiewiórki opowiadają historię, jak to Siewiera z całych sił usiłował się umówić z Jarosławem Kaczyńskim. Chciał go przekonać, że to właśnie jego PiS powinien wystawić jako kandydata na prezydenta. Problem polegał na tym, że Siewiera chciał przekonać naczelnika, nie dzieląc się wcześniej tym pomysłem ze swoim ówczesnym przełożonym, czyli prezydentem Andrzejem Sebastianem. Jarosław wysłał Siewierę na drzewo. A wkrótce uczyniła to także osoba głowy państwa.



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Zdyplomacji. Polska będzie miała trzech nowych ambasadorów. Osoba głowy państwa klepnęła bowiem Radkowi Sikorskiemu trzy nominacje. Najważniejszą z nich jest polski przedstawiciel przy ONZ, czyli niejaki Mirosław Broiło. Do Kolumbii ma się udać niejaka Barbara Sośnicka, do Bogoty zaś chcą wysłać Michała Cygana. Wszystkie te osoby już są na placówkach, bo pełniły dotąd funkcje tzw. czardżów, czyli pilnujących ambasady. Można by czynić Andrzejowi Sebastianowi wyrzuty, że zmiękł, ale to nie jest prawda. Prawowici szefowie tych placówek po prostu znaleźli sobie nową robotę i sami poprosili o odwołanie. Mamy jednak pretensje o co innego. Jeden z nowych ambasadorów to absolwent osławionego MGIMO, czyli postsowieckiej szkoły dyplomatów.

Zagranica. Niestety, Rumunii nie udało się odbić z rąk eurolewicy, bo George Simion przegrał drugą turę wyborów prezydenckich. Jeden z Panów G. miał okazję obserwować weekend wyborczy

w Bukareszcie. Odnotował tam spore wzmoczenie aktywu PiS, który pojawił się w Rumunii, aby wesprzeć kandydata AUR i EKR. Reprezentowane były różne frakcje. Michał Dworczyk jako morawiańczyk, Janusz Kowalski jako ziobrysta, Łukasz Mejza z frakcji imprezowej, Anna Krupka z frakcji aniołków Kaczyńskiego, no i Ryszard Czarnecki z frakcji Ryszarda Czarneckiego. Reprezentantem tej samej frakcji był Przemek Czarnecki. Była to więc frakcja najsilniejsza.

Ważnym punktem wyprawy europrawicy do Bukaresztu było spotkanie George'a Simiona z zagranicznymi przyjaciółmi oraz dziennikarzami w knajpie libańskiej, serwującej kuchnię libańską (skądinąd bardzo smaczną). Budziło to lekkie zdziwienie, gdyż Liban, jak wiadomo, charakteryzuje się znikomą rumuńskością, a Simion chce Make Rumunia Great Again. Ale udało się wyjaśnić zagadkę – otóż knajpa Zaitoon należy do posła partii Simiona, skądinąd posła o korzeniach libańskich. Jak widzicie, prawica nie jest ksenofobiczna,

a hasło „Kupując kebaba, osiedlasz Araba” nie jest znane w Rumunii.

Najbardziej egzotycznymi gośćmi w Bukareszcie była para niezależnych dziennikarzy z Grenlandii, wielkich zwolenników Donalda J. Trumpa oraz wyzwolenia Grenlandii spod okupacji duńskiej. Bardzo miło się z nimi rozmawiało. Pokazali nawet film z wygranego przez nich wyścigu psich zaprzęgów. Jeśli myślicie, że polska prawica ma ciężko, to pomyślcie jeszcze raz.

Na koniec chcieliśmy pozdrowić wszystkich, którzy wątpili w naszą tezę, że o losach drugiej tury rozstrzygną wyborcy Grzegorza Brauna. Pisaliśmy o tym kilka tygodni temu, bo udało nam się zająć w rozmaite sztabowe badania. No i wyszło na nasze. Milion dwieście czterdzieści tysięcy głosów piechotą nie chodzi. Teraz już rozumiemy, dlaczego rynek sprzedaży gaśnic w Polsce to jakieś 200 mln ziko rocznie. ©©

REKLAMA

ZAINWESTUJ W WOLNOŚĆ SŁOWA – zostań akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

Do 30 maja 2025 r. trwa oferta publiczna akcji serii „D” Do Rzeczy S.A. – konserwatywno-liberalnego wydawcy tygodnika „Do Rzeczy” i miesięcznika „Historia Do Rzeczy”. To szansa, by wesprzeć niezależne media i ich dalszy rozwój.

INWESTUJĄC CO NAJMNIEJ 1100 ZŁ,
zyskasz nie tylko akcje, lecz także roczną prenumeratę DO RZECZY+
o wartości cennikowej 329,80 zł – w tym dostęp do e-wydań,
ekskluzywnych treści, materiałów wideo i e-booków.

**DO
RZECZY+**



Zapisz się już teraz przez platformę: www.platforma.dminc.pl
Więcej informacji: www.dorzeczy.pl/gielda lub relacje-inwestorskie@dorzeczy.pl

**DOŁĄCZ DO INWESTORÓW, KTÓRZY STAWIAJĄ NA WOLNOŚĆ SŁOWA
I PRZYSZŁOŚĆ NOWOCZESNYCH MEDIÓW.**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



Piotr Gontarczyk

Barbara Engelking została przewodniczącą Rady Muzeum Auschwitz-Birkenau. Ze względu na jej metody działania trudno to potraktować inaczej jak bezprecedensowy skandal

Pani profesor jest socjologiem i psychologiem, co widać na każdym kroku. Jej publikacje o historii są świadectwem braku warsztatu naukowego w kwestiach wręcz elementarnych: nie widać tu umiejętności posługiwania się mapami i słownikami czy choćby sporządzania przypisów. W jednej z żydowskich relacji wspomniana odnalazła wiele zapisanych fonetycznie nazw kresowych miasteczek. Chyba nie mogła ich zidentyfikować, więc powycinała je z cytatów. Jednak nie zenujący poziom naukowy całości jest tu głównym problemem. Ważniejszy jest fakt systemowego zniekształcania przekazów historycznych za pomocą nieuzasadnionych skrótów, a często wręcz ordynarne przerabianie treści źródeł.

LUPA CZY NOŻYCKI?

Zwykły historyk traktuje przekazy historyczne jak fundament i granice wszelkiego działania. Czyta je od początku do końca, a potem jeszcze raz, szukając różnych informacji i kontekstów – jedne i drugie są podstawą budowania opisów i wyciągania wniosków.

Publikacje Barbary Engelking powstają inaczej. Tu baza źródłowa jest kopalnią, w której poszukuje się paliwa do już uruchomionego pieca. Nieistotne jest to, jak w rzeczywistości wyglądają pokłady dostępnych informacji: ważniejsze jest to, co można tu wykopać zgodnie z góry założonymi oczekiwaniami. Czyli, nieco upraszczając, rezygnujemy z przyglądania się historii za pomocą lupy, zastępując ją nożyczkami. Opis historii nie jest rekonstrukcją przeszłości, tylko kreowaniem na dużą skalę fałszywej rzeczywistości, zwykle za pomocą metod niedopuszczalnych w badaniach naukowych.

Nożyczki Barbary Engelking

W jednej z publikacji Engelking sięgnęła po świadectwo Michała Zellnera, cytując je tak: „W swojej ciemnocie i nieświadomości, zatruci jadem nienawiści hitlerowskiej, przyznawali rację gnębielom. Jedno zdanie utkwiło mi szczególnie w pamięci: »gdyby Niemcy w ten sposób nie postępowali z Żydami, niewątpliwie Żydzi uczyniliby to samo z nami«. Ten sąd o Żydach był na pewno spowodowany przeczytaniem propagandowego kalendarza z ilustracjami wydawanego przez Niemców. Opisywał on rzekome zbrodnie żydowskie od zburzenia Świątyni przez Herodesa aż po księdza Trzeciaka”. Czyli tak: Michał Zellner opowiedział o generalnej postawie chłopów w czasie Holokaustu i opis ten jest jednoznacznie negatywny. Ale prawdziwa treść jego świadectwa jest inna [tekst pominięty pogrubiono]: „[wcześniej był zrelacjonowany Zellnerowi opis zabicia we wsi żydowskiego uciekiniera]. **O tym wszystkim opowiadali sąsiedzi** [chłopa ukrywającego Zellnera] **z przejęciem, krytykowali sołtysa, wyrażali złość na jego niecną postępek**

[sprowadzenia policji]. **Na ogół w ich rozmowie przebiegała się litość dla biednych prześladowanych Żydów. Byli wśród nich tacy, którzy głęboko nawet przeżywali tragedię Żydów, ale byli niestety i tacy, którzy** w swojej ciemnocie i nieświadomości... [dalsza treść źródła jest analogiczna z wcześniej przytoczonym – przyp. P.G.]”

Michał Zellner pozostawił opis znacznie bardziej zróżnicowanych postaw chłopów w czasie wojny. Jedni im współczuli i żalowali, inni cieszyli się z ich tragedii. Engelking przecięła tę wypowiedź w pół zdania, podała wyłącznie negatywne informacje i przedstawiła to (fałszywie) jako generalną opinię świadka na temat chłopów. To nie jest fałszerstwo?

W innej publikacji autorka sięgnęła po relację Margot Dranger i zacytowała ją tak: „Przez przypadek wyszło na jaw, że jakiś chłop, którego nazwiska nie pamiętam, zamordował dwie ukryte u niego kobiety żydowskie. Morderstwo owego chłopca miało charakter czysto rabunkowy. Zabił on obydwie kobiety, ażeby zdobyć pierścionki, które kobiety te posiadały. Chilek



Barbara Engelking systemowo zniekształca przekazy historyczne za pomocą nieuzasadnionych skrótów, a często wręcz ordynarnego przerabiania treści źródeł

chłopów. Jednego z nich sportretowała Ada Schwerdt: »Był to między innymi też człowiek zupełnie prymitywny. Był prymitywny jak zwierzę. [...] Chlubek bił i maltretował swoją żonę oraz dwie córki. To było istne zwierzę. Od rana dom cały trząsał się od krzyków. Łamano deski, meble, kłócono się i bito. Poza tym nikt w tym domu, przez miesiące całe, nie mył się. Wszyscy i wszystko było tu brudne«. Engelking ucięła w tym miejscu opowieść Ady Schwerdt o Chlubku, która w oryginale ma jeszcze jedno zdanie: „**Rodzina cała należała do prawdziwych wyrzutków społeczeństwa**”. Żydowski świadek tym ostatnim zdaniem zaznaczył, że nie opisał typowych postaci, tylko patologię. Ale Engelking je usunęła, przedstawiając relację Schwerdt jako opis typowego obrazu polskich chłopów: pijane, niemające się miesiącami, prymitywne na poły zwierzęta. Cały opis umieściła w rozdziale „Wizerunek chłopca w oczach Żydów szukających pomocy”, a słowa z opowieści Ady Schwerdt – „Był to człowiek zupełnie prymitywny” – dużą czcionką umieściła jako motto nad tytułem tego rozdziału. Czy to nie jest zwykłe oszustwo?

Bywało niestety, że chłopci – głównie ze strachu o własne życie – denuncjowali Żydów, były też skrajne przypadki dokonania zabójstw. Nikt temu nie zaprzecza, kwestią sporną są tu tylko motywacje i skala zjawiska. W tekstach Engelking liczby podawane w tym zakresie to mało wysublimowana mistyfikacja. W książce „Jest taki piękny słoneczny dzień...” wspomniana pisze: „Przeanalizowałam 300 spraw sądowych, w których była mowa o 281 przypadkach denuncjacji (ofiara tych doniesień padło 701 Żydów) oraz o 139 mordach, w których zginęło 473 Żydów”. To kluczowy zwrot z jej pisarstwa dotyczący tak akt sądowych, jak zeznań żydowskich świadków: „jest mowa”. Nieważne jest, czy informacje są prawdziwe, czy żydowski świadek

Wodzisławski razem ze Schreiberem postanowili śmierć tych kobiet pomścić. Udał się więc do owego chłopca, by się z nim rozliczyć. Chłop zrozumiał cel wizyty, kiedy ich zauważył zbliżających się w jego kierunku. Chwycił z nienacki siekiere, dobiegł do Chilka i kilkoma silnymi uderzeniami położył go trupem na miejscu. Schreiber uciekł i zginął później [...]. Pochowaliśmy go w lesie”. Cytat jest pocięty, coś z niego na końcu usunięto. Ale co? Przywracam (wyróżnione) usunięte fragmenty: *Chilek Wodzisławski, tak lubiany także przez chłopów polskich, zginął z ich ręki*. Pochowaliśmy go w lesie *niedaleko domku Hanka Bereta*”.

Ta historia naprawdę wyglądała tak: biedna chłopka Hanna Bereta przechowywała Żydów. Margot Dranger, która zawdzięczała jej życie, opisała na kilku stronach, jakie ryzyko ponosiła i jakie miała wielkie zasługi. Opis ten został w tekście Engelking pominięty, ale w przytoczonym wyżej cytacie pozostało imię i nazwisko: Hanna Bereta. Cytując żydowskiego świadka rzetelnie, należałoby więc wspomnieć,

o kogo i co chodzi, czyli o osobę ratującą Żydów. No to Engelking wzięła nożyczki i Hannę Beretę z zacytowanego źródła wycięła. Tak samo zresztą jak informację o pozytywnym stosunku chłopów do żydowskiego uciekiniera Chilka Wodzisławskiego. Wystarczyły nożyczki i nowa wersja historii była gotowa.

BARBARA ENGELKING „PRZY ROBOCIE”

W tym świecie nożyczki mogą pociąć każdy rodzaj dostępnych źródeł: relacje z ksiąg pamięci Żydów z polskich miasteczek, niemieckie dokumenty z czasów wojny, a na największą skalę świadectwa ocalałych Żydów. Pani profesor chyba czuje, że wie lepiej, co powinny one zawierać, więc ich treść dopasowuje do swoich wyobrażeń. W pewnej chwili pisze: „W oczach Żydów chłopcy byli, jak już pisałam, przede wszystkim chciwi, a ponadto prymitywni i gwałtowni. Nie bez znaczenia były tu także różnice klasowe, które miały wpływ na postrzeganie i opisywanie

■ jest wiarygodny, czy proces ustalił winę oskarżonego czy też wykazał, że zarzucone mu przez prokuraturę zbrodnie zostały dokonane przez chłopów czy przez Niemców albo czy w ogóle miały miejsce. O nich „jest mowa”, a zatem doliczamy je do rachunku polskich zbrodni. Bo tu przecież o możliwie najwyższe liczby chodzi, a nie o prawdę czy jakiegokolwiek badania naukowe.

Niektóre autentyczne zbrodnie autorka opisuje dwa albo nawet trzy razy, ale za pomocą innych słów i źródeł, tak sprytnie, że czytelnik może się nie zorientować, że w rzeczywistości chodzi o te same wydarzenia. W taki sposób np. liczbę ofiar (wymuszonej przez Niemców) chłopskiej obławy w Oleksinie (powiat bielski) autorka zwiększyła z ok. 12 do mniej więcej 40 ofiar.

FIKCYJNE „POLSKIE ZBRODNIĘ”

Co więcej, dotarłem kiedyś do akt sądowych, w których „jest mowa” o masowych zbrodniach na Żydach dokonanych rzekomo przez braci Hryć z powiatu bielskiego. Po ich analizie uznałem, że opisywane w nich mordy na Żydach w ogóle nie miały miejsca. Nie byłem pierwszy. Wcześniej bracia Hryć zostali uniewinnieni przez sąd, a przed wydaniem wyroku – rzecz to chyba bez precedensu – prokurator wycofał się z zarzutów, zapewne uznając zeznania żydowskich świadków oskarżenia w tej sprawie za mistyfikację. Barbara Engelking przeczytała te akta i w książce „Jest taki piękny słoneczny dzień...” znajduje się kilka stron drastycznych opisów topienia i mordowania ostrymi narzędziami żydowskich uciekinierów. To taki modus operandi jej działania: Jaki sens ma prawda, skoro wystarczy dodać, o czym „jest mowa” w aktach, i można przytoczyć wiele drastycznych opisów polskich morderczych czynów i instynktów? W 2018 r. w „Dziejach Najnowszych” opisałem ten przypadek ze szczegółami, jasno pokazując, ile warte jest piarstwo Barbary Engelking. Dodałem przy tym, że autorka „przerobiła” Hryciów na morderczych Polaków, bo z akt wynika jasno, że byli Białorusinami. Engelking do dziś nie udzieliła odpowiedzi.

Warto wiedzieć, że wachlarz chwytów „ofensywnej matematyki” pióra Engelking jest szeroki. Wspomniana na konto żydowskich ofiar Polaków „zapisuje”, kogo się da. Po sprawdzeniu artykułu pt. „Po zamordowaniu udaliśmy się do domu». Wydawanie i mordowanie Żydów *na wsi polskiej* w latach

1942–1942” [podkr. P.G.], opublikowanym w książce „Zarys krajobrazu. *Wies polska* wobec Zagłady Żydów 1942–1945” [podkr. P.G.], okazuje się, że część opisywanych tam zbrodni dokonali Białorusini lub przedstawiciele innych nacji. Kwintesencję takich zabiegów autorki ilustruje taki fragment z „Dalej jest noc”: „W powiecie bielskim szczególnie miejsce wśród morderców Żydów zajmowali *polscy szucmani* [podkr. oryginału tekstu – P.G.], pracujący na posterunkach policji niemieckiej [...]. Nie ma tu miejsca na opisywanie wszystkich zbrodni zarzucanych (i w dużym stopniu udowodnionych) szucmanom, przedstawię dwa charakterystyczne i dobrze udokumentowane przypadki [...]. Pierwszy przykład działań policyjnych pochodzi z Orli, która ze względu na to, że ani jeden Żyd stamtąd nie przeżył na terenie powiatu, jest mało obecna w tym kontekście. Wykorzystam więc proces szuczmana Mikołaja Gonty, by opisać zamordowanie Żydów, którzy pojawiali się w lesie w pobliżu Orli [...]. Druga

Niektóre autentyczne zbrodnie autorka opisuje dwa albo nawet trzy razy, ale za pomocą innych słów i źródeł, tak sprytnie, że czytelnik może się nie zorientować, że chodzi o te same wydarzenia

historia dotyczy zamordowania Icka Chajta na kolonii wsi Sliwowo [...]. W egzekucji brał udział szuczman z posterunku w Klejnikach, Włodzimierz Naumiuk”.

Gonta i Naumiuk byli Białorusinami. Ich ofiary, podobnie jak zbrodnie niemieckich żandarmów, na dużą skalę zapisywano tu na konto Polaków. W różnych publikacjach Barbary Engelking et consortes rzecz dotyczy tysięcy (!) dopisywanych na polskie konto białoruskich, różnych innych, ale przede wszystkim – niemieckich ofiar.

O ile zeznania świadków autorka tnie na potęgę, żeby budować możliwie jak najgorszy obraz Polaków, o tyle dokładnie przeciwne reguły obowiązują w opisie Żydów. Tu kryterium „ciąga źródła” jest jasne: ważne jest to, co jest dla nich dobre, reszta nie ma znaczenia. Jest jakiś opis

braku solidarności Żydów wobec Niemców? Ciach! I fragment znika. Coś o patologicznym funkcjonowaniu Judenratów? Coś o wykorzystywaniu jednych Żydów przez drugich? Fragment o haniebnych działaniach żydowskiej policji? O rabowaniu przez żydowskich partyzantów polskich chłopów? Nożyczki w ruch i skracamy cytaty albo w ogóle zostawiamy z nich strzępy. Po zweryfikowaniu części cytatów z artykułu Engelking w książce „Dalej jest noc” okazało się, że tych „uszkodzonych” różnymi metodami (pomijając te „głębiej komponowane”) było ponad 30 proc.

„OFENSYWNA REKONSTRUKCJA”

Barbara Engelking nie uzbroiła się tylko w nożyczki. Wiele cytatów z jej publikacji nosi ślady bardziej „ofensywnych” działań polegających na zmienianiu treści cytatów w jasno określonym kierunku. W książce „Dalej jest noc” czytamy: „Na przykład w Brańsku wydano rozporządzenie, które »mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu jest Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Nie chrześcijanin, a właśnie Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd ma się wyprowadzić? Do Żydów [...]. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Dokąd? – To *ich* [wyróżnienie – P.G.] nie interesowało. W okolicę żydowską [...]. Goj zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać”.

Oryginalne źródło ma taką treść: „Po zorganizowaniu władzy cywilnej nasze położenie znacznie się pogorszyło. Wydawała ona rozporządzenia antyżydowskie, nakazane przez Niemców. Pierwsze mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu mieszka Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd? Do innych Żydów. Rozporządzenie to było tym gorsze, że nie dano na tę wyprowadzkę miesięcy czy tygodni. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. *Niemców nie interesowało, czy mają oni gdzie się przeprowadzić, byleby w okolicę żydowską i, niech Bóg broni, oby nie do lepszego mieszkania. Robiono to, by utrudnić i pogorszyć sytuację Żydów. Bo ktoś, kto miał pokój czy dwa, musiał przyjmując jakąś rodzinę. Okupanci chcieli, aby Żydzi*

się podusili [wyróżnienia – P.G.]. Stosowano więc zasadę, że goj zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać”. Porównanie obu tekstów ujawnia sens dokonanej przeróbki: zniknęli Niemcy i „okupanci”, a restrykcje antyżydowskie wyglądają bardziej na działania miejscowych „gojów”.

W aktach śledztwa przeciw Władysławowi Bogucie autorka znalazła anonimowe doniesienie, jakoby miał on zamordować rodzinę żydowską (AIPN Lu, GK 522/16). Donosy tego rodzaju były po wojnie prawdziwą plagą i często okazywały się zwykłymi pomówieniami. Jak w przypadku Władysława Boguty. Pani profesor w niczym to nie przeszkadzało: zacytowała anonimowy donos, jeszcze podkreślając jego treść, i stwierdziła, że opis zbrodni to zeznanie „świadka Antoniego Lisika”. Takiego zeznania i takiego świadka nie ma w aktach. Ale jakieś „świadcstwo” polskiej zbrodni Władysława Boguty u Engelking już jest...

Spśród innych chwytów z publikacji Engelking warto wspomnieć o takim używaniu źródeł, żeby zbudować dynamiczne i dramatyczne opisy pogoni chłopów za ofiarami i łapania przez nich Żydów. Autorka definiuje opisywane przez siebie zjawisko: „wysiłek w poszukiwaniach, trud w pogoni, móżół włożony w złapanie, zatrzymanie, związanie, pilnowanie, by nie uciekł, oraz troska o dostarczenie schwytanego na posterunek...”, a potem jego istnienie wspiera takim cytatem: „*»Jest Żyd!«* – zawołał pewnego dnia 1943 r. podsołtys wsi Stara Łomża (gm. Kupiski, pow. Łomża) Franciszek Tomaszewski, gdy w stodole u Stanisława Samborskiego znalazł schowanego tam siedemnastoletniego Jankiela. *»Jest Żyd!«* – na to wezwanie zbiegli się sąsiedzi i już po chwili chłopak *»miał ręce związane drutem, a nogi sznurem«*. *»Jest Żyd!«* i położono go na wozie, a *»Tomaszewski, polecając powozić Henrykowi Rasiowi, odwiózł Jankiela do Łomży, gdzie oddał go w ręce żandarmerii niemieckiej«*” [wyróżnienia P.G.]. Dynamiczna scena poszukiwań, gonitw i łapania Żydów. Ale jest jeden kłopot. W tych aktach sądowych (AIPN 407/131) i w tych cytatach nie ma tego dynamizmu akcji, którą zbudowała autorka i nie ma tych wykrzykników, które sobie pani profesor do treści źródeł „dopisała”. To nie przypadek, bo analogicznie zrobiła w kwe-

Jak działają „nożyczki Barbary Engelking?”



ORYGINALNE ŹRÓDŁO:

„Po zorganizowaniu władzy cywilnej nasze położenie znacznie się pogorszyło. Wydawała ona rozporządzenia antyżydowskie, nakazane przez Niemców. Pierwsze mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu mieszka Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd? Do innych Żydów. Rozporządzenie to było tym gorsze, że nie dano na tę wyprowadzkę miesięcy czy tygodni. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. **Niemców nie interesowało**, czy mają oni gdzie się przeprowadzić, byleby w okolicę żydowską i, niech Bóg broni, aby nie do lepszego mieszkania. Robiono to, by utrudnić i pogorszyć sytuację Żydów. Bo ktoś, kto miał pokój czy dwa, musiał przyjąć jakąś rodzinę. **Okupanci chcieli, aby Żydzi się podusili**. Stosowano więc zasadę, że goj zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać”.



POWYŻSZY „CYTAT” W KSIĄŻCE BARBARY ENGELKING:

„Na przykład w Brańsku wydano rozporządzenie, które »mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu jest Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Nie chrześcijanin, a właśnie Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd ma się wyprowadzić? Do Żydów [...]. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Dokąd? – To **ich** nie interesowało. W okolicę żydowską [...]. Goj zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać”.

stii opisu innej sprawy (AIPN Bi 407/82). Tu też ów dynamizm sytuacji jest skutkiem kreacji, a nie rekonstrukcji historii, a cytaty ze źródeł zostały sfabrykowane.

JAK TO WSZYSTKO JEST MOŻLIWE?

Barbara Engelking kieruje Centrum Badań nad Zagładą Żydów działającym w ramach Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Taka afiliacja, daleka od klasycznych placówek zajmujących się historią, z pewnością ułatwia jej działanie, ale skala tolerancji dla tych patologicznych zjawisk, widocznych zresztą w publikacjach większej grupy autorów, jest zdumiewająca. Fakt przerabiania treści źródeł historycznych w publikacjach profesora z PAN, a także kilku jego współpracowników opisywałem w ostatnich latach wielokrotnie. Gdyby czegoś podobnego dopuścił się urzędnik pracujący z państwowymi dokumentami albo pracownik banku z księgowymi słupkami, to obawiam się, że po ujawnieniu podobnego proceduru nie zakończyłoby się wyłącznie na wyrzuceniu z pracy. Tylko metody pracy łatwe do zidentyfikowania w publikacjach pani profesor Barbary Engelking na razie, mimo ich wielokrotnego upublicznienia, nie spotkały się reakcją ze strony władz

PAN. No, może poza straszeniem mnie procesem sądowym przez rzecznik prasową IFIS PAN. W późniejszym okresie Barbara Engelking dostała wsparcie niektórych polskich historyków (a jakże, głównie z PAN) oraz wsparcie ze strony części opinii międzynarodowej. Potem nawet otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Tel Awiwie.

Na liczne stawiane publicznie zarzuty przerabiania źródeł tak w podpisanych przez nią tekstach, jak w pracach pod jej redakcją (w świecie nauki takie zarzuty uważa się za dyskwalifikujące), nie raczy odpowiadać. Teraz minister kultury Hanna Wróblewska mianowała panią profesor przewodniczącą Rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau – ciała szczególnego, w którym winny obowiązywać najwyższe standardy, co w opisanym wypadku miejsca raczej nie ma. Taki to minister i takiej kultury. Taki doktorat honoris causa uniwersytetu w Tel Awiwie i profesura PAN Anno Domini 2025. Ile to wszystko jest warte? Mniej więcej tyle, ile publikacje Barbary Engelking.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN. Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami



Rafał A. Ziemkiewicz

Z Barbarą Engelking na czele swej rady Muzeum Auschwitz stanie się ważnym punktem antypolskiego frontu

Mianowanie Barbary Engelking przewodniczącą Rady Muzeum Auschwitz nie może być oceniane inaczej niż jako sygnał powrotu przez rządzące, lewicowo-liberalne elity do polityki celowego poniżania Polaków i polskiej historii, nazywanej potocznie „pedagogiką wstydu”. Po prostu nie sposób znaleźć dla tej nominacji żadnego uczciwego powodu ani żadnego innego logicznego uzasadnienia niż polityczna gra i socjotechnika. Jest to socjotechnika lat 90., której szczytowym punktem była kampania medialna i polityczna powiązana z publikacją książki Jana Tomasza Grossa „Śsiedzi”. Dodajmy, że przyniosła ona wielkie szkody nie tylko Polsce jako państwu, lecz także wspomnianym elitom. Irytacja, wywołana promowaniem oszczerstwa „polskiej współwiny” za Holokaust, miała swój udział w buncie wyborców przeciw salonom w latach 2005 i 2015.

A Barbara Engelking, jako szefowa rady, nie jest w stanie wnieść do muzeum Auschwitz niczego innego niż tylko to oszczerstwo, będące lejtmotytem całej publicznej działalności jednej z najbardziej znanych postaci „nowej szkoły badań nad Zagładą”. Jej dorobek naukowy – podobnie jak całej wspomnianej „nowej szkoły” – jest zwykłym humbukiem. Pozostawiając szczegóły sprawy – o których zresztą kiedyś już pisałem („Engelking na miarę potrzeb”, „Do Rzeczy” nr 22/2023) – autorom bardziej kompetentnym, przypomnę tylko, że pod głoszoną przez Engelking hasłem „skupienia się na bezpośrednich, konwencjonalnych i niekonwencjonalnych przekazach ofiar i potencjalnych ofiar” kryje się po prostu odmowa przestrzegania reguł klasycznego, naukowego warsztatu wypracowanego przez pokolenia historiografów. „Badacze” identyfikujący się z „nową szkołą badań

nad Zagładą” odrzucają „krytykę źródeł” i postulują opieranie się bezkrytycznie na wspomnieniach ocalałych, z założenia nie konfrontując ich z dokumentami, a tym bardziej ze świadectwami niepochochzącymi od „ofiar i potencjalnych ofiar”, czyli nieżydowskimi.

Te pierwsze nad drugimi mają w ich oczach o tyle większą wagę, że w swych „badaniach” opierają się także na świadectwach pośrednich: powiedzmy, na wspomnieniach kogoś, kto w 1944 r. na stacji kolejowej pod Warszawą rozmawiał z bliżej mu nieznanym mężczyzną, który miał wydostać się z płonącego miasta, i ten opowiadał mu, że w Warszawie polscy powstańcy polują na Żydów i mordują ich (to nie jest zmyślony przykład: właśnie na takim materiale źródłowym zbudowany został nagłośniony kiedyś przez „Gazetę Wyborczą” mit o „mnóstwie Żydów, wymordowanych przez

– jego kulturowe, socjologiczne i psychologiczne konteksty, a nie przebieg, który przynależy do badań historycznych. To, że profesor psychologii i socjologii oraz jej zespół, w dużej części złożony z historyków literatury, socjologów i kulturoznawców, zostały wykreowane przez media i instytucje polityczne na historyków, odkrywających „bolesną prawdę” o tym, kto naprawdę był winien Zagłady i kto najwięcej zaszkodził jej ofiarom, to jedna z największych hucp, jakie kiedykolwiek się przydarzyły w nauce, nie tylko polskiej.

Tę polityczno-medialną hucpę urządzono świadomie i celowo, korzystając przy tym ze sprawdzonych metod. Jedną z nich jest bardzo chętnie stosowana przez aktywistów lewicowych socjotechnika, polegająca na prowokowaniu przez komandosów lewicowych narracji powszechnego oburzenia ostrymi ataka-

Kto tu wpuścił

powstańców warszawskich”). Nie stronią również od wspomnianych już przekazów „niekonwencjonalnych” – np. snów. W ten sposób relacja wnuczki, że ocalona z Zagłady babcia często śniła koszmary, w których uciekała przed Polakami, staje się dla Barbary Engelking naukowym dowodem jej ulubionej tezy, że w czasie okupacji Żydzi musieli bardziej się bać Polaków niż Niemców.

NAUKOWA HUCPA

Właśnie dlatego Barbara Engelking, z wykształcenia psycholog, doktoryzowana i habilitowana na podstawie prac z zakresu socjologii kultury, kieruje Centrum Badań nad Zagładą Żydów afiliowanym nie przy Instytucie Historii PAN, ale przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Ten szczegół zwykle umyka uwadze niezorientowanych, dostrzegają oni tylko autorytet, który daje instytucji pani profesor Polska Akademia Nauk w nazwie. W istocie Centrum powstało, by badać „doświadczenie Holokaustu”

mi na powszechnie uznane wartości czy po prostu zdrowy rozsądek, by następnie mogli przedstawiać się jako ofiary hejtu i męczennicy prawdy. Po skrajnie bezzasadnych oskarżeniach, po niesprawiedliwych wypowiedziach o polskiej współwiny czy jawnie prowokacyjnym, rasistowskim wręcz stwierdzeniu, że dla Żydów śmierć jest doznaniem metafizycznym, spotkaniem z Najwyższym, a dla Polaków tylko fizjologią, stała się Engelking, jak zapewne na to liczyła, obiektem powszechnej krytyki. I to nadało ogromny, międzynarodowy rozpęd jej karierze. Z licznych głosów oburzenia życzliwe jej media, w tym te najbardziej wpływowe, starannie wybierały wypowiedzi najbardziej emocjonalne, niekiedy skrajne, których nie brakowało zwłaszcza w mediach społecznościowych, tworząc na tej podstawie narrację o prześladowaniu niezależnej historyk przez „prawdziwych Polaków” (w kręgach lewicowo-liberalnych to oczywiście określenie ironiczne i obelżywe, synonim

„polskiego faszysty”), którzy nie mogą ścierpieć odkrywanej przez nią prawdy.

MĘCZENNICA

Uwiarygodnił tę narrację m.in. uniwersytet w Tel Awiwie, honorując Engelking doktoratem honoris causa – z otwartym uzasadnieniem, że chce jej w ten sposób wynagrodzić doznawane w Polsce sokratejskie cierpienia. Bezpośrednim impulsem do przyznania jej tego zaszczytu był przegrany przez Engelking i współautora pracy „Dalej jest noc” Jana Grabowskiego w pierwszej instancji proces cywilny, wytoczony przez Filomenę Leszczyńską, która upominała się o cześć swojego stryja – człowieka, który w czasie wojny z narażeniem życia własnego i rodziny ratował Żydów, a opisany został przez badaczy „nowej szkoły” jako ich oprawca, bo w takiej akurat roli pasował im do budowanej narracji. Choć kłamstwo zostało

pełen antypolskich stwierdzeń wywiad udzielony Monice Olejnik w rocznicę powstania w warszawskim getcie, a mówiąc ściśle – rzucona po nim publicznie przez Przemysława Czarnka, ówczesnego ministra edukacji, uwaga: „Nie wiem, czy państwo powinno finansować taką naukę”, którą rozdmuchano do rozmiarów zapowiedzi zlikwidowania przez PiS „niepokornego” Centrum przy IFIS PAN. W bardzo charakterystyczny sposób bronił wtedy Barbary Engelking prof. Michał Bilewicz – ten, który w ostatnich dniach zasłynął wyborczym komentarzem, że wybór między Nawrockim a Trzaskowskim to wybór pomiędzy tymi, którzy podpalali stodołę w Jedwabnem, a tymi, którzy próbowali z niej Żydów ratować (pomińmy już, że oparta na opowieści Grossa „hagada”, którą przywołał, nie wytrzymuje konfrontacji z historycznymi faktami). Bilewicz podkreślił wtedy, że

Engelking?

stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, a proces przeprowadzono z powództwa prywatnego, o ochronę dóbr osobistych, a nie prokuratorskiego, to przedstawiono go w światowych mediach jako przejaw prześladowania historyków przez „rządzący Polską katolicko-narodowy reżim”. Warto tu przy okazji dodać, że sąd apelacyjny zmienił ten wyrok, uznając, że naukowcom przysługuje „prawo do błędu”, podobnie jak lekarzom, i przypomnieć podobny proces wytoczony przez Adama Michnika historykowi IPN za omyłkowe stwierdzenie, jakoby ojciec twórcy „Gazety Wyborczej” skazany był w II RP za szpiegostwo (podczas gdy w istocie skazano go za zdradę państwa polskiego – co, na zdrowy rozum, hańbi jego pamięć jeszcze bardziej). Bo, oczywiście, historykowi IPN nasze sądy „prawa do błędu” nie przyznały, co mówi właściwie wszystko o ich bezstronności.

Pretekstem do kreowania wizerunku Barbary Engelking jako prześladowanej przez nacjonalistów męczennicy był także

Czarnek zaatakował Engelking z zawiści, ponieważ pochodzi z chłopstwa, z awansu społecznego, podczas gdy ta ostatnia jest przedstawicielką rodu „profesorskiego”.

DWÓR – CHAŁUPA – ARENDA

To klasowe spojrzenie Bilewicza na krytykę antypolskiej aktywności Engelking zasługuje na zauważenie, gdyż wyjaśnia jedną z dwóch przyczyn, dla których ludzie pokroju Grossa, Grabowskiego, Leociaka czy właśnie Engelking mogą zawsze liczyć na gorące wsparcie lewicowo-liberalnych elit. Przyczynę rzadziej zauważaną, nazwijmy ją: krajową. Otóż narracja o „odwiecznym polskim antysemityzmie”, o szczególnie winach Polaków wobec Żydów, zwłaszcza w związku z Holocaustem, i – by przywołać kanoniczny dla zjawiska tekst „biednych polskich chrześcijanach patrzących na getto” – zaspokaja jedną z najgłębszych, tożsamościowych potrzeb formacji lewicowo-liberalnej i jej inteligenckiej w większości publiczności.



FOT. ANDRZEJ STUCK

To, co najistotniejsze dla zrozumienia porachunków polsko-żydowskich w ostatnich stuleciach, zwykle umyka bowiem uwadze nie tylko obserwatorów zachodnich, którym łatwiej to wybaczyc, lecz także większości krajowych. To, mianowicie, że nie mamy tu do czynienia z porachunkami dwustronnymi między Polakami a Żydami – ale ze wzajemnymi stosunkami w trójkącie. Polski pan, szlachcic, który potem przedzierzgnął się w inteligenta – polski plebejusz – polski Żyd. Dwór – chałupa – arenda. Kto tego nie rozumie, nie rozumie nic.

Najkrócej mówiąc – zainteresowanych rozwinięciem problemu zapraszam do lektury mojego „Chama niezbuntowanego” – Żyd przez wieki robił w tym trójkącie za pośrednika, którego rękami Pan mógł dopuszczać się różnych podłości, których mu wobec bliźniego zabraniała jego wiara. Szlachcic/inteligent patrzył więc na tego pośrednika w najgorszym razie z lekceważeniem, nazywając go nie „Żydem”, a „Żydkiem”, ale bez wrogości, bo był dla

■ niego użyteczny. Natomiast chłop widział w Żydzie prześladowcę i śmiertelnego wroga. Przy czym bezpośrednia sprawa wyzysku wzbudzała niechęć tym większą, że był obcy, odmienny religią, obyczajem i specyficznym żargonem, którym mówił; podczas gdy jego faktyczny mocodawca, szlachcic, swym stylem życia, jego wystawnością oraz obyczajem imponował i budził marzenie, by być takim samym.

Szczególnie wybuchły te emocje na przełomie wieków XIX i XX, gdy rodziło się nowoczesne, industrialne społeczeństwo i kształtująca się polska klasa średnia musiała zderzyć się ze społecznością żydowską, która w dawnej Rzeczypospolitej zastąpiła praktycznie nieistniejący przez to stan mieszczański i nadal zajmowała jego miejsce.

Antysemityzm w Polsce nie miał nigdy charakteru rasowego – jeśli w ogóle pojawiały się w nim takie wątki, to prawem wtórnej racjonalizacji. Był raczej lokalną odmianą walki klas. W którąkolwiek stronę obrócił się polski przedwojenny chłop, widział jakiegoś Żyda, czy to pachciarza, czy handelesa, który, brzydko mówiąc, rznął go na kasie. Gdy chłopski syn szedł do miasta, kształcił się i chciał wejść do elitarnych zawodów, zostać lekarzem, adwokatem – zderzał się z zasedziałymi sytuacjami, które też postrzegał jako zmywy żydowskie. Stąd postulaty parytetu dla Polaków na wyższych uczelniach (opisywanego w historiografii jako numerus clausus dla Żydów), antyżydowskie bojkoty czy tumulty, które zwykle, jak w Przytyku, zaczynały się od kłótni na targowisku etc.

To przypisanie wrogości wobec Żydów warstwie niższej, „chamstwu”, w sytuacji, gdy wrogość ta stała się wskutek doświadczenia Holocaustu czymś zdecydowanie hańbiącym, zdeterminowało postawę michnikowszczyzny i determinuje ją do dziś. Charakterystyczne, że już pierwsze propagandowe salwy, oddane w 1989 r. w „wojnie na górze”, bazowały na oskarżeniu Wałęsy i wiernych mu związkowców o antysemityzm. Narracja o „polskim antysemityzmie”, kompromitującym nas przed światem, w istocie będąca biciem się przez lewicowo-liberalną inteligencję w cudzą, plebejską pierś, wpisała się idealnie w szerszą opowieść o światłej, prozachodniej elicie i ciemnym ludzie, nad którym elita ta

stale musi trzymać straż, brać go w dyby „dziejowej konieczności” (reform) oraz chłostać wstydem. Bo inaczej, gdyby tylko „hołocie” popuścić – zrobi tu faszyzm i oderwie nas od Europy. Mało kto już dziś pamięta, że w determinującej dalsze dzieje III RP kampanii wyborczej 1990 r. jeden z najczęściej pokazywanych przez sztab Mazowieckiego spotów pokazywał cios siekierą (kojarzoną z „małym Mussolinim Wałęsą”) w mapę, odcinający Polskę od zachodniej części kontynentu.

Ta sytuacja, dodatkowo zaostrzona emocjami wynikającymi z pomarcowych traum środowiska „komandosów”, wytworzyła fantastyczną koniunkturę dla szalbierzy pokroju Barbary Engelking. Zmobilizowała ogromne poparcie dla przypisywania Polakom wszelkich, nawet najbardziej absurdalnych win wobec Żydów i pchnęła tłumy inteligentnych „użytecznych idiotów” do odprawiania zbiorowych rytuałów samobiczowania, mielenia frazesów o potrzebie szczerego wyznania win i oczyszczenia, produkowania memów w rodzaju karuzeli na placu Krasieńskich, na której rzekomo Polacy bawili się wesoło, podczas gdy obok „naziści” pacyfikowali getto itd. Nie trzeba chyba tego wszystkiego przypominać. Warto dodać, że sytuacja ta zbiegła się w czasie z opanowaniem lewicowo-liberalnych elit Zachodu modą, którą Pascal Bruckner nazwał w sławnej książce „Tyranii skrucy”. Polskim salonom tym bardziej dodało to przekonania, że intensywne samobiczowanie wpisuje je w światowy trend i w wyższość elit zachodnich, do których aspirowały.

Czynnikiem drugim, i zapewne decydującym, było powstanie po upadku ZSRS tego, co Norman Finkelstein nazwał „przedsiębiorstwem Holocaustu”. Wpływowe amerykańskie środowiska żydowskie zaczęły łakomie spoglądać na „mienie bezspadkowe” w dołączających do Zachodu byłych państwach postkomunistycznych, zwłaszcza, oczywiście, na Polskę. Ponieważ żadne prawo świata nie przewiduje pojęcia „mienia bezspadkowego” i możliwości przejmowania go na zasadzie jakiegoś dziedziczenia plemiennego, zaczęto tworzyć dla roszczeń uzasadnienie odwołujące się do argumentu moralnego: Polacy muszą „oddać” mienie po ofiarach Zagłady (lub jego ekwiwalent w brzęczącej walucie), bo są jej współsprawcami – każdy wszak

przyzna, że to niemoralne pozwalać zbrodniarzom zachować mienie, które zrabowali ofiarom. Na budowanie tej narracji skierowano środki adekwatne do oczekiwanych zysków. Część z nich nakręciła koniunkturę dla „nowej szkoły badania Holocaustu”.

Nie bez znaczenia jest wreszcie skomplikowana sytuacja polityczna państwa Izrael, gdzie syjoniści Beniamina Netanjahu, realizujący plan wielkiej czystki etnicznej, balansują od lat na krawędzi utraty władzy i chętnie sięgają po antypolską nienawiść jako czynnik łączący ich z mniejszymi, skrajnie radykalnymi koalicjantami, w rodzaju Becalela Smotricza, a i ich polityczni przeciwnicy, jak Ja’ir Lapid czy Naftali Bennett, grają chętnie tą samą kartą. W oczywisty sposób ich propagandowa licytacja rzutuje na nastawienie do Polski całej żydowskiej diaspory.

MAMY PROBLEM

Żaden z tych czynników nie przestał działać, można więc się spodziewać, że ataki będą trwać, a po utracie władzy przez Tuska i stojący za nim obóz lewicowo-liberalny ulegną szczególnemu nasileniu: Polska znów będzie rządzona przez „narodowo-katolicki reżim”, wobec którego nie obowiązują żadne skrupuły i przeciwko któremu znów będzie można z powodzeniem używać polskich lewicowo-liberalnych salonów, które utrata władzy bez wątpienia wprową w kolejny paroksyzm hysterii i pogardy dla „polskiej ciemnoty”. Z Barbarą Engelking na czele swej rady Muzeum Auschwitz stanie się ważnym punktem antypolskiego frontu.

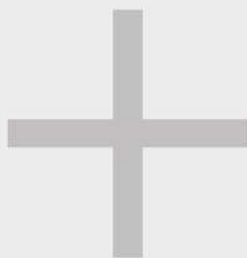
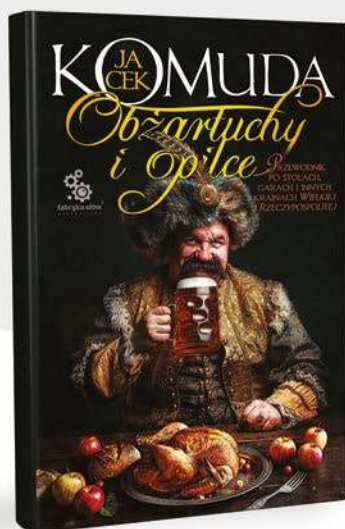
Czy minister Hanna Wróblewska zdaje sobie z tego sprawę? Czy podpisała tę nominację, nie zdając sobie sprawy, że tak wyraziście niechętna Polakom aktywistka jest ostatnią osobą, która licowałaby z misją Muzeum jako miejsca upamiętniania, a nie instrumentalizowania ofiar straszliwej zbrodni, czy może właśnie po to, by do tej instrumentalizacji doszło? Czy skandaliczną decyzję podjęto ponad nią, w gabinecie premiera, czy też może minister okazała się nieodporna na lobbing środowisk zainteresowanych wzmaganiem presji na Polskę? W gruncie rzeczy nie ma to wielkiego znaczenia. Ważne jest, że mamy teraz poważny problem. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA:
„OBŻARTUCHY I OPILCE”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~575~~ Zł

273,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 302 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl cd2a14df57

Tusk słabnie

– prawica stoi przed wielkim testem



Karol Nawrocki (na zdjęciu) tylko nieznacznie przegrał w pierwszej turze wyborów prezydenckich z Rafałem Trzaskowskim FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS



Piotr Semka

Cały obóz liberalny po pierwszej turze wyborów prezydenckich wręcz staje na głowie, aby skłócić prawicę. Bo jej trwały podział to gwarancja tego, że „wszystko będzie tak, jak było”. To dla Platformy kwestia życia lub śmierci

Pierwsza tura wyborów prezydenckich jak błysk flesza pokazała nowe kontury polskiej polityki. Druga tura to unikalna szansa zablokowania planów monowładzy Platformy. Tym bardziej ułatwiona, że po pierwszej turze koalicja wyraźnie chwieje się na nogach. Pozostaje

drobiazg. Pytanie: Czy Konfederacja wezwie do głosowania na Karola Nawrockiego i w jakim stylu to zrobi? Bo Sławomir Mentzen może zrobić to tak, by zbudować trwałe podstawy do przyszłej koalicji PiS-Konfederacja albo może też to rozegrać w tak arogancki sposób, że wzajemna podejrzliwość nie osłabnie.

Nic dziwnego więc, że cały obóz liberalny wręcz staje teraz na głowie, aby skłócić prawicę. Bo jej trwały podział to gwarancja tego, że „wszystko będzie tak, jak było”.

W NOWYM ŚWIECIE

No to doczekaliśmy się naszej polskiej wersji zwrotu w prawo, który pół roku temu przemienił Amerykę. Liczby są jednoznaczne. Czterej kandydaci prawicy – Karol Nawrocki (29,54 proc.), Sławomir Mentzen (14,81 proc.), Grzegorz Braun (6,34 proc.) i Marek Jakubiak (0,77 proc.) – uzyskali łącznie 51,46 proc. głosów.

Dla porównania: trzech kandydaci reprezentujący partie koalicji 13 grudnia – Rafał Trzaskowski (31,36 proc.), Szymon Hołownia (4,99 proc.) i Magdalena Biejał (4,23 proc.) – uzyskali łącznie 40,58 proc.

Przewaga kandydatów prawicy nad koalicjantami pod wodzą Donalda Tuska wyniosła aż 10,88 p.p. Nic dziwnego, że Piotrowi Pacewiczowi z OKO.press wyrwało się pod wpływem tych wyników gorzkie westchnienie: „Sen z 15 października się skończył”. Inny publicysta lewicy, Jacek Żakowski, posunął się nawet do kąpieli w uwagi, że w każdym innym demokratycznym kraju wobec takiej porażki premier podałby się do dymisji.

Na tak spory sukces kandydatów prawicy złożyły się oczywiście czynniki wewnętrzne i zewnętrzne. Wewnętrzne to słabość kandydatury Trzaskowskiego. Wręcz operetkowa hucpa wykazywana przez Szymona Hołownię i dość jasne przekonanie wyborców, że Magdalena Biejat to lewicowa pacyнка w pełni uzależniona od Donalda Tuska. Młodzi machnęli ręką na retorykę kandydatki lewicy i poparli krytycznego wobec koalicji lewicowca Adriana Zandberga.

Sukces Mentzena, który zdobył najwięcej głosów w grupie wiekowej 18–29 lat, to wynik bardzo dobrze zaplanowanego przekazu, a także aktywności w sieci. To paradoks, że PiS – przekonany o swoim atucie życziwego traktowania przez telewizję Republika i wPolsce24 – poczuł się na tyle pewnie, że na polu kampanii w Internecie dał się zdystansować sztabowi Mentzena i Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Jednak zarówno sukcesom PiS, jak i partiom Mentzena i Brauna sprzyjała zapaść Unii Europejskiej, która za pomocą takich utopijnych pomysłów jak Zielony Ład czy szalonych planów redys-trybuowania uchodźców po wszystkich krajach Europy przekonała Polaków, że radosne pomysły przewodniczącej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, to dla nich realne zagrożenia.

W przypadku Brauna dodatkowo się okazało, że jego styl radykalnej retoryki doskonale sprawdza się w obecnej epoce zagrożeń. Także taktyka happeningów okazała się skutecznym kluczem do zwiększenia swej rozpoznawalności.

Osobny był przypadek PiS. Największa formacja opozycji po powstaniu koalicji 13 grudnia i odkryciu, że nie ma ona żadnej ochoty na spełnianie przedwyborczych obietnic, była przekonana, iż wybory prezydenckie będą dla niej

okazją do rewanżu za porażkę z jesieni 2023 r. Jak się okazuje – przedwcześnie.

Półtora roku Tuska skłoniło Polaków do dania rządowi żółtej kartki, ale nie tylko PiS na tym skorzystał. Partia Jarosława Kaczyńskiego nie przewidziała, że młodzi w tak dużym stopniu zwrócą się w stronę Konfederacji i partii Brauna. Na dodatek zarówno Mentzen, jak i liderzy PiS zdawali się być pewni, że sprawiający obu partiom kłopoty Grzegorz Braun nie wyjdzie poza limit 2–3 proc.

Nie zmienia to faktu, że gra toczy się jednak o prezydenturę. I w tym pojedynku PiS nie traci szans na wygraną Nawrockiego. Tyle że nawet jeśli Nawrocki wygra, to architektura prawej strony będzie już inna. Świat, w którym to tylko PiS rozdaje karty, odszedł do przeszłości. A ktoś, kto przez dekadę przywykł do tego, że to on podejmuje ostateczne decyzje po prawej stronie, może mieć trudności z przyzwyczajeniem się do nowych realiów.

wcześniej tego starannie unikał – uznał, iż musi wejść w jakiejś formie do kampanii.

Znów dokonuje tego jednak z wdziękiem słonia w składzie porcelany. Jego solenne prośby w powyborczym wywiadzie dla TVP, by wyborcy dali koalicji dokończyć dzieło rozpoczęte 15 października, brzmiały jak zdarta płyta. A zaklęcia, że gwarancją przed monowładzą PO są „niezależny prezydent Trzaskowski i niezależne sądy i prokuratura”, mogły przekonać tylko proplatformerski beton. Zachowujący resztki zdrowego rozsądku wiceszef PSL, Krzysztof Hetman, skomentował wejście premiera w kampanię Trzaskowskiego w zjadliwy sposób: „Tusk w ten sposób jedynie mobilizuje elektorat PiS”.

Tusk jest przekonany, że znów uratuje sytuację magicznym hasłem rekonstrukcji rządu. Ale ten temat podnieca już mało kogo. Lider Platformy próbuje też zneutralizować zagrożenie wzrostu popularności Adriana Zandberga, propo-

Zarówno sukcesom PiS, jak i partiom Mentzena i Brauna sprzyjała zapaść Unii Europejskiej, która przekonała Polaków, że radosne pomysły przewodniczącej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, to dla nich realne zagrożenia

Ale działa też to w drugą stronę. Konfederacja i partia Brauna mogą w kółko odreagowywać swoje urazy z czasów, gdy PiS zadzierał wobec nich nosa. Ale nie przybliżył jej to do władzy. Dla prawej strony sceny politycznej zaczyna się właśnie okres zdawania egzaminu z dojrzałości i odpowiedzialności.

KRÓTKIE SPIĘCIE

Dawno już nie oglądaliśmy tak zdenerwowanego Donalda Tuska, który odreagowywał kiepskie wyniki wyborcze atakami na posłów PiS i gniewnymi tyradami. Jakby dla kontrastu Jarosław Kaczyński obserwował to z sejmowej trybuny w szampańskim nastroju. W żywe oczy kpił sobie ze Sławomira Nitrasa z PO, wykonując aluzyjny gest pocierania nosa. Tusk słusznie zrozumiał, że słabe wyniki Trzaskowskiego, Hołowni i Biejat w pierwszej turze to żółta kartka od wyborców. Co więcej, wynik Trzaskowskiego okazał się na tyle słaby, że Tusk – chociaż

nując mu wejście do rządu w celu objęcia specjalnie powołanego dla Zandberga resortu – ministerstwa mieszkalnictwa. Trudno przypuszczać, by lider Razem dał się nabrać na taki zatruty prezent.

Dodatkowo poważne kłopoty mogą czekać Polskę 2050. Hołownia był pewien, że znów sprzeda wyborcom swój wizerunek jako polityka środka, ale nikt na te strojne szatki i elokwencję byłego gwiazdora TVN się nie nabrał. A PSL za chwilę może pokazać swoją słabość, kiedy jego wyborcy uchylą się od głosowania na Trzaskowskiego. W tej sytuacji dla Platformy kwestią życia lub śmierci jest skuteczne skłócenie polskiej prawicy.

KUSZENIE MENTZENA

Pierwszy makiawelistyczny plan odwrócenia sukcesu prawej strony zgłosił już pierwszego dnia po wyborach Tomasz Lis. Jak napisał: „Mentzen może być za chwilę królem polskiej prawicy i kandydatem na premiera. Po diabła miałby pomagać



Karol Nawrocki dobrze wykorzystał wizytę u Sławomira Mentzena. Rozmowę oglądały na żywo setki tysięcy internautów. FOT. YOUTUBE.COM/C/SLAWOMIRMENTZEN

■ Nawrockiemu. W układzie z PiS zawsze będzie tym mniejszym i słabszym”.

Jeszcze tego samego dnia wręcz zaproponował konfederatom współdziałanie: „KO ma rozliczać PiS, a Konfederacja atakować ich z prawa. Znana ze szkoły gra w dwa ognie. Interes wspólny”. I wreszcie następnego dnia kolejny seans kuszenia: „Mentzen może być za 2 lata jednym z 2–3 najważniejszych ludzi w polskiej polityce. Chyba że stchórzy i sprzeda się Kaczyńskiemu za drobne, zamiast go zjeść i wypluć”.

Zaletą tweetów Tomasza Lisa jest to, że dobrze ilustrują one pomysły, które pojawiają się w obozie Platformy. Najwyraźniej polegają one obecnie na maksymalnym skłóceniu Mentzena z elektoratem PiS przy okazji drugiej tury, a potem łudzeniu konfederatów, że mają szansę na jakąś partnerską grę z Tuskiem. Wszystko to po to, aby zlikwidować legendarny duopol, tyle że ta likwidacja ma się ograniczyć jedynie do partii Jarosława Kaczyńskiego.

Pierwsze reakcje obozu Konfederacji były bardzo trzeźwe. Krzysztof Bosak głosił: „Mówimy jasno, nie chcemy, żeby Rafał Trzaskowski wygrał. Uważamy go za polityka szkodliwego i fałszywego – hipokrytę. Poparcia wprost nie będziemy udzielać, bo nikt nas o to poparcie nie poprosił. Natomiast możemy powiedzieć, na kogo głosować nie będziemy – na Rafała Trzaskowskiego”.

Dzień później Sławomir Mentzen postanowił zarobić trochę punktów i wystąpił z programem, do którego odnieść mają się Nawrocki i Trzaskowski. Osiem punktów tego planu zostało napisanych tak, że są one akceptowalne dla Nawrockiego. Tak naprawdę to nawet większość postulatów Grzegorza Brauna daje się Nawrockiemu pozytywnie skomentować.

Z drugiej strony Mentzen nie mógł się powstrzymać, aby swe spotkanie z kandydatem PiS zapowiedzieć jako „grillowanie

Nawrockiego”. Występując w Kanale Zero, Mentzen pękał wręcz z dumy, że to do niego pielgrzymować będą po prośbie Nawrocki i Trzaskowski przed drugą turą. Dodatkowo powtórzył, że uważa perypetie z mieszkaniem Jerzego Ż. za kwestię obciążającą Nawrockiego. W mediach społecznościowych opublikował zdjęcie, jak dumny z siebie pali ogromne cygaro z podpisem: „Taki mam od wczoraj nastrój. Uwielbiam uczucie dobrze wykonanej roboty”.

Nawrocki dobrze wykorzystał wizytę u Mentzena. W ośmiu punktach lidera Konfederacji uzyskali porozumienie. Nawrocki potrafił skrytykować to, czym PiS w ciągu ośmiu lat swych rządów najbardziej naraził się prawej stronie. Jak wykazał internetowy sondaż, 61 proc. widzów tego show uznało się za przekonanych do oddania głosu na Nawrockiego (38 proc. nie przekonał). W sytuacji, gdy Nawrockiemu potrzebny jest każdy głos, to sporo. Mentzen zachował swój wygodny dla siebie status kogoś, kto do niczego nie namawia swoich wyborców, ale „tylko” umożliwia im przekonanie się co do poglądów śmiałka z Gdańska. Trochę lisia ta polityka Mentzena, ale najważniejsze, że nie pali mostów między Nawrockim a Konfederacją.

Sam Mentzen też ma swoje problemy. Grzegorz Braun pokazał mu w tych wyborach, że nie da się zmarginalizować po prawej stronie. A lider Konfederacji Korony Polskiej zapewne zapamiętał sobie, że Mentzen był pewny, iż wypchnął rywala z własnego rewiru politycznego. Problem jest jednak szerszy. Zarówno PiS, jak i Konfederacja muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, jak daleko mogą posunąć się w choćby milczącym akceptowaniu bardzo agresywnej retoryki Brauna. Jego wypowiedzi krytyczne wobec Żydów nie pozostaną niezauważone w Stanach Zjednoczonych. Wszystko to przy jednoczesnej

bardzo daleko posuniętej taryfie ulgowej Brauna wobec Rosji czyni z niego kłopotliwego koalicjanta. A przedstawianie się jako jedyny sprawiedliwy na tle łżeprawicy to ulubiona metoda charyzmatycznego lidera Konfederacji Korony Polskiej.

Tyle że tak się trwałyłch koalicji nie buduje.

CO DALEJ NA PRAWICY

Teoretycznie wyraźne oznaki kryzysu koalicji 13 grudnia powinny skłonić polityków PiS i Konfederacji do realnego myślenia o wspólnej koalicji. Tyle że po obu stronach silne są nastroje nieufności wobec prawicowego rywala. W Konfederacji silna jest frakcja, którą utożsamiać można z posłem Stanisławem Tyszką, która mówi, że lepiej trzymać się od PiS z daleka, poczekać, aż się rozpadnie, i wtedy wysunąć się na czoło obozu prawicowego z wielkim finałem w postaci zdobycia ok. 25 proc. w sejmowych wyborach w 2027 r. Tym buńczucznym planom przeciwstawiają się ci polityczni realści, którzy wskazują, że przez te dwa lata w razie wygranej Trzaskowskiego Platforma, owszem, może zdelegalizować PiS, ale zaraz potem zajmie się Konfederacją i partią Brauna. Nie sposób jeszcze ocenić, która tendencja wygra.

Tym bardziej że na konflikt polityczny nakłada się jeszcze konflikt pokoleniowy. Konfederaci przez lata czuli się traktowani protekcjonalnie przez PiS i mają swoje rejestry urazów. Z kolei PiS patrzy podejrzliwie na Konfederację jako partię, która w czarnych wizjach pisowców w klubowych momentach daje się przekupić Platformie stosunkowo małym kosztem. Być może obie strony pogodzi lub skłoni do kooperacji tradycyjna fala hysterii, która ogarnia inteligencję wspierającą Platformę. Jej symbolem stał się słynny już wpis Michała Bilewicza, porównujący głosowanie na Nawrockiego do podpalania stodoły w Jedwabnem. Jednak nie zapominajmy, że o potencjale sił w tej rozgrywce po prawej stronie zadecyduje to, czy PiS uzyska prezydenturę czy nie. Wygrana wojownika z Gdańska odsunie widmo tuskodyktatury, ale może też wprowadzić do gry nowy ośrodek polityczny, któremu łatwiej będzie mediować między PiS a Konfederacją.

I dopiero gdy jasne się stanie, kto zdobędzie Belweder, będziemy mogli coś prognozować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Memy we współczesnej mediokracji są nie tylko narzędziem propagandy partyjnej, lecz także miernikiem nastrojów. Te pokazują, że Rafał Trzaskowski jest uważany przez znaczną część wyborców za skrajnie niewiarygodnego i absurdalnie wręcz plastycznego

2 975 000. Tyle potencjalnie głosów może zyskać w drugiej turze Rafał Trzaskowski, gdyby zagłosowali na niego wszyscy wyborcy kandydatów o prorządowej lub lewicowej afiliacji, w tym wszyscy wyborcy Szymona Hołowni i Adriana Zandberga (zwłaszcza w tym ostatnim przypadku to wcale nie jest pewne).

4 633 000. Tyle miałyby do dyspozycji Karol Nawrocki, gdyby z kolei na niego zagłosowali wszyscy, którzy oddali w pierwszej turze głosy na kandydatów o afiliacji prawicowej, a więc przede wszystkim wszyscy wyborcy Sławomira Mentzena oraz Grzegorza Brauna, a także Marka Jakubiaka czy Artura Bartoszewicza. Wiadomo jednak, że nie będzie tutaj żadnego automatyzmu.

ZNAMIE ANTYSYSTEMOWOŚCI

Z oddanych w pierwszej turze głosów 9,1 mln przypadła na kandydatów o orientacji lewicowej, z Trzaskowskim łącznie, 10,4 mln zaś na kandydatów o umownej prawicowej orientacji (łącznie z Nawrockim). Ta różnica 1,3 mln głosów jest znacząca i wydaje się umieszczać Polskę w grupie państw, gdzie prawa strona zyskuje. To jednak spore uproszczenie, bo przecież motywacje głosujących bywają różne. Nie bez powodu analitycy wskazywali choćby na przepływy pomiędzy elektoratami Mentzena i Zandberga – stojących przecież na skrajnych przeciwnych skrzydłach, lecz połączonych znamieniem antysystemowości. Dlatego nic nie jest rozstrzygnięte.

A jednak to właśnie stwierdzenie – nic nie jest rozstrzygnięte – jest tutaj kluczowe, bo na początku kampanii mogło się



wydawać, że właśnie rozstrzygnięte jest. Wiele osób może mieć tutaj skojarzenie z kampanią prezydencką w 2015 r., gdy w obozie wtedy sprawującym wciąż władzę trwało poczucie, że wybory będą jedynie formalnością. Czy jednak jest to trafna analogia, skoro tamte wybory odbywały się po ośmiu latach rządów Platformy Obywatelskiej i pięciu latach prezydentury Bronisława Komorowskiego, a zatem w okolicznościach znacznie dla PiS korzystniejszych, oznaczających istotne zużycie władzy? Przez długi czas to zastrzeżenie wydawało się całkowicie trafione. Wszak PiS podczas swoich ośmiu lat – które skończyły się zaledwie półtora roku temu – bardzo dał się we znaki

części prawicowego elektoratu. Covidowe restrykcje, uległość wobec Ukrainy czy skrajnie socjalny i etatystyczny kurs – to są sprawy, z których partia wspierająca Nawrockiego się nie rozliczyła i najpewniej już nie zamierza.

A jednak Karol Nawrocki ma szczęście: właśnie te półtora roku rządów obecnej koalicji w znacznej mierze zresetowało negatywne odczucia z poprzednich dwóch kadencji. Perspektywa przejścia całkowitej kontroli nad państwem przez obóz Koalicji Obywatelskiej sprawia, że dawne winy formacji Jarosława Kaczyńskiego faktycznie liczą się znacznie mniej, niż powinny. Lecz znów trzeba tu zrobić uwagę: nie jest tak w każdym elektoracie.

O ile może to dotyczyć zdecydowanej większości wyborców Mentzena, o tyle już niekoniecznie wyborców Grzegorza Brauna. Ten elektorat – 1,2 mln ludzi – jest znacznie radykalniejszy w ocenie rządów PiS, był w tamtym czasie znacznie ostrzejszy w krytyce, a nieśmiałe próby skrytykowania zaledwie dwóch aspektów strategii PiS z tamtego czasu – COVID-19 i Ukraina – ze strony kandydata „obywatelskiego” nie muszą być dla większości tej grupy wyborców przekonujące. Sądząc po tym, jak w sieci wypowiadają się wyborcy Brauna, wielu z nich może rozważać niegłosowanie w drugiej turze.

Z drugiej jednak strony obóz Trzaskowskiego robi naprawdę wiele, żeby wyciągnąć z domu 1 czerwca każdego sprzyjającego choćby delikatnie opozycji, o twardym Braunowskim elektoracie nie mówiąc. Znamiennie pod tym względem było wystąpienie kandydata KO podczas wieczoru wyborczego. Można je określić jako kontrintuicyjne. Zwykle bywa bowiem tak, że potrzeba szerszego zarzucenia sieci w drugiej turze popycha wtedy kandydatów do bardziej umiarkowanych i centrowych wypowiedzi. Trzaskowski postąpił odwrotnie. Przed pierwszą turą – w której właśnie kandydaci mogą być bardziej tożsamościowi – rozmył swój polityczny wizerunek tak skrajnie, że zaowocowało to jedną z największych w historii ostatnich wyborów falą memów. Rafał modlący się na majowym, Rafał z gaśnicą, Rafał dzwoniący do Brauna: „Szczęść Boże, panie Grzegorzu, czy interesuje pana stanowisko ambasadora w Tel Awiwie?” – memy we współczesnej mediokracji są nie tylko narzędziem propagandy partyjnej, lecz także miernikiem nastrojów. Te pokazują, że Trzaskowski jest uważany przez znaczną część wyborców za skrajnie niewiarygodnego i absurdalnie wręcz plastycznego.

Tymczasem we wspomnianym wystąpieniu kandydat postanowił przypomnieć wszystkim, dlaczego ostrzegaliśmy przed nim prawa strona. Pierwsze kwestie, które wymieniał na liście swoich obietnic, to liberalizacja „średniowiecznego” prawa antyaborcyjnego, „rozdział Kościoła od państwa” (cokolwiek miałyby to oznaczać) i likwidacja Funduszu Kościelnego (czysty populizm, w dodatku nie do zrealizowania z pozycji prezydenta, bo rzecz wymagalaby rządowych negocjacji ze wszystkimi

beneficjentami, a lista jest długa – nie jest to tylko Kościół katolicki) oraz ustawa o języku śląskim. Niedługo później, komentując deklarację Mentzena, którą ten zamierzał przedstawić do podpisu obu kandydatom, oznajmił, że nie podpisze punktu o niedopuszczeniu do członkostwa Ukrainy w NATO.

Również zaraz po wyborach do siedziby sztabu kandydata wdarli się chuligani z Ostatniego Pokolenia – organizacji, która budzi powszechną niechęć, nawet nienawiść, i to ponad podziałami plemiennymi, a to już naprawdę duże osiągnięcie. Filmiki, na których wściekli kierowcy sami usuwają blokującą ulice bandyterkę, budzą w sieci entuzjazm. Prezydent Warszawy z jednej strony niby potępiał blokowanie dróg przez Ostatnie Pokolenie, ale z drugiej nie podjął żadnych działań wobec Fundacji Aktywizmu Klimatycznego „Gniazdo”, która wynajmuje od miasta komunalny lokal w samym centrum Warszawy, przy Kruczej, za śmieszne pieniądze (niewiele ponad 2 tys. zł miesięcznie) – a w tym lokalu Ostatnie Pokolenie organizowało swoje spotkania i szkolenia. Gdy klimatystyczni chuligani znaleźli się w sztabie Rafała Trzaskowskiego, ten – gdyby podążał za dominującym sentymentem – powinien był ich stamtąd po prostu wyrzucić z pomocą policji. Tak się jednak nie stało. Podjęto negocjacje i quasi-terrorystyczna działalność Ostatniego Pokolenia została przez kandydata niejako zalegalizowana poprzez obietnicę spotkania po wyborach. O ile twardzi antypisowscy wyborcy przełkną takie postępowanie bez mrugnienia okiem, a część nawet je ochoczo poprze, o tyle dla nawet umiarkowanych wyborców prawej strony – a już na pewno dla elektoratów Mentzena i Brauna – jest to nieakceptowalne.

MOCNY ZWROT W LEWO

Z tych działań można wyczytać strategię Trzaskowskiego na drugą turę. Zamiast poszukiwania wśród wyborców bardziej z centrum czy tym bardziej wyborców z puli owych 4,6 mln głosów strony prawej kandydat KO wybrał mocny zwrot w lewo i próbę pozyskania każdego głosu z puli blisko 3 mln głosów lewej strony. Ta strategia jest jednak bardzo ryzykowna – właśnie z powodu liczb. Być może Trzaskowskiemu uda się zmobilizować do oddania na niego głosu większość lewej

strony, a może nawet uda mu się pobudzić do głosowania niektórych wyborców, którzy w pierwszej turze nie głosowali, ale jednocześnie każdym takim posunięciem mobilizuje przeciwko sobie znacznie większą grupę potencjalnych wyborców Nawrockiego. A przecież druga tura to właśnie często bardziej głosowanie przeciwko niż za.

Trzeba tu koniecznie docenić tytaniczną pracę, którą na rzecz kandydata PiS wykonują „wincyje”. To mój autorski termin, mający źródło w hashtagu #wincyje. Używam go dla oznaczania wypowiedzi osób z kręgów wspierających kandydata KO, które porażają arogancją, obrażają wyborców przeciwnej strony i tak naprawdę robią popieranemu przez siebie Rafałowi Trzaskowskiemu niedźwiedzią przysługę, niesamowicie mobilizując przeciwną stronę do zagłosowania przeciwko niemu.

Kilka przykładów. Na X zwolenniczka Trzaskowskiego, Natalia Nyk („socjolożka, antyPiS”), stwierdza, że „jedną z pierwszych decyzji po wygranych wyborach powinna być delegalizacja Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej” (autorka najwyraźniej nie wie, że o delegalizacji partii politycznej w naszym kraju decyduje Trybunał Konstytucyjny). „Przeróżające, jak nie umiemy oddzielać dobra od zła” – lamentuje na temat wyników pierwszej tury kompozytor Zbigniew Preisner. Ten sam, który za pierwszych rządów PiS chciał na stałe wyjeżdżać z Polski. Niezawodny prof. Wojciech Sadurski pisze: „Powszechnie wskazywane niedoszacowanie wyborców prawicy w sondażach to zła i dobra wiadomość. Zła – bo pokazuje słabość sondaży. Dobra – bo wskazuje, że wyborcy Nawrockiego, Mentzena i Brauna wstydzą się do tego przyznać. Mają rację – jest czego się wstydzić”. Profesor Michał Bilewicz oznajmia, że w tych wyborach zdecydujemy, „po której stronie stodoły w Jedwabnem stoimy”. I tak dalej, i tak dalej. Wiele jeszcze „wincyjów” wygenerują przed 1 czerwca ludzie, na których sztab Trzaskowskiego nie ma – na szczęście dla Nawrockiego – większego wpływu. Osoby takie jak Krystyna Janda, Tomasz Lis, Magdalena Środa, Adam Michnik, prof. Radosław Markowski i wielu, wielu innych – oraz cała masa zwolenników Trzaskowskiego spod znaku Silnych Razem. Wszyscy oni faktycznie bezkosztowo

działają w sztabie jego rywala. Na dodatek mają wsparcie już wprost z partii Rafała Trzaskowskiego, tak jak w przypadku Pawła Kowala, który apeluje do wyborców Nawrockiego, żeby nie oddawali na niego głosu, bo trzeba przyjąć Ukrainę do NATO i UE.

Jeżeli spojrzeć na tę sytuację z pewnego oddalenia, to widać, że Koalicja Obywatelska popełniła dwa istotne strategiczne błędy, które mogą ją kosztować prezydenturę. Po pierwsze – zaraz po wyborach obrała ostry kurs na „rozliczenia”, a żeby było śmieszniej – kurs w dużej mierze nieskuteczny. Sprawy takie jak trzymanie w areszcie „tymczasowym” ks. Michała Olszewskiego czy pracownik Ministerstwa Sprawiedliwości albo wejście policji do Pałacu Prezydenckiego w celu zatrzymania przebywających tam Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego były jedynie teatrem i nie miały wiele wspólnego z prawdziwym rozliczaniem. To ostatnie musiałyby polegać na szybkim przedstawieniu aktów oskarżenia i procesach. Nie o to tu jednak chodziło, ale o zaspokojenie

znajdziemy się w sytuacji państwa niemal autorytarnego, bo zniknie ostatni istotny instytucjonalny hamulec dla samowoli partii Donalda Tuska, która i tak już bardzo uznaniowo traktuje system prawny. A to potężny bodziec, aby zagłosować przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu – a więc na Karola Nawrockiego.

Drugi błąd ma bezpośredni skutek w trwającej kampanii. KO tyle razy sięgała po mające kompromitować przeciwnika informacje do zasobów powiązanych ze służbami czy z prokuraturą, że tego typu ataki nie tylko spowszedniały, lecz także zaczęły być odbierane jako zwyczajnie niewiarygodne, „skręcone” przez służby. Stąd prawdopodobnie brak poważniejszego wpływu rzekomej afery z mieszkaniem Jerzego Ż. na notowania Nawrockiego. Można założyć, że gdyby w dalszym ciągu kampanii próbowano użyć kolejnych podobnych argumentów przeciwko kandydatowi PiS, ich wpływ byłby nawet jeszcze mniejszy. A kto wie, czy paradoksalnie nawet nie wzmocniłyby one kandydata opozycji.

nawet nie znajduje się na Wołyniu, a popełniona tam zbrodnia to już rok 1945.

KTO JEST BARDZIEJ ZAHARTOWANY

Jest wreszcie kwestia dynamiki kampanii. W 2020 r. w pierwszej turze – na co zwrócił uwagę w swoim wystąpieniu podczas wieczoru wyborczego Trzaskowski – Andrzej Duda wygrał. Otrzymał 43,5 proc. głosów, Trzaskowski zaś 30,46 proc. Skoro – argumentował kandydat KO – teraz kandydat PiS nie ma przewagi, to wybory ostatecznie przegra. Tyle że łącznie, jak łatwo policzyć, duopol odpowiadał wtedy za 74 proc. głosów. Tym razem zaś w pierwszej turze przedstawiciele dwóch plemion otrzymali zaledwie niecałe 61 proc. To całkowicie zmienia sytuację.

Dynamika zaś zależy od poziomu oczekiwań na starcie. Oczekiwanie wobec Nawrockiego nie były specjalnie wysokie, a jego start – konwencja w Sali Sokoła w Krakowie – był po prostu biedny, sam zaś kandydat wydawał się porażająco sztywny i nieporadny. To się zasadniczo zmieniło. Karol Nawrocki z listopada 2023 r. i Karol Nawrocki z maja tego roku to już bardzo różne osoby. Tymczasem w przypadku jego konkurenta z sondażowej momentami nawet 17-punktowej przewagi zostało w pierwszej turze 1,8 punktu. To oznacza, że kandydat KO jest w defensywie. A pamiętać trzeba, że mówimy o bardzo spersonalizowanych wyborach, w których wielką rolę gra charakter kandydata oraz jego zdolność do znoszenia obciążeń i stresu. Nawrocki wydaje się tutaj coraz lepiej zahartowany, podczas gdy jego rywal jest chwiejny i ma za sobą wiele zaskakująco słabych momentów.

Wszystko to nie oznacza oczywiście, że po pierwszej turze Nawrocki może być pewny zwycięstwa. Bynajmniej. Sytuacja zmieniła się jednak zasadniczo: przed drugą turą nie ma już faworyta. Szanse są wyrównane.

Spore znaczenie mogą mieć debaty czy spotkania na kanale Sławomira Mentzena (cykl wydawniczy tygodnika sprawia, że artykuł powstaje jeszcze przed tymi wydaniami). Różnica w drugiej turze może wynieść 200–300 tys. głosów (w 2015 r. było to niewiele ponad 500 tys., w 2020 o 100 tys. mniej). Wbrew oczekiwaniom obozu władzy nie jest jednak pewne, że będzie to różnica na korzyść Rafała Trzaskowskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nieśmiałe próby skrytykowania przez Karola Nawrockiego zaledwie dwóch aspektów strategii PiS z czasów rządów tej partii nie muszą być dla większości wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna przekonujące

nie antypisowskiej ludożerki za pomocą tych narzędzi, które rząd miał całkowicie w ręku, a więc przede wszystkim prokuratury. Do tej samej kategorii spraw można zaliczyć wybryki i absurdałne pomysły minister Barbary Nowackiej czy przegłosowanie przez Sejm nowelizacji Kodeksu karnego, ustanawiającej kary za „mowę nienawiści” – ostatecznie skierowanej do Trybunału Konstytucyjnego przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Skuteczność tych działań okazała się bardzo umiarkowana. Żaden proces „złodzieja z PiS” nawet się nie zaczął, zatrzymani są na wolności, Marcin Romanowski skutecznie umknął na Węgry, Nowacka z części swoich pomysłów musiała się wycofać. Natomiast wszystkie te działania bardzo skutecznie ugruntowały w zwolennikach opozycji poczucie, że jeśli prezydentem zostanie kandydat KO, to

To samo można powiedzieć o całkowicie już zdewaluowanym i traktowanym jako coraz mniej istotny rytuał obrzucaniu się nawzajem oskarżeniem o „prorosyjskość”, które nie oznacza już literalnie nic.

Gdyby lider KO myślał strategicznie, powinien był do czasu wyborów prezydenckich uśpić elektorat strony przeciwnej, rezygnując z większości agresywnych posunięć. Prawdopodobnie jednak kierownictwo KO doszło do wniosku, że wtedy jej własny elektorat mógłby popaść w marazm, bo nie dostałby nic – jako że faktycznych osiągnięć obecna władza po prostu nie ma. Stąd różne odgrywane równolegle spektakle – takie jak deregulacja, repolonizacja czy rzekomy sprzeciw wobec imigracji albo przedstawienie pod tytułem „Przełom w sprawie ekshumacji na Wołyniu”, podczas gdy faktycznie chodzi jedynie o miejscowość Puźniki, która

RYSZARD GROMADZKI: Czy rzeczywiście to od wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna będzie zależać, kto zostanie nowym prezydentem Polski?

TOMASZ SOMMER: No tak. To wynika z matematyki. Zwróćmy uwagę, że proporcja podziału elektoratów Karola Nawrockiego i obydwu Konfederacji wynosi w tej chwili 29 do 21. „Tlen” w PiS się wyczerpał. Nawrocki potrzebuje głosów wyborców obydwu Konfederacji, żeby zwyciężyć w drugiej turze.

Dla wielu wyborców Mentzena, a przede wszystkim Brauna może to być bardzo trudna decyzja...

Z tym trzeba się liczyć. Wyborcy Konfederacji na pewno pamiętają, z jaką konsekwencją były premier Morawiecki promował covidianizm, dokonując przy tym wielu nadużyć prawnych. Nas to dotknęło wprost. Przecież „Najwyższy Czas!” – mówię o portalu nczas.com – został zamknięty, jak się domyślam, na jego zlecenie. Zresztą pan Morawiecki dał do zrozumienia, że się do tego przyznaje. Dodam, że niedawno wygraliśmy w sądzie prawomocnie z ABW proces o stwierdzenie bezprawności tego działania. Jest oczywiste, że kandydat Nawrocki, jeśli chce liczyć na głosy wyborców Mentzena i Brauna, powinien się od takich praktyk zdystansować, czyli nie popierać ludzi, którzy złamali prawo. W mojej ocenie Nawrocki powinien z pewnym dystansem podchodzić do elektoratu pisowskiego, co wyjęłoby go poza nawias tej złej dla Polski dychotomii PiS-PO.

Spodziewa się pan, że Nawrocki podpisze się pod postulatami, które przedstawił w swoich pytaniach obydwu kandydatom Sławomir Mentzen? Kandydat PiS będzie gotowy zapłacić taką cenę za poparcie ze strony Mentzena?

Wyobrażam sobie, że na propozycję Mentzena przynajmniej werbalnie zgodzi się nawet Trzaskowski. Choć postulaty dotyczące nieskrępowanej cenzurą wolności słowa czy zdecydowanej obrony polskiej suwerenności przed zakusami Unii Europejskiej będą go pewnie mocno uwierać, bo, jak rozumiem, jego prawdziwą ojczyzną jest Unia Europejska. Ale sam elektorat Mentzena może jednemu i drugiemu kandydatowi nie wystarczyć. Dlatego ważna jest odpowiedź na pytanie, czy Nawrocki będzie gotowy zaakcepto-



Z Tomaszem Sommerem, redaktorem naczelnym i wydawcą tygodnika „Najwyższy Czas!” rozmawia Ryszard Gromadzki

Bez wyborców Brauna i Mentzena Nawrocki nie ma szans



FOT. DAREK CIELMANSKI / PAP

wać postulaty, które przedstawił w swoich pytaniach Grzegorz Braun.

Postulaty zawarte w siedmiu pytaniach postawionych przez Brauna wydają się całkowicie nie do przyjęcia przez Trzaskowskiego, ale i dla Nawrockiego będą twardym orzechem do zgryzienia. Trudno mi wyobrazić sobie, że przystałby on na wznowienie ekshumacji w Jedwabnem czy zaprzestanie obchodów chanukowych...

Proszę zwrócić uwagę, że geometria sytuacji się zmieniła. To z pewnością są dla

niego twarde orzechy do zgryzienia, ale trzeba mieć na uwadze, że większość haseł elektoratu PiS, które Nawrocki prezentuje w wyborach, jest trudna do zaakceptowania przez wyborców Mentzena czy Brauna. Dlatego Nawrocki musi znaleźć jakiś złoty środek. Nie może zignorować postulatów stawianych przez liderów obydwu Konfederacji, bo grozi to tzw. wariantem brytyjskim dla samego PiS, który jeszcze całkiem niedawno wydawał się zupełnie nieprawdopodobny. Tymczasem widzi-

my, że tamtejsza Partia Konserwatywna, jak się zdaje, „idzie na żywotki”. Duopol tworzony przez konserwatystów i Partię Pracy, który definiował brytyjską scenę polityczną przez dziesięciolecia, się załamał. Nigel Farage i jego partia Reform UK najprawdopodobniej będą zwycięzcami kolejnych wyborów, kosztem tamtejszego „PiS”, czy Partii Konserwatywnej. Myślę, że także w Polsce zaczyna się ciekawa gra na przełamanie panującego duopolu. Czy dojdzie do niego już teraz czy za dwa lata? Tego nie wiem, ale jestem przekonany, że za sześć lat dojdzie do tego na pewno.

Wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna cechuje mocne przywiązanie do indywidualnej wolności. Czy ewentualne rekomendacje liderów, jeśli w ogóle takie padną, będą dla nich wystarczającym bodźcem, żeby głosować na Nawrockiego?

Myślę, że jeśli Nawrocki podpisałby postulaty zarówno Mentzena, jak i Brauna, to jeden i drugi rekomendowałoby głosowanie na tego kandydata. To byłoby zupełnie naturalne. Na miejscu Brauna i Mentzena poprosiłbym Nawrockiego o udział w różnych ciałach, które przecież będzie organizował prezydent. Myślę o Radzie Bezpieczeństwa Narodowego czy różnego rodzaju organach doradczych.

Na miejscu liderów obydwu Konfederacji próbowałbym także skłonić Nawrockiego do wykonania pewnych gestów w sferze symbolicznej. To prezydent nadaje ordery i różne odznaczenia. Tak się złożyło, że strona PO-PiS ponadawała swoim ludziom całe kosze tych orderów, a osoby o dużych zasługach ze środowiska wolnościowego – typu Janusz Korwin-Mikke czy Stanisław Michalkiewicz – nigdy żadnych orderów nie dostały. Mówimy o ludziach, którzy są w opozycji najdłużej. Korwin-Mikke był w opozycji wcześniej niż np. Michnik czy Macierewicz. Jest wiele elementów, przy pomocy których Nawrocki może starać się dojść do jakiegoś konsensusu. Przecież to on będzie po ewentualnym zwycięstwie w wyborach decydował o wielu nominacjach z tzw. puli prezydenckiej. Wydaje mi się, że także w tej przestrzeni powinien uczynić jakieś koncesje. Sytuacja dla Nawrockiego jest komfortowa, bo może on spokojnie myśleć o wyniku wyborów, ale pod warunkiem zaakceptowania przez niego nowego układu, który wykreował się po pierwszej turze. Jeżeli Nawrocki będzie prezydentem, to nie będzie prezydentem PiS.

Czy w Polsce realne jest ryzyko „skreślenia” wyniku II tury wyborów? Wszystko wskazuje na to, że rozstrzygnięcie będzie na styk...

O wyniku tych wyborów mogą decydować tysiące czy dziesiątki tysięcy głosów. W tej sytuacji przekręt może zadecydować. To nie musi mieć takiej skali jak w Rumunii. To może być efektem jakiejś skoordynowanej akcji w jednym mieście, gdzie dzięki jakiejś zaaranżowanej mobilizacji pojawi się pula głosów, która może przeważać wynik wyborów. Mamy do czynienia z sytuacją bezprecedensową. Chyba nigdy w wyborach prezydenckich w Polsce różnica między kandydatami nie była tak niewielka. Zobaczmy, jak zachowa się elektorat PSL. Pytanie, czy tu nie należy szukać także słabego punktu kandydata Platformy.

Spodziewany przyjazd wiceprezydenta USA J.D. Vance’a na konserwatywne forum do Rzeszowa kilka dni przed II turą wyborów może pomóc Nawrockiemu?

Nie sądzę. Vance nie jest w Polsce znany. Oczywiście jest on kojarzony z prezydenturą Trumpa, ale to nie Trump. Niemniej wydarzenie z jego udziałem na pewno ma pokazać organizacyjną siłę i sprawność PiS, który jest w stanie tak ważne postaci ściągnąć w niewralgicznym momencie kampanii prezydenckiej. Ta wizyta obliczona jest raczej na pełną mobilizację tych prawie 30 proc. wyborców, którzy już zagłosowali na kandydata PiS. Ale kluczowe dla Nawrockiego jest przekonanie wyborców Brauna i Mentzena. Bez nich Nawrocki nie ma najmniejszych szans zostać prezydentem.

Wierzy pan w scenariusz, w którym ewentualny sukces Nawrockiego doprowadzi do przesilenia politycznego i przedterminowych wyborów parlamentarnych jeszcze w tym roku?

Nie wierzę w to. Każda władza, zwłaszcza tego pokroju jak obecna, dąży do tego, żeby skonsumować frukta. Dopóki konsumpcja jest możliwa, dopóty będzie trwała. Dlatego ta kadencja nie skończy się żadnymi przyspieszonymi wyborami, nawet gdy prezydentem zostanie Nawrocki, który będzie blokował działania tego rządu. Pamiętajmy, że przy obecnym układzie sił w Sejmie odrzucenie prezydenckiego weta jest praktycznie niemożliwe. Być może będą możliwe jakieś „handelki”; jeżeli rząd poprze inicjatywę ustawodawczą

prezydenta, to prezydent podpisze którąś z ustaw przygotowanych przez rząd. Ale konsumowanie przez obecny układ władzy będzie trwało w najlepsze. PKB rośnie, budżet – jak wiemy – aż puchnie, działacze nie odpuszczają.

Ewentualna prezydentura Nawrockiego może utorować drogę do koalicji PiS z Konfederacją po wyborach parlamentarnych w 2027 r.?

To zależy m.in. od tego, czy obie Konfederacje pójdą do przyszłych wyborów osobno czy razem, do czego zachęcałbym ich liderów. Moment prawdy, politycznej wyceny mamy już za sobą. Wiadomo, kto i jakie pozycje zajmuje. Na podstawie tej wyceny można dokonywać różnych transakcji. Odpowiadając na pana pytanie, matematyka wskazuje, że taki scenariusz jest realny. Ale żeby do takiej koalicji doszło, PiS będzie musiał jasno zadeklarować, że pewne osoby, które antagonizowały, niepotrzebnie wykonywały różne ruchy otwarcie wrogie czy to przy pomocy ABW, czy innych służb, odejdą w cień. Dla takich osób w tym układzie nie może być miejsca.

Chodzi o premiera Morawieckiego i pewne osoby zawiadujące służbami czy panią Witek, która z sobie wiadomych powodów z taką zawziętością sekowała w Sejmie Grzegorza Brauna w czasie covidowego szaleństwa. Mogli tego nie robić. Jednak było inaczej. Dla tych wszystkich osób w ewentualnej nowej koalicji nie ma miejsca.

W wymiarze partyjnym to obydwie Konfederacje są największymi zwycięzcami tych wyborów prezydenckich?

Zdecydowanie tak. Jeśli zajmuje się trzecie i czwarte miejsce w wyborach, zbierając 21 proc. głosów, podczas gdy w poprzednich wyborach parlamentarnych wynik był poniżej 8 proc., to z pewnością można mówić o sukcesie. Jeśli poparcie wzrosło prawie trzykrotnie w ciągu dwóch lat, to czegoż więcej sobie życzyć? Ponad 4 mln głosów to potęga. To się tak łatwo nie rozejdzie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Tomasz Sommer – publicysta, dziennikarz, socjolog, redaktor naczelny i wydawca tygodnika „Najwyższy Czas!”. Autor m.in. książek „Absurdy Unii Europejskiej” oraz „Jedwabne. Historia prawdziwa”.



Krystian Kratiuk

Problem masowej migracji od co najmniej dekady pozostaje jednym z najważniejszych tematów debaty publicznej. Kościół katolicki również mierzy się z tym zagadnieniem – niestety, najczęściej ograniczając się wyłącznie do uczynków miłosierdzia względem ciała, a zapominając o tych dla duszy. Czy nowy papież, byłby misjonarz, odmieni ten stan rzeczy?

Według rozmaitych źródeł w Polsce mogą mieszkać dziś nawet 2 mln Ukraińców oraz co najmniej kilkaset tysięcy przybyszów z innych miejsc świata. Odnotowujemy radykalny wzrost liczby migrantów z krajów Azji Południowej i Afryki. Niedawno zakończył się ramadan, co po raz pierwszy tak wyraźnie widać było również na polskich ulicach – zdjęcia tłumów sprzed meczetów i innych islamskich domów modlitwy szybko zalały Internet, uświadamiając Polakom, że od dawna nie są w swoim kraju jedynymi mieszkańcami.

Debata na temat polityki państwa wobec migrantów legalnych, nielegalnych, nachodźców oraz uchodźców trwa – niemal każdy zdążył w tej sprawie zająć stanowisko, a politycy, jak to mają w zwyczaju, zdążyli już kilkukrotnie zmienić zdanie. Swoje standardy narzuca także Unia Europejska, a rząd Donalda Tuska przyjął zgrabną strategię nieuruchamiania zapisów paktu migracyjnego do momentu zakończenia kampanii wyborczej.

To nie będzie jednak tekst o tym, czy i których migrantów przyjmować. To tekst o tych, którzy już tu są, nawet jeśli wolelibyśmy, by byli u siebie.

CENTRA INTEGRACJI CZY KWATERUNKU?

Wydawać by się mogło, że istnieje jeszcze jedna instytucja, z której głosem



Imigranci i prawdziwe

część Polaków nadal się liczy – Kościół katolicki. Głos biskupów pozostaje jednak umiarkowanie słyszalny, opowiedzieli się oni bowiem, tak jak papież Franciszek, za niemal nieograniczonym przyjmowaniem przybyszów. Hierarchowie widzą więc to zagadnienie inaczej, niż głosiła oficjalna narracja Prawa i Sprawiedliwości, inaczej, niż chce tego większość katolików, za to dość podobnie jak ekipa rządząca dziś Polską.

Głównym elementem dyskusji o migracji stały się niedawno Centra Integracji Cudzoziemców, których powstać ma nad Wisłą aż 49. Placówki te mają na celu wspieranie obcokrajowców w procesie adaptacji i integracji w polskim społeczeństwie, ich głównym zadaniem ma być dostarczanie kompleksowych usług informacyjno-doradczych, które ułatwiają cudzoziemcom funkcjonowanie w nowym środowisku. W budowę CIC

w wielu polskich miastach zaangażował się Kościół – poprzez ośrodki Caritasu.

Wiele środowisk słusznie wskazuje na zagrożenie – istnieje wszak obawa, że polski rząd, zapatrzonny w Niemców, chciałby stworzyć na wzór naszych zachodnich sąsiadów raczej centra zakwaterowania migrantów. Przykłady z tychże Niemiec pokazują, że placówki tego typu bywają ogniskami przestępczości, zwłaszcza że często przebywają w nich młodzi imigranci pozostający bez zatrudnienia. Utrzymanie takich ośrodków wiąże się również z ogromnymi kosztami – zarówno związanymi z zapewnieniem zakwaterowania, jak i koniecznością remontów oraz radzenia sobie ze skutkami wzmożonej przestępczości. Wiemy jednak doskonale, że skutki masowej migracji do krajów Europy Zachodniej są po prostu katastrofalne i nikt, kto to widzi, nie może z czystym



Grupa migrantów spoza Europy przybywa do portu Shëngjin w Albanii, 28 stycznia 2025 r. FOT. MALTON DIBRA/EPA/PAP

miłosierdzie

sercem godzić się na niekontrolowany napływ migrantów.

Zarówno jednak rząd, jak i Caritas zapewniają, że CIC pozostaną miejscami, gdzie oferowane będą wyłącznie nauka języka polskiego, doradztwo prawne i zawodowe, pomoc w załatwianiu spraw urzędowych, wsparcie psychologiczne oraz organizacja kursów zawodowych.

Kościół od wieków świadczy ludziom na całym świecie uczynki miłosierdzia – zakłada szpitale, przytułki, ochronki, szkoły. Nigdy z tego nie zrezygnuje. Poprzedni papież uczynił z tego aspektu działalności swój znak rozpoznawczy. Ale czy Kościół aby nie traci szansy na to, by pozyskać dla Chrystusa dusze licznych, przybywających do Europy, mieszkańców całego świata?

EUROPA REJONEM MISYJNYM

Przypomnijmy – główną, zasadniczą misją Kościoła jest głoszenie wszyst-

kim ludziom Chrystusa. Nakaz misyjny, zgodnie z obowiązującym Katechizmem Kościoła Katolickiego (KKK 849–856), wypływa bezpośrednio z polecenia samego Chrystusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19–20). Misja głoszenia Ewangelii wszystkim ludziom nie jest dodatkiem do działalności Kościoła, lecz jego istotą – Kościół został ustanowiony jako „powszechny sakrament zbawienia” (KKK 849). Posiada więc obowiązek docierania z Dobrą Nowiną do każdego człowieka, niezależnie od jego pochodzenia, kultury czy wyznania.

Duch Święty, jako główny podmiot misji, prowadzi Kościół drogą Chrystusa – drogą ubóstwa, posługi i ofiary, aż po krzyż (KKK 852–853). Misja ta wymaga pokory, cierpliwości, otwartości na porażki oraz ciągłego nawracania się. Ewangelizacja jest długim procesem – zaczyna się od głoszenia, ale obejmuje

także zakładanie wspólnot chrześcijańskich i stopniowe prowadzenie ludzi do pełni katolickiej wiary (KKK 854).

Jeśli ktoś zachnie się, że wszystko to dotyczy przecież misji rozumianych jako wyjazd do krajów niechrześcijańskich, to się pomyli. Owa misja Kościoła obowiązuje wszędzie, a społeczności chrześcijańskie w Europie Zachodniej, tak jak w wielu miejscach w Polsce, pozostają już dziś przecież jedynie wspomnieniem z zamierzchłej przeszłości. Świat się zmienił.

IDŹCIE I NIE NAWRACAJCIE

Wydawać by się zatem mogło, że wraz z przybywaniem do Europy coraz liczniejszych tłumów ludzi nieznających Chrystusa – mowa zarówno o przybyszach z Azji i Afryki, jak i ze zlaicyzowanych, zateizowanych czy wręcz neopogańskich miejsc Ukrainy – Kościół powinien zachęcać ich do nawrócenia.

Ale nawrócenie jest dziś słowem pozostającym w Kościele na cenzurowanym, o ile dotyczy kogoś innego niż katolicy. To oni, w myśl papieża Franciszka, mają się nawracać (i słusznie, to nakaz oczywisty dla każdego ochrzczonego obowiązujący każdego dnia), a w całej instytucji ma nastąpić również strukturalne „nawrócenie pastoralne” – a więc Kościół ma stać się inny niż do tej pory, w skrócie rzecz ujmując – „bardziej synodalny”.

Nawracanie innych jednak nie jest dziś mile widziane. Jorge Bergoglio wielokrotnie przestrzegał przed „prozelytyzmem”, mającym polegać na „wykorzystywaniu sytuacji osób migrujących do szerzenia wiary katolickiej”.

Każdy jednak, kto przeszedł się w ostatnich latach ulicami polskich miast, wie, że na skrzyżowaniach wielu ulic niemal każdego dnia stają zdeterminowani ludzie z różnych niekatolickich środowisk – rozmaitych sekt i wspólnot – którzy promują swoje zapatrywania religijne w języku ukraińskim, rosyjskim, angielskim, a nawet po arabsku. A zarówno sekty protestanckie, jak i wspólnoty islamskie działają na rzecz pozyskania nowych wiernych na całym świecie. I to coraz skuteczniej.

Wyłącznie Kościół katolicki, szczególnie ten europejski, pozostaje bierny, a w dodatku ową własną biernością

wydaje się zachwycać. Tak jakby – podejmując słuszną decyzję o niemożności przymuszania kogokolwiek do wiary – w jednym szeregu z przemocą postawiono działania mające na celu zaproszenie imigrantów do poznania i przyjęcia Chrystusa.

RYBY SAME WSKAKUJĄ DO ZACUMOWANEJ ŁODZI

O Mszach Świętych w języku ukraińskim dowiedzieliśmy się w pierwszych miesiącach roku 2022 – w kilkunastu miastach rzeczywiście je zorganizowano. Dziś można policzyć je na palcach jednej ręki. O głoszeniu Chrystusa przybyszą np. z Indii również nie słychać, mimo że codziennie przemierzają rowerami polskie ulice. Według różnych źródeł obecnie liczba obywateli Indii w Polsce szacowana jest na od 18 tys. do 38 tys. osób.

O wyznawcach islamu aż strach w tej sprawie wspominać – choć według dostępnych danych, np. w 2022 r., Polska wydała ok. 135 tys. zezwoleń na pracę dla obywateli państw, w których dominującą religią jest właśnie islam. Najwięcej takich zezwoleń otrzymali obywatele Uzbekistanu (33 tys.), Turcji (25 tys.) oraz Bangladeszu (13,5 tys.).

O ofercie duszpasterskiej dla migrantów w Kościele nie słychać dziś w ogóle – choć o samych migrantach bardzo wiele. Opublikowany przez Konferencję Episkopatu Polski „Program duszpasterski Kościoła katolickiego w Polsce na rok 2024/2025” wspomina o nich nierzadko, ale zawsze w kontekście solidarności materialnej, ekonomicznej czy medycznej.

Włodarze Kościoła czują się dziś w obowiązku włączyć się w „procesy integracji” cudzoziemców przybywających do Polski czy szerzej, do Europy. Chwałebne i szlachetne pozostaje słuzenie wszystkim ludziom pomocą materialną – choć kooperacja z rządem Donalda Tuska, z różnych powodów już tak jednoznacznie moralna się nie wydaje. Ale do prawdy zupełnie zdumiewające byłoby zrezygnowanie z głoszenia przybyszą Chrystusa.

Ktoś powie, że świadczenie uczynków miłosierdzia względem ciała, wynalezionych przecież przez chrześcijaństwo, samo w sobie również pozostaje, pośred-

nim, głoszeniem Zbawiciela. Ale Kościół przecież od wieków naucza, że uczynki miłosierdzia względem duszy nie są mniej ważne niż te względem ciała. A najważniejszym uczynkiem miłosierdzia względem duszy nieznającej Chrystusa jest umożliwienie jej poznania Go.

W Europie Zachodniej brakuje już dziś kapłanów, katolików jest jak na lekarstwo. Sytuacja Polski wciąż jest jednak inna. Abstrahując na moment od obowiązków chrześcijańskich, spójrzmy na sprawę z punktu widzenia socjologicznego – Europa Zachodnia każdego miesiąca postępuje w procesie islamizacji. Rdzenni Europejczycy tracą wiarę i nie chcą mieć dzieci, przybysze zaś pozostają przy swoim wyznaniu

Nawrócenie jest dziś słowem pozostającym w Kościele na cenzurowanym, o ile dotyczy kogoś innego niż katolicy

i rozmnażają się znacznie chętniej. Dla przykładu: we Francji w społeczności muzułmańskiej wskaźnik demograficzny w latach 2005–2010 wynosił 2,8 dziecka na kobietę, podczas gdy w pozostałej części populacji było to... 1,9.

Czy chcemy, by taki los spotkał także Polskę, szorującą po dnie wszelakich zestawień dotyczących dzietności? Aby za kilka dekad stała się krajem islamskim, gdyż nie dość, że sami przestajemy mieć dzieci, to w dodatku wystydymy się nawracać na chrześcijaństwo tych, którzy przybyli nad Wisłę?

KOŚCIÓŁ RZECZYWIŚCIE INKLUZYWNY

Rok do roku w Niedzielę Bożego Miłosierdzia przypominamy słowa aktu zawierzenia świata Bożemu Miłosierdziu: „Tobie zawierzamy dziś losy świata i każdego człowieka” – każdego, niezależnie od jego wiary: chrześcijanina, muzułmanina, Żyda, poganina czy ateisty. Nikogo nie wykluczamy z Bożego Miłosierdzia, ale przecież najpierw każdy o Miłosierdnym Bogu powinien się dowiedzieć.

W Kościele istnieje także tradycja aktu poświęcenia rodzaju ludzkiego Najświę-

szemu Sercu Pana Jezusa, odmawianego w czerwcu. Niegdyś zawierał on słowa, które jasno wyrażały misyjne powołanie: „Królem bądź dla tych wszystkich, którzy błakają się w ciemnościach pogaństwa albo islamizmu [...], racz ich przywieść do światła i Królestwa Bożego”. Choć dziś, niestety, tych akurat ustępów modlitwy już nie odmawiamy, sens misyjny Ewangelii nie przestał obowiązywać.

Tego zapewne nie zmienia nowy papież, Leon XIV, ale niektórzy katolicy wyrażają wielką nadzieję, związaną z przeszłością kard. Roberta Prevosta. Otóż swoją drogę w Kościele zaczął on od wyruszenia na misję do Peru, gdzie później został biskupem. Być może w jego pontyfikacie dostrzeżemy więc większy nacisk na faktyczną misyjną działalność Kościoła.

Europa – w tym Polska – staje przed ogromnym wyzwaniem. Miliony ludzi, którzy nigdy nie poznali Chrystusa, przybywają do nas. Co więcej, oni wierzą w Boga, życie duchowe, życie po śmierci – są otwarci na transcendencję, o wiele bardziej niż wielu rdzennych Europejczyków. To nie misjonarze muszą dziś wyruszać na krańce świata – to świat przychodzi do nich. Mówiąc papieżem Franciszkiem, „to nie epoka zmian, ale zmiana epoki”.

Do tej pory było inaczej. Woleliśmy poprzednią epokę, gdy misjonarzami byli wyłącznie ci, którzy się do tej trudnej roli, otwartej na męczeństwo, zgłasza. Politycy urządzili nam jednak inny świat i tego procesu, niestety, tak łatwo odwrócić się nie da.

Jeśli więc antypolska władza zdecyduje, że wbrew woli społeczeństwa masowa migracja do Polski ma postępować, to Kościół, jeśli tylko zechce, powinien odpowiedzieć na to w pełni po katolicku, a nie wyrwaniem się przed szereg i popieraniem całego procesu, by potem ograniczać się do pomocy materialnej. Musi głosić Ewangelię. Bo naszym pierwszym i najważniejszym obowiązkiem wobec migrantów jest powiedzieć im, kim jest Jezus Chrystus. Inaczej wypaczymy ideę prawdziwej, katolickiej inkluzywności – wszak nie głosząc przybyszą Chrystusa, niejako wykluczamy ich z możliwości jego poznania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Policja na miejscu brutalnego mordu na Uniwersytecie Warszawskim

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Empatia w trybie samolotowym



Radosław Wojtas

Trudno przejść obojętnie obok faktu, że świadkowie morderstwa dokonanego na terenie jednego z najważniejszych uniwersytetów w Polsce wyciągają telefony, dokonują makabrycznych nagrań i udostępniają je w sieci. To, co wydarzyło się na Uniwersytecie Warszawskim, niestety nie jest odosobnionym przypadkiem

Morderstwo na 53-latce pracującej na Uniwersytecie Warszawskim, którego dopuścił się student prawa, bulwersuje na kilku poziomach. Brutalność napastnika, użyte narzędzie, przypadkowość wyboru ofiary, miejsce zbrodni, działania sprawcy po zabiciu kobiety, za które postawiono mu zarzut zbezczeszczenia zwłok, nie zamykają tej listy. Dodać do niej należy jeszcze zachowanie niektórych świadków.

– Masa osób, które były świadkami tego zdarzenia, nie podejmowała interwencji, wręcz odnotowaliśmy też takie dziwne zachowania, że część osób kręciła sobie

filmy, nagrywając całe zdarzenie – mówił dzień po tragedii rzecznik prasowy MSWiA Jacek Dobrzyński. Podkreślił, że „chyba najbardziej przerażające i niepokojące jest to, że mało kto chciał pomóc”. Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie, prok. Piotr Antoni Skiba, podczas konferencji prasowej zwrócił uwagę na fakt, że do Internetu trafiły nagrania, które „przedstawiły osobę zmarłą, co może być traktowane jako naruszenie dóbr osobistych”. – Jest oznaką naszych czasów, że najpierw robi się zdjęcia pod pozorem udokumentowania, a dopiero później informuje się służby – dodał.

ZOOM NA ŚMIERĆ

W Środowe popołudnie 7 maja Mieszko R., 22-letni student wydziału prawa UW, zaatakował siekierą 53-letnią portierkę, która zamykała drzwi do Auditorium Maximum. Na pomoc kobiecie ruszył 39-letni pracownik Straży UW. Kobieta zginęła na miejscu, osierociła troje dzieci. Próbujący jej pomóc mężczyzna z poważnymi obrażeniami trafił do szpitala. Sprawcę, który dopuścił się także znieważenia zwłok, zatrzymali funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa ochraniający ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, który przebywał wówczas na terenie UW.

Filmy (co najmniej trzy) z tego zdarzenia pojawiały się w Internecie. Dwa są szczególnie drastyczne. Pierwszy z nich wykonano przez okno z budynku oddalono-

nego, jak się zdaje, ledwie o kilkadziesiąt metrów od miejsca zbrodni. Widać na nim ciało zamordowanej i pochylającego się nad nim Mieszka R. Ludzie przebywający w pokoju razem z osobą dokonującą nagrania bardzo spokojnym tonem komentują i spekulują, co w tej chwili się dzieje. A dzieją się rzeczy, za które morderca usłyszał zarzut zbezczeszczenia zwłok. I które dość wyraźnie widać na tym krótkim filmie.

Na drugim nagraniu zarejestrowano tę samą scenę. Osoba nagrywająca – prawdopodobnie mężczyzna, który w pewnym momencie mówi do osoby niewidocznej w kadrze: „Niech pan nie podchodzi” – stoi znacznie dalej, na zewnątrz. Filmuje z użyciem sporego zoomu. Trzecie z nagrań pokazuje moment zatrzymania mordercy. Osoba rejestrująca zdarzenie biegnie z telefonem w rękę w kierunku obezwładnianego Mieszka R., mija ciało zamordowanej i dość dokładnie je pokazuje. Bardzo dobrze widoczna jest zakrwawiona twarz kobiety.

Do Internetu trafiło także zdjęcie sprawcy wykonane po zatrzymaniu. Widać na nim Mieszka R. siedzącego w slipach na podłodze, skutego, w specjalnym kasku ochronnym na głowie. Twarz przestępcy jest na nim zamazana. Jasne było, że autorem tej fotografii, która zaczęła krążyć w Internecie, jest policjant. Już wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne.

■ Pojawiły się też głosy, że studenci mogli zareagować znacznie wcześniej – nawet kilkadziesiąt minut przed zabójstwem. Dowodem na to miał być post zamieszczony w grupie studentów prawa na Facebooku, w którym jeden z nich ostrzegał: „Hej, prosba od Dominika, żeby na siebie uważać, bo podejrzany figurant z siekierą błąka się po kampusie. Drzwi od sali (403) są zamknięte, więc gdyby ktoś się spóźnił, proszę pukać :)”.

Informacji nie potwierdza prokuratura. „Ten wątek jest nadal badany. Podtrzymuję stanowisko wyrażone na konferencji prasowej, że siekiera przez podejrzanego została wyjęta z torby bezpośrednio przed atakiem na pracownicę UW. Wcześniej nie było zgłoszeń o osobie przemieszczającej się po kampusie UW z siekierą” – przekazał „Do Rzeczy” prok. Piotr A. Skiba. Tym doniesieniem stanowczo zaprzecza Samorząd Studentów UW. „[...] wpis na jednej z grup studenckich, który niekiedy bywa przywoływany jako »dowód« na wyżej wymienione zaniedbania. W rzeczywistości został on opublikowany już po dokonaniu zbrodni i nie może stanowić potwierdzenia tezy o bierności studentów” – napisano w specjalnym oświadczeniu.

W tym samym komunikacie czytamy: „Reakcja była szybka i adekwatna – studenci bez zbędnej zwłoki wezwali policję oraz powiadomili straż uniwersytecką”. I dalej: „Pragniemy zaznaczyć, że nagrania, które niestety krążą w Internecie, są obecnie dowodami w postępowaniu i pełnią istotną rolę w wyjaśnianiu okoliczności tragedii. Apelujemy jednak o powstrzymanie się od dalszego udostępniania tych materiałów – ich rozpowszechnianie jest nie tylko nieetyczne, ale może również zaszkodzić śledztwu”.

AUDITORIUM MINIMUM?

W ubiegłym tygodniu TVN24 podała, że kilka osób zadzwoniło na 112 tuż po ataku. A jednak trudno przejść obojętnie obok faktu, że świadkowie morderstwa dokonanego na terenie jednego z najważniejszych uniwersytetów w Polsce, który ma kształcić przyszłe elity narodu, w obliczu takiego dramatu – który w dodatku nie dotyczy przecież nikogo im obcego, ale społeczność uczelni – wyciągają telefony, dokonują makabrycznych nagrań i rozsyłają je dalej lub udostępniają je w sieci.

W USA popularność zdobywają komercyjne aplikacje służące do zgłaszania przestępstw, które mają również opcję nagrywania i transmitowania na żywo

Jedną z najostrzejszych recenzji takiego postępowania wygłosiła osoba z wewnątrz uniwersytetu – prof. Marcin Matczak z Wydziału Prawa i Administracji UW. Ojciec popularnego rapera „Maty” – który w utworze „Patointeligencja” bezlitośnie diagnozuje przedstawicieli swojego pokolenia („Mata” to rocznik 2000) z tzw. dobrych domów – napisał na X: „To, co wydarzyło się tamtego dnia, nie było tylko dramatem jednej ofiary. Było też ujawnieniem naszej zbiorowej kondycji. Przyszłych elit, które patrzą, ale nie widzą. Intelktualistów, którzy wiedzą wszystko, ale nic z tym nie robią, bo przekształcają moralność w przegląd treści, a cierpienie – w odtwarzalny plik. Społeczeństwo płaci za studia przyszłym prawnikom, żeby słyszeli i widzieli dalej, szerzej, głębiej i żeby mieli odwagę działać, kiedy tego wymagają okoliczności. Po co to robi, skoro oni, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce, biorą w ręce telefon – nie po to, by wezwać pomoc, ale po to, by rejestrować? [...] Nasze Auditorium Maximum stało się, niestety, miejscem symbolem, w którym nie usłyszeliśmy tego, co powinniśmy byli usłyszeć. Ani krzyku, ani sygnałów ostrzegawczych, które pewnie były – w słowach, spojrzeniach, niepokojących gestach. Nie usłyszeliśmy także sygnałów zagrożenia, kiedy było blisko. Miejsce stworzone do słuchania stało się symbolem radykalnej głuchoty. Może więc powinniśmy zmienić jego nazwę na Auditorium Minimum: minimum odwagi, minimum odpowiedzialności, minimum działania? Żeby symbolizowało ten straszny moment, kiedy przestaliśmy uważnie słuchać, a zaczęliśmy bezwstydnie oglądać”.

EFEKT OBOJĘTNEGO PRZECHODNIA

Bierność świadków przestępstw psychologia społeczna wyjaśnia pojęciem

efektu widza, które bywa również nazywane efektem obojętnego przechodnia lub rozproszeniem odpowiedzialności. Na mechanizm ten zwrócono szczególną uwagę po brutalnym morderstwie dokonanym w 1964 r. w Nowym Jorku na Kitty Genovese. Kobieta została napadnięta i zamordowana przed budynkiem, w którym mieszkała. Opinię publiczną poruszyła bierność ludzi, którzy mieli być świadkami tej zbrodni. „Przez ponad pół godziny 38 szanowanych, przestrzegających prawa obywateli z Queens obserwowało, jak morderca śledzi i dźga kobietę w trzech oddzielnych atakach” – pisał „New York Times”. Pomimo że medialne rewelacje zostały po latach w dużej części obalone, a skala bierności otoczenia, choć wystąpiła, nie była aż tak porażająca, to mechanizm ten był nadal badany i został dość dobrze opisany. W dużym skrócie: im więcej świadków zdarzenia, tym mniejsze poczucie odpowiedzialności każdego z nich i niższe prawdopodobieństwo, że ktokolwiek podejmie odpowiednią reakcję.

W ubiegłym roku Polską wstrząsnęła śmierć 25-letniej Lizy. Młoda Białorusinka została napadnięta w centrum Warszawy. Dorian S. wciągnął ją do bramy, dusił, groził nożem, brutalnie gwałcił, a po wszystkim okradł i spokojnie odszedł. Kobieta zmarła kilka dni później w szpitalu. Tuż obok rozgrywającego się dramatu przechodziły dwie kobiety. Nie pomogły Lizie, bo uznały sytuację za „dziwaczną”, pomyślały, że para narkomanów uprawia seks.

Bierność i odwracanie wzroku to jedno, wyciąganie przy tym z kieszeni telefonu, rejestrowanie przestępstwa i (sic!) publikowanie takich materiałów w Internecie to pójsć o krok dalej. Odruch do sięgania po telefon i dokumentowania wszystkiego, co się wokół nas dzieje, wkracza już w obszary tak mroczne, jakby powstały w głowach scenarzystów „Black Mirror”. A to jednak samo życie przynosi wiele wstrząsających przykładów. Szesnastoletni Khaseen Morris z Long Island w Nowym Jorku został napadnięty przez kilku nieletnich, gdy wracał ze szkoły do domu. Khaseen został brutalnie pobity i śmiertelnie dźgnięty nożem. Świadców było wielu, jednak rówieśnicy zaatakowanego chłopca nie pomogli mu. Rejestrowali zajście, a nagrania publikowali później w mediach społecznościowych. Głośna była sprawa 16-letniej uczennicy szkoły średniej

w Steubenville w USA, która została wykorzystana seksualnie przez chłopców ze szkolnej drużyny futbolowej, a całe zjawisko było dokumentowane przez ich rówieśników. Nagrania wideo rozpowszechnili w kilku portalach społecznościowych. Prawie identyczny incydent miał miejsce kilka miesięcy później w Hollywood na Florydzie z udziałem uczniów Broward High School.

Podobne przykłady można mnożyć. Efekt widza wkroczył w nową erę, w której popełnianie przestępstwa obserwują na żywo w swoich domach setki czy tysiące zachowujących bierność ludzi, a później wielokrotnie więcej osób ogląda nagrania, które krążą w Internecie. Ekran smartfona znieczula, staje się pancerną szybą, przez którą nie słychać krzyku, nie czuć cierpienia, i to niezależnie od tego, czy ogląda się je w kapiach w domu czy rejestruje właśnie na żywo na ulicy lub w szkole.

„Ekscytacja związana z dokumentowaniem czegoś, co może przyciągnąć uwagę rówieśników i wywołać poczucie tzw. optymalnej odrębności, może leżeć u podstaw motywacji do publikowania sensacyjnych lub nieetycznych zachowań – mówiła Dara Greenwood, profesor psychologii na Vassar College, w rozmowie z HuffPost. – Młodzi dorośli w szczególności mogą być podatni na tego typu zachowania ze względu na kluczową rolę, którą w ich fazie życia odgrywa aprobata ze strony rówieśników”. „Ludzie chcą stać się popularni, a to koliduje z ich obowiązkiem – niezależnie od tego, czy jest to obowiązek prawny czy nie – ale z moralnym obowiązkiem wobec współobywateli” – zauważa cytowana przez BBC Tamara Rice Lane, profesor prawa na Uniwersytecie w Miami.

W Stanach Zjednoczonych popularność zdobywają komercyjne aplikacje służące do zgłaszania przestępstw, które mają również opcję nagrywania i transmitowania na żywo. Ich autorzy twierdzą, że celem tych platform jest ostrzeżenie współobywateli przed niebezpieczeństwami, ale rodzą się też poważne obawy, że mogą tylko nasilić problem nagrywania zamiast reagowania. Zwłaszcza jeśli ludziom będzie się wydawać, że wciśnięcie czerwonego przycisku „REC” w specjalnej aplikacji to już wystarczająca pomoc. „Myślę, że ludzie czują, że poprzez filmowanie dokumentują [przestępstwa] i w pewien sposób się do tego [udzielenia pomocy] przyczyniają. Czasami pomaga to w ściganiu przestępstw. Jednak w danym momencie nie pomaga osobie, która jest atakowana” – zauważa Elizabeth Jellico, psycholog kliniczny, wykładowca w John Jay College of Criminal Justice w Nowym Jorku.

EGOIZM CNOTA

Media społecznościowe, w których walczymy o uwagę, o lajki, zasięgi, w których nieustannie porównujemy się do innych, podsycają egocentryzm. „Zdrowy egoizm” w liberalnych społeczeństwach został wyniesiony do rangi cnoty. Liczą się sukces indywidualny, troska o siebie, względnie o najbliższych, przynajmniej do czasu, kiedy nas to specjalnie nie obciąża. Bo gdy już czyjaś choroba, starość, niepełnosprawność ma nas ograniczać, to nowoczesne społeczeństwo oferuje wiele możliwości, włącznie z „prawem człowieka” do eutanazji. Kiedy w dobrze zapowiadającej się karierze zawodowej ma przeszkodzić niechciana ciąża, każdy znajdzie swoją Oleśnicę, gdzie zastrzyk w serce dziecka zrobią nawet wtedy, gdy zaczną się bóle

porodowe. Małżeństwo? Wysiadamy na pierwszych wybojach.

Wypaczona koncepcja bezstresowego wychowania Benjamina Spocka, która dziś jest rozumiana jako pełna swoboda, brak granic, brak kar – zbiera plon. – Spadek empatii obserwujemy dziś na każdym kroku. Młode pokolenie ma wyraźny niedobór uczuć – mówił mi niedawno w wywiadzie psychiatra dr Jerzy Pobocha („Do Rzeczy” nr 21/2025). – Uczucia, szczególnie empatię, trzeba kształtować. To nie jest coś, co samodzielnie wystrzeli bez naszego udziału. Należy uczyć współczucia, wrażliwości, właściwej reakcji na ludzką krzywdę – mówi Pobocha. – A tego dziś nie ma, bo dzieci wychowują telewizja, smartfon bez udziału rodziców, bez kształtowania i odpowiedniej pielęgnacji uczuć. Rodzice skupiają się na usuwaniu wszelkich przeszkód spod nóg dzieci, zwalniając z obowiązków domowych, ucząc lenistwa i bezczynności. Musimy wreszcie zrozumieć, że w ten sposób wychowuje się potomstwo kalekie moralnie, leniwe i pozbawione inicjatywy. Jean-Paul Sartre twierdził, że człowiek jest skazany na wolność, co oznacza, że jest odpowiedzialny za swoje wybory i decyzje. Jest to odpowiedzialność nie tylko za własne działanie, lecz także za całą sytuację, w jakiej się znajduje, oraz za wpływ moich wyborów na innych. Młode pokolenie rozumie wolność odwrotnie niż Sartre: jako pozbawioną odpowiedzialności – dodaje.

Trudno się nie zgodzić z popularnym twierdzeniem, że „trudne czasy tworzą silnych ludzi, silni ludzie tworzą dobre czasy, dobre czasy tworzą słabych ludzi, a słabi ludzie tworzą trudne czasy”. Możemy się jedynie zastanawiać, w którym momencie tego cyklu jesteśmy. Ale i to widać już coraz wyraźniej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA



Kadr z serialu dokumentalnego „Bad Influence: The Dark Side of Kidfluencing” („Zła sława: Ciemna strona kidfluencingu”)

FOT. HEATHER NICHOLE/COURTESY OF NETFLIX

Rodzicielstwo, czyli biznes



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

„Mamagerki” mogą być czujnymi stróżami, którzy wprowadzają swoje dzieci bezpiecznie w świat show-biznesu. Niekiedy chęć zysków i własne, chore ambicje przejmują stery

Bad Influence: The Dark Side of Kidfluencing” („Zła sława: Ciemna strona kidfluencingu”) to serial dokumentalny, który zadebiutował niedawno na Netflixie. W trzyodcinkowej serii poznajemy historię Piper Rockelle, dziś 18-latkę, która od małego była szykowana przez swoją matkę Tiffany

do zrobienia kariery. Najpierw bardzo popularne w USA dziecięce konkursy piękności, seriale, a następnie, gdy popularny stał się YouTube, własny kanał. Kilkuletnia Piper miała do tego dryg i lubiła występować przed kamerą. Chętnie nagrywała popularne wśród dzieci „challenge” (wyzwania, np. jedzenie na czas). Tiffany uznała, że to za mało i że warto stworzyć wokół dziewczynki ekipę. Kilko dzieci, których rodzice tak jak Tiffany chcieli mieć w domu małe gwiazdy albo po prostu ulegli roztaczanej przez matkę Piper wizji sławy i bogactwa, założyło youtube’ową grupkę „The Squad”. Zaczynali od nagrywania swoich zabaw. Z czasem scenariusze odcinków stały się bardzo szczegółowe, a dzieci weszły w rolę aktorów na pełen etat. Nie było czasu na naukę i odpoczynek, bo Tiffany jako „szefowa” ekipy pilnowała, aby zespół się rozwijał. I zarabiał. Dość

szybko przysłyły kontrakty reklamowe, którymi zajmowała się właśnie matka Piper. Chodziło o tysiące dolarów. Tiffany wymagała od dzieci i własnej córki pracy ponad siłę.

Według relacji członków „The Squad”, którzy opuścili ekipę, dochodziło nie tylko do wyzysku w kontekście pracowniczym, lecz także do wykorzystywania seksualnego. Miała się go dopuszczać sama Tiffany, która dodatkowo, aby podbić oglądalność kanału, nakłaniała nastolatków do coraz odważniejszych nagrań. Początkowo inscenizowane relacje romantyczne miały charakter dość subtelny – ogłaszano tzw. ship, czyli związek dwójki członków ekipy. Z czasem Tiffany domagała się nie tylko trzymania za ręce przed kamerą, lecz także namiętnych pocałunków. Dziewczynki miały pokazywać coraz więcej ciała. Rodzice, którzy zgłaszali matce Piper swoją niezgodę na

udział dzieci w tego rodzaju produkcjach, byli odcinani od reszty ekipy. Tiffany stosowała też nacisk finansowy – skoro to ona zajmowała się pieniędzmi, w tym lukratywnymi kontraktami reklamowymi, to inni mieli robić to, czego oczekiwali. Ostatecznie „The Squad” się rozpadł, a część jego byłych członków chce postawić Tiffany Smith przed sądem. Piper nadal nagrywa content w mediach społecznościowych, nadal pod czujnym okiem swojej „mamagerki” Tiffany (takie określenia pada w dokumencie).

NIEWOLNICY ALGORYTMÓW

„Mamagerka” z produkcji Netflix’a to ciemne oblicze przemysłu rozrywkowego, w którym są dzieci. Matki nadużywające własnych dzieci dla zysku w Internecie nie są niestety rzadkością. Niekiedy motywacją jest chciwość, czasami próżność – chęć zaistnienia i pokazania się poprzez dziecko. Wiele instamam nie jest świadomych, na jakie zagrożenie narażają przede wszystkim swoje córki. W 2024 r. duża dyskusję wywołał artykuł „Wall Street Journal” pt. „Influencer jest nastolatką. Widzowie to w 92 proc. dorośli mężczyźni”. To historia matki i jej nastoletniej córki, tancerki ze Środkowego Zachodu USA. Mama w czasie pandemii z nudy założyła konto na Instagramie. Szybko okazało się, że widzów nie interesują rodzinne obrazki, ale dziewczynka. Była menedżerka zajmująca się marketingiem nadzorowała konto i monitorowała, jak liczba obserwujących rośnie. Szybko przyszły propozycje współpracy, fotografowie zaproponowali wykonanie profesjonalnych sesji, a marki zaczęły wysyłać darmowe ubrania.

„Mamagerka” zauważyła, że konto córki obserwują w większości dorośli mężczyźni. Zostawiali komentarze z emotikonami ognia i serca, pisząc dziewczynce, jaka jest piękna. To były te łagodniejsze. Niektórzy mężczyźni wysyłali wiadomości prywatne, w których przyznawali się do swojej obsesji na jej punkcie. Inni wysyłali zdjęcia męskich genitaliów i linki do stron pornograficznych. Mama spędzała od dwóch do czterech godzin dziennie na blokowaniu użytkowników lub usuwaniu nieodpowiednich komentarzy, a jednocześnie pojawiało się więcej sponsorów i ofert. Córka uznała, że bycie influencerką to jej „wymarzona praca”.

– Nie próbowałam jej namawiać, żeby została gwiazdą, ale część mnie myślała, że to nieuniknione, że pewnego dnia może się to zdarzyć. Ona po prostu ma taką osobowość – przyznała matka, bohaterka artykułu „WSJ”. Jak czytamy, kobieta czuła, że wspólne prowadzenie Instagrama zbliżyło ją do córki, a pieniądze mogłyby pomóc opłacić studia. „Zgodziła się. I jednocześnie zaakceptowała ponurą rzeczywistość: bycie młodą influencerką na Instagramie oznacza budowanie widowni z udziałem dużej liczby mężczyzn, którzy interesują się seksualnie dziećmi” – czytamy. Statystyki konta pokazywały, że aż 92 proc. obserwatorów to mężczyźni. W pewnym momencie „mamagerka” zaoferowała subskrypcję Instagrama użytkownikom, którzy chcieli płacić miesięczną opłatę za dodatkowe zdjęcia i filmy. Bez zaskoczenia skorzystali głównie panowie.

Analizy przeprowadzone przez gazetę i zewnętrznych badaczy pokazały, że użytkownicy wykazujący swoją aktywnością na platformie seksualne zainteresowanie małoletnimi dostają od algorytmu rekomendacje takich treści. Aby była jasność – nie jest to pornografia wprost, bo na taką IG nie pozwala. Chodzi o półnagość albo o zdjęcia w ubraniach, ale np. z sugestywną miną. „Jeśli chcesz być influencerem, pracować z markami i zarabiać, to musisz współgrać z algorytmem, a wszystko zależy od tego, ile osób polubi twój post i zaangażuje się w niego. Musisz to zaakceptować” – przyznaje szczerze anonimowa matka, która prowadzi konto swojej córki. W odpowiedzi na artykuł „WSJ” Meta zapewniła, że „podjęła wiele działań w celu usunięcia naruszających zasady społeczności kont i zwiększenia bezpieczeństwa”.

MOŻNA INACZEJ

Nie wszystkie mamy, które wprowadzają swoje dzieci w świat show-biznesu, podchodzą do tej kwestii tak lekkomyślnie. Kilka lat temu Onet przygotował obszerny reportaż na temat kilkunastolatkich modelek, których rodzice, dbając o rozwój kariery, zwracali uwagę przede wszystkim na bezpieczeństwo i komfort swoich córek. Dziś 20-letnia Emilia zaczynała pracę w branży w wieku (!) 10 miesięcy. „To była sesja modowa dla »Oliwii«”. Kiedy Emilia się niecierpliwiła albo

zasypiała, mama wracała z nią do pokoju. Zdjęcia były dopasowane do pór karmienia i drzemek. Pełen profesjonalizm. Nie zawsze tak było. Gdyby nie piecza pani Moniki, Emilia nie raz i nie dwa byłaby wyciśnięta na planie jak cytryna” – czytamy. Mama Emilii nie zgadzała się na makijaż i inwazyjne zabiegi fryzjerskie. – Nie chcę oceniać dziecięcych modelek, które są fotografowane w pełnym makijażu i „dorosłych” stylizacjach. Emilia ma koleżanki w tym środowisku i dla niektórych z nich to pierwszorzędną zabawą. Ona nie występowała w tego typu sesjach, to chyba kwestia stylu bycia. Nie chcę tego oceniać ani opowiadać, co by było, gdyby ktoś chciał jej robić zdjęcia w kuszach strojach i z pomalowanymi ustami. Teraz ma 14 lat i to trochę co innego niż wtedy, kiedy miała lat 9. Nie lubię „gdybologii” – opowiadała pani Monika.

Inna mama menedżerka, pani Sabina, wspomina z kolei jedną z sesji, w której uczestniczyła jej córka Martyna. – Fotografka chciała zrobić kilku dziewczynom bardzo malarską sesję. Bajkowe rekwizyty, ogród. Martyna pozowała jako Ofelia w wannie wypełnionej mlekiem. Rozmawiała wcześniej z fotografką, pokazywała mi swoje inspiracje, opowiadała o pomysłach. Atmosfera na planie była świetna, a zdjęcia wyszły piękne, takie artystyczne. Nie widziałam w tym nic zdrożnego. Kiedy zdjęcia się ukazały, poczytałam komentarze i się przeraziłam. Ludzie uważali, że to niestosowne, żeby miała dziewczynka pozować w wannie, udając martwą, że to przesada. Wiadomo, że ile osób, tyle interpretacji, ale to uczuliło mnie na ewentualne kontrowersje – zaznacza.

Najbardziej znaną „mamagerką” w Polsce jest Marta Wieniawa-Narkiewicz, matka piosenkarki i aktorki Julii Wieniawy. Jedną z najpopularniejszych celebrytek młodego pokolenia zapewnia w wywiadach, że jest „normalna” właśnie dzięki opiece mamy. – Mama sprawia, że nie odbija mi sodówka. Na co dzień chodzę w normalnych ubraniach, dresach. Nie maluję się – wyznała. Wieniawa-Narkiewicz jest też menedżerką aktorki Weroniki Rosati. – Na nią mówię MamaGer. MamaGer jest w moim wieku praktycznie. Śmiejemy się, że to Kris Jenner. Marta jest fenomenalną menedżerką i też koleżanką – opowiadała Rosati.

Nowiccy – siła talentu kontra fatalizm historii



Makieta najsynniejszego dzieła Macieja Nowickiego – „Paraboleum”, czyli Dorton Arena w Raleigh w USA, na wystawie w Zodiaku – Warszawskim Pawilonie Architektury FOT. ARTUR WOSZ



Piotr Semka

Ogromny talent i przekleństwo historii. Życie małżeństwa architektów Macieja i Stanisławy Nowickich to typowo polska opowieść

W Zodiaku – Warszawskim Pawilonie Architektury – obejrzyć można wystawę o twórczości małżeństwa Macieja i Stanisławy Nowickich. To opowieść o przedstawicielach pokolenia, które wyrosło

w II Rzeczypospolitej, przed którym stały wspaniałe możliwości rozwoju kariery architektów i twórców grafiki stosowanej. Wojna zmiażdżyła świat, w którym tak dobrze zaczęli sobie radzić. Wyrwali się z kraju za cenę flirtu z nową komunistyczną władzą. Ale ekipa Bieruta potrzebowała takich jak Nowiccy tylko na pewien początkowy etap. Małżeństwo odmówiło powrotu do kraju i w USA rozpoczęło efektywną karierę twórczą. Bezłitosny los uciął wspaniale rozwijające się pasmo sukcesów Macieja Nowickiego. Ogromny talent i przekleństwo historii – typowo polska opowieść.

TRIUMF NAD GRAWITACJĄ

Wystawa „Humanistyczny modernizm” to hołd dla dwojga niezwykłych

ludzi. „Paraboleum”, czyli Dorton Arena w Raleigh w Karolinie Północnej w USA, to obiekt, który znaleźć można we wszystkich opowieściach o historii architektury XX w. To Maciej Nowicki wymyślił dla tej hali tak niecodzienną formę, że zachwycała ona i zachwyca do dziś architektów na całym świecie. Dorton Arena miała zresztą dość trywialną funkcję, miał to być pawilon wystawowy zwierząt hodowlanych jako części targów stanowych Karoliny Północnej. Notabene, to z tego powodu budynek dość szybko zyskał ironiczną nazwę „Cow Palace”. Dziś jest już halą widowiskowo-sportową.

Na czym polegała niezwykłość tej konstrukcji? Jak wskazują autorzy wystawy: „Propozycja obiektu oparta była na dwóch parabolicznych łukach

żelbetonowych, o płaszczyznach pochylonych w przeciwnych kierunkach [...]. Było to całkowite odejście od ustalonego klasycznego wzoru budowli w formie układu słupów i belek. Dach wydaje się unosić w powietrzu ponad w pełni przeszklonymi ścianami bez funkcji nośnej”. Arena otrzymała nagrodę American Institute of Architecture. W 1972 r. wpisano ją do krajowego rejestru miejsc historycznych ze względu na doniosłe znaczenie dla architektury.

Amerykańskie pismo „Architectural Forum” zachwycało się: „Nowicki nie szukał idealnej konstrukcji, ale unikalnej przestrzeni. Niezwykłe zakrzywienie przestrzeni w górę stanowiło dokładne przeciwieństwo kopuły. Gwarantowało maksymalną ilość światła dziennego. Nowicki często powtarzał, że istotą architektury jest nieustająca walka człowieka z prawem grawitacji”.

W 1950 r., czyli tego samego roku, gdy zaczęto budowę Dorton Areny (zakończono ją w 1953 r.), warszawskiego architekta gnało już w inne miejsce. W czerwcu wyleciał do Indii, aby obejrzeć teren induskiego miasta Chandigarh w Pendżabie, gdzie rozpisano konkurs na projekt urbanistyczny nowej stolicy prowincji. Samolot pasażerski, którym twórca wracał z Indii do USA, rozbił się z powodu awarii silnika na pustyni libijskiej w okolicy Wadi an-Natrun. Projektant „Parableum” zginął na miejscu.

Jak to się stało, że przybysz z dalekiej Polski w ciągu pięciu lat w USA otrzymał zamówienia na tak prestiżowe inwestycje?

PARA ZŁĄCZONA TALENTEM

Maciej Nowicki urodził się w 1910 r. w mieście Czyta, w azjatyckiej części Rosji, Kraju Zabajkalskim w południowej Syberii. Jego ojciec, Polak, Zygmunt Nowicki, był naczelnikiem wydziału prawnego budowy amurskiej kolei żelaznej. Po urodzinach syna powrócił do kraju, a po powstaniu niepodległej Polski organizował Ministerstwo Sprawiedliwości, by w 1920 r. zostać pierwszym konsulem generalnym w Chicago. To tam właśnie 12-letni Maciek odkrył w sobie zamiłowania artystyczne. Rodzice prowadzili syna do bogatych chicagowskich muzeów i galerii sztuki. Nic dziwnego, że po powrocie do kraju w 1929 r. młody

Maciej rozpoczął studia w dziedzinie sztuki w Krakowie, a potem ukończył Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej.

Na studiach poznał miłość swojego życia, młodą studentkę architektury, Stanisławę Sandecką (1912–2018). Wzajemnemu uczuciu towarzyszyło porozumienie w dziedzinie talentów i gustów artystycznych. Wspólnie założyli pracownię architektury i grafiki użytkowej. Jak pisze amerykański historyk architektury Lewis Mumford: „Stanisława poznała go na studiach i ani przez chwilę nie wątpiła w jego architektoniczny geniusz. Jednak jak to bywa w życiu akademickim, to ona częściej zdobywała nagrody i to ją profesorowie uważali za przyszłą wybitną architektkę”. Dzieła, które wychodziły z ich pracowni, bardzo często nosiły wspólny podpis autorstwa pary artystów.



Maciej i Stanisława Nowicki. FOT. UN PHOTO UNIVERSITY OF PENNSYLVANIA

Maciej Nowicki szybko stał się wziętym architektem i uczestnikiem konkursów architektonicznych. Przed wojną projektował dom rodziców, potem osiedle mieszkaniowe dla pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego. W 1936 r. wziął udział w konkursie na meczet, który miał powstać w Warszawie. Do dziś z krajowych dzieł Nowickiego przetrwały jedynie Dom Turysty w Augustowie z 1938 r. oraz hala przedwojennego Centrum Wychowania Fizycznego (po wojnie hala klubu sportowego Orzeł) z 1939 r.

Na wystawie obejrzeć można projekt Macieja Nowickiego wybudowania bazyliki Opatrzności Bożej – już wtedy przymierzano się do tego dzieła, które oddano do użytku dopiero w 2016 r. na warszawskim Wilanowie. Co ciekawe, projekt Nowickiego przypomina nieco późniejszy pałac kultury. Na efektownym

szkicu zaprezentowanym na wystawie w kierunku bazyliki płyną szerokie barki wypełnione tłumem pielgrzymów z licznymi chorągwiami kościelnymi. Sami Nowicki nie byli zbyt religijni – w 1936 r. wzięli ślub cywilny w Paryżu, równolegle przygotowując polski pawilon na paryską wystawę światową zaplanowaną na 1937 r. W 1936 r. Maciej obronił dyplom architekta na Politechnice Warszawskiej. Rok później objął stanowisko starszego asystenta w Katedrze Projektowania Architektonicznego PW.

Wojna wyrzuciła cały świat małżeństwa Nowickich. Po rozpoczęciu okupacji Niemcy zlikwidowali Politechnikę Warszawską. Jedyne, co było tolerowane przez hitlerowców, to Państwowa Wyższa Szkoła Techniczna, w której Nowicki uczył murarstwa. Równolegle jednak uczestniczył w podziemnych seminariach studentów architektury, które odbywały się w willi prof. Bohdana Pniewskiego.

W końcowej fazie okupacji małżeństwo Nowickich znalazło schronienie w ośrodku dla ociemniałych w Laskach, w którym skupiła się spora grupa warszawskiej inteligencji. Potem, po upadku powstania, Nowicki wyjechał do Zakopanego, ale już w lutym 1945 r. Maciej Nowicki wrócił do Warszawy i zgłosił się do Biura Odbudowy Stolicy. Tutaj szybko odreagował lata wojennej bezczynności i szkicował plany nowej dzielnicy ministerstw. Przygotował też projekt nowego centrum. Na miejscu placu Trzech Krzyży zaplanował powstanie grupy nowoczesnych wieżowców. Amerykański historyk architektury Lewis Mumford pisze: „Nowicki nosił w sobie ziarno nowej epoki (w architekturze). W swoich projektach łączył spontaniczność i dyscyplinę, siłę i miłość, formę i funkcję, konstrukcję i symbol”.

PRZEPUSTKA DO AMERYKI

W tamtym czasie, tuż po wojnie, ekipa Bieruta rozpaczliwie walczyła o uznanie na forum międzynarodowym. Dlatego do misji dyplomatycznych wysyłanych na Zachód oprócz kadrowych komunistów, którzy mieli zapewniać słuszność ideologiczną, zapraszano także jak najwięcej postaci z kręgów artystycznych. Tacy jak Nowicki mieli być międzynarodową wizytówką nowej ekipy, która zdobyła

■ władzę w Polsce. Architekt otrzymał propozycję przyjęcia funkcji doradcy kulturalnego misji dyplomatycznej w USA nowego Rządu Jedności Narodowej, który podlegał ekipie Bolesława Bieruta.

Nowiccy poprzez Londyn wyjechali do Waszyngtonu. Tutaj wraz z attaché kulturalnym ambasady – Czesławem Miłoszem – Nowicki zorganizował wystawę o planach odbudowy pod nazwą „Warszawa znów będzie żyła”, z którą odwiedzał uczelnie wyższe w USA. Bronił wizerunku państwa powstałego nad Wisłą. Na wystawie zacytowana jest wypowiedź Nowickiego podczas obiadu wydanego przez Architecture League w Nowym Jorku z okazji wystawy: „Mówi się, że Polska jest państwem policyjnym, a przecież planowanie Warszawy ma w sobie pierwiastki humanistyczne, do których nasi urbaniści nie dorosli”.

Nowicki nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć, że ambitnym planom odbudowy stolicy może towarzyszyć torturowanie ludzi w katowniach UB.

W 1947 r. architekt został skierowany jako przedstawiciel Polski do międzynarodowej rady doradczej, która nadzorowała projektowanie przyszłej siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Tu Nowicki zetknął się z tak utytułowanymi architektami jak Francuz Le Corbusier czy Brazylijczyk Oscar Niemeyer. Ale powoli kończył się liberalizm władz Polski bierutowskiej. Od początku 1948 r. rozpoczęły się coraz bardziej natręcyjne polecenia powrotu Nowickiego do kraju. Architekt najpierw zwlekał z wyjazdem, wskazując na konieczność dokończenia rozmaitych rozpoczętych dzieł, a potem już jawnie zerwał z reżimem w Warszawie.

Ponieważ przy okazji wystąpień o zburzonej Warszawie poznał wielu ludzi mających pozycję w amerykańskiej architekturze, otrzymał propozycję wykładów w Pratt Institute w Nowym Jorku, gdzie analizował cztery plany odbudowy stolicy.

Podobnie jak przed wojną zaczął brać udział w wielu konkursach architektonicznych, m.in. placu Columbus Circle w Nowym Jorku oraz wewnątrz Carolina County Club. Wreszcie strzałem w dziesiątkę okazał się jego projekt Paraboleum, czyli wspomnianej już Dorton Areny w Raleigh w Karolinie Północnej.

Śmierć w lotniczej katastrofie przerwała jego marsz ku czołówce amerykańskich architektów. Jego żona po wojnie rozpoczęła nauczanie na Wydziale Architektury uniwersytetu stanowego w Pensylwanii. W 1963 r. otrzymała jako pierwsza kobieta w USA tytuł profesora architektury. W 1987 r. została nagrodzona medalem American Institute of Architect.

HUMANISTYCZNY MODERNIZM

Historia Nowickich to przykład tego, jak ogromne możliwości twórcze miało pokolenie wykonane w II Rzeczypospolitej.



Projekt bazyliki Opatrzności Bożej z 1938 r., którą planowano wybudować na prawym brzegu Wisły FOT. PIOTR SEMKA

spolitej. Jak okrutnym doświadczeniem dla tej generacji były upadek Polski we wrześniu 1939 r. i niemiecka okupacja. A po wojnie przyszedł kolejny dramat. Można było albo przyłączyć się do nowej komunistycznej władzy, albo emigrować. Nowiccy wybrali wariant pośredni. Wykorzystując swój talent, godzili się na reprezentowanie narzuconej przez Sowietów władzy na Zachodzie. A potem, gdy już rozpoczęło się przykręcanie śruby, po prostu zostali na emigracji. Dokładnie tą samą drogą poszedł wspomniany w tym tekście i znający dobrze Nowickiego Czesław Miłosz.

Autorzy wystawy podsumowują: „Historia Nowickich to fascynująca opowieść o pasji tworzenia, wspólnym życiu, możliwościach i ograniczeniach burzliwej pierwszej połowy XX wieku [...]. Zbudowali podstawy innowacyjnego programu nauczania i projektowania architektonicznego [...], łącząc najnowsze osiągnięcia konstrukcyjne z wielkim szacunkiem dla lokalnego kontekstu, ze zdolnościami rozmowy i zrozumienia drugiego człowieka tworzyli humanistyczny modernizm, który otwierał ówczesne rozumienie architektury na nowe pola”.

Wystawa w Zodiaku jest niezwykle ciekawa, gdyż zgromadzono ogromną liczbę zdjęć, projektów i pamiątek po Nowickich. Zgrzytem jest tutaj jedynie próba dopisywania dzisiejszych kontekstów do ich postaw artystycznych. Autorzy podkreślają wielokulturowość Macieja Nowickiego, który projektował przed wojną w Warszawie meczet, sugerując, że jest to postawa, która jest punktem odniesienia do obecnych czasów, gdy obecność imigrantów islamskich wywołuje w Polsce ogromne emocje. Co jedno ma wspólnego z drugim? W 1936 r. meczet planowano głównie dla mieszkańców w Polsce polskich Tatarów i dyplomatów z ambasad państw islamskich, w których dominuje islam. O żadnej masowej emigracji muzułmanów nie było mowy.

Dziwaczne wrażenie robi też ilustrująca wystawę komputerowa wizualizacja jedynej polskiej przetrwałego dzieła Nowickiego, czyli hali klubu Orzeł opakowanego w transparenty wzywające do uznania Chrystusa Króla za władcę Polski oraz plakaty „Polska ostoją chrześcijaństwa Europy”. Specjalny komentarz wyraża zdziwienie, że otaczające rzeźmą klubową napisy są sprzecznością z użytkowym charakterem budynku na rzecz „ideologii”. Nie byłam na Grochowie i nie wiem, czy dawna hala klubu sportowego jest oklejona jakimiś hasłami i plakatami. Ale co taki wtęret spod znaku wojującego antyklerykalizmu robi na wystawie o historii architektury?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Humanistyczny modernizm” w pawilonie wystaw architektury Zodiak w Warszawie czynna będzie do 13 lipca 2025 r. Szczegóły na stronie: www.pawilonzodiak.pl.

MIŁOSZ KŁECZEK W RUCHU

PREMIERA

w każdy poniedziałek
na kanale  @Telewizja_Republika

i w każdą niedzielę o 17:45
w REPUBLICE





FOT. MATERIAL PRODUCE

Legenda o włoskiej kuchni



Piotr Gociek

Oprócz więzów krwi łączą nas też wspólne posiłki. W prawdziwej rodzinie głęboka miłość oraz szacunek do starszych i do tradycji są rzeczą naturalną – przypomina film „Babcie”

Historia jest mniej więcej prawdziwa: Joe Scaravella istnieje naprawdę i rzeczywiście w roku 2007 otworzył na Staten Island restaurację Enoteca Maria, by uczcić pamięć swej zmarłej matki. I tak jak widzimy to na ekranie, jego pomysłem na to, by w knajpie karmiono od serca, było zatrudnienie nie zawodowych kucharzy, ale prawdziwych mistrzyń sztuki kulinarnej, którymi są włoskie babcie (nonnas).

To właściwie cała opowieść, ale jak to często bywa, publiczność zakochała się w niej nie dlatego, że znalazła w niej jakieś niezwykle zakręty wymyślnej fabuły, ale dlatego, że film Stephena Chbosky'ego dał widzom coś, za czym tęsknili, coś, czego nie można znaleźć w innych premierach,

nawet tych najgłośniejszych i najdroższych. I tak ciepła komedia „Babcie” („Nonnas”), która w Netflixie pojawiła się w amerykańskim Dniu Matki (w USA obchodzonym zawsze w drugi weekend maja), stała się za Atlantykiem hitem numer jeden popularnego serwisu. W chwili, gdy piszę te słowa, jest także od niemal dwóch tygodni najchętniej oglądanym filmem w polskim Netflixie.

CELEBRACJA WŁOSKOŚCI

Na pozór to nie powinno się udać. Vince Vaughn w roli głównej jako rodowity Włoch to pomysł równie karkołomny, jak kiedyś obsadzenie Viggę Mortensena w oscarowym filmie „Green Book” (2018) w roli włoskiego kierowcy Franka Anthony'ego Vallelongi. O dziwo jednak, magia kina zadziałała w obu przypadkach. Vaughn wypadł dużo bardziej wiarygodnie niż w drugim sezonie „Detektywa”, gdzie kazano mu udawać rosyjskiego gangstera. Żeńska część obsady nie musiała udawać, że ma włoskie korzenie, bo dostaliśmy w rolach sympatycznych starszych pań imponujący zestaw: Lorraine Bracco, Brenda Vaccaro, Susan Sarandon i Talia Shire. Nazwiska pierwszych dwóch mówią same za siebie; Talia Shire pochodzi z filmowego włoskiego klanu Coppola, a Sarandon ma (ze strony matki) przodków w Toskanii i na Sycylii.

Ciekawy jest przypadek Joe Maniganiella, który zagrał w filmie brata Scaravelli – w roku 2022, po trzech latach gromadzenia dokumentów, uzyskał włoskie obywatelstwo, kiedy udowodnił, że jego babcia mieszkała w Mesynie. Choć, jak mówił w wywiadzie dla „Entertainment Weekly”, nigdy w życiu nie był obsadzany w rolach Włochów (uznawano, że jest za wysoki), to jest bardziej Sycylijczykiem i Włochem od kogokolwiek z jego rodziny i o podwójnym obywatelstwie zawsze marzył. Występ w „Babciach” był dla niego pierwszą okazją, by na ekranie złożyć hołd rodzinnym korzeniom.

Jak wiele innych opowieści o jedzeniu „Babcie” to przede wszystkim opowieść o rodzinie. Wspomnijmy uroczy film „SzeF” („Chef”, 2014) Jona Favreau, w którym wypalony życiem zawodowym bohater odnajduje drogę do naprawy rodziny poprzez miłość do prostego jedzenia, wspomnijmy znakomity serial „The Bear”, którego bohaterowie skupieni wokół podupadającej knajpy dzięki miłości do kuchni wymyślają na nowo swoje życie i... też tworzą coś na kształt rodziny. Gotowanie jako wyraz głębokiej miłości – czyż nie o tym był niedawny „Bulion i inne namiętności” (2023), film świetny i trochę w Polsce przegapiony?

W „Babciach” przypomina Chbosky prawdę oczywistą, ale we współczesnej

popkulturze dostrzegana rzadko: oprócz więzów krwi łączą nas też wspólne posiłki; w prawdziwej rodzinie głęboka miłość oraz szacunek do starszych i do tradycji są rzeczą naturalną. Nie dziwi mnie więc wcale, że widzowie są w swoich opiniach na temat tego filmu dużo bardziej entuzjastyczni od krytyków, którzy kręcą nosem, że dostali produkt dość rutynowy. Może i tak, ale jakże ciepły i krzepiący. Normalni ludzie, którzy zachowują się w normalny sposób, to dziś zjawisko unikatowe na ekranie.

Jednocześnie jest ta opowieść wielką celebracją włoskości. Nie dokonuje się ona na koturnach, ktoś może narzekać, że scenariusz brnie w stereotypy. Ale to przecież kolejna oczywistość, która jest dziś niemal zakazana, bo wykańcza ją fałszywie rozumiana polityczna poprawność. Tak, istnieją stereotypy, tak, większość z nas w ten właśnie sposób postrzega świat, uważając Skandynawów za chłodnych, milkliwych blondynów, Francuzów za nieco fircykowatych, ale bardzo skutecznych amantów, Niemców za osobników przyduszonych do ziemi brakiem poczucia humoru i nadmierną miłością do słuchania rozkazów, a Włochów jako rozgadanych i rozgestykulowanych wariatów, którzy zawsze w zanadru trzymają krzyżyk lub obrazek z Matką Boską.

Najciekawsze bowiem – i najzabawniejsze – jest to, że stereotypy nie biorą się znikąd i zadziwiająco często bywają prawdziwe. A co ważniejsze: są zrozumiałe dla każdego, bo szeroko rozpowszechnione. Skoro tak, to można je wykpiwać i taki żart też będzie miał szeroką widownię. Dostajemy więc w filmie Chbowski'ego komedię charakterów zabawnych także dlatego, że są specyficznie włoskie. Kiedy trzy obce sobie babcie usiądą obok siebie na rozmowie o pracę, to dwie z nich będą patrzeć na siebie nieufnie, bo pochodzą z różnych regionów Włoch, ale połączą je wspólna niechęć do trzeciej, która jest tylko z Bronxu, co oznacza włoskość niepełną. Ale niechęć natychmiast zamieni się w głęboki szacunek, gdy tylko odkryją, że babcia z Bronxu to była zakon- nica. Miejscowi Włosi ze Staten

Island nie cierpią obcych, więc nie przyjmą z otwartymi ramionami przybyszów z Bronxu itd. Oto następna lekcja, bardzo dziś niemodna w popkulturze: jesteśmy bardzo różni, lecz droga do pojednania prowadzi nie poprzez likwidację różnic i tożsamości, lecz budowę szacunku do siebie nawzajem. Ale aby zasłużyć na szacunek, nie wystarczy, że ogłosisz się członkiem jakiejś grupy i zażadasz w jej imieniu akceptacji. Musisz pokazać, że coś jesteś wart. Okrutnie to niepoprawne politycznie, prawda?

MIT WIEJSKIEJ ZAGRODY

Celebracja rodziny, celebracja włoskości, celebracja kuchni. Nawet jeśli w formie błahej komedii, to i tak przekonująca. A przecież legenda włoskiej kuchni to... fikcja. Włosi, mistrzowie autopromocji, przekonali Amerykę – i dzięki Hollywood cały świat – że włoskość równa się rodzina (jakby inne nacje nie znały tego wynalazku i nie trzymały się razem), a włoska kuchnia to siódmy cud świata, o tradycji sięgającej wielu stuleci. Mit wiejskiej zagrody, gdzie uśmiechnięte pulchne nonnas szykują wyrafinowane potrawy z wyśmienitej jakości oryginalnych, więc pysznych składników, to efekt rozmaitych kampanii reklamowych, a nie zanurzenia się w prawdziwą historię. Włoska kuchnia jako pyszności z chłopskiego stołu, jako wielkie narodowe dobro wspólne? Cóż, John Dickie w książce „Delizia! Wielka historia Włochów i ich jedzenia” odpowiada: „Z niezliczonych dokumentów wiemy, że do połowy XX wieku zwykli ludzie na włoskiej wsi jedli bardzo kiepsko [...]. Historia włoskiego jedzenia spisana jako opowieść o tym, co jedli chłopci, byłaby nudną lekturą. Wiele stron poświęcono by zupie warzywnej. Byłby obszerny rozdział o owsiance. Chleb zrobiony z gorszych zbóż, a nawet z takich rzeczy jak żółdzie w trudnych czasach, wymagały dogłębnego omówienia”.

Nie oznacza to, że we Włoszech sztuka gotowania nie była znana, bo Dickie – jak wielu innych autorów – opowiada pasjonujące historie o przeszłości włoskiej kuchni. Tyle że jest to kuchnia najpierw arystokratyczna, potem głównie miejska.

Wizja włoskich potraw jako kuchni powszechnej – i najwspanialszej, bo na jakże wysokim poziomie są jej rzekoma chłopskość i zdrowotność – to PR-owski wynalazek drugiej połowy XX stulecia. Nawet przepisy znane na świecie jako ikonicznie włoskie wcale włoskie nie są, choćby słynne spaghetti alla carbonara, o którym przed drugą wojną światową nikt we Włoszech nie słyszał. Przepis powstał w odpowiedzi na oczekiwanie alianckich żołnierzy okupujących Włochy po 1945 r. Przyzwyczajeni do jajek i szynki na śniadanie tego właśnie żądali. Miejscowi zaczęli więc wbijać jajka i wrzucać szynkę do makaronu – tak powstał sos carbonara.

Sami Włosi potrafią trzeźwo spojrzeć na to zjawisko. Choćby Alberto Grandi w książce zatytułowanej prowokacyjnie „La cucina italiana non esiste. Bugie e falsi miti sui prodotti e i piatti cosiddetti tipici” (2024). Polski tytuł brzmiałby „Kuchnia włoska nie istnieje. Kłamstwa i fałszywe mity na temat produktów i potraw uważanych za typowe”. Grandi rozprawia się z rozmaitymi tzw. prawdami obiegowymi, choć już mu niektórzy recenzenci wytykają, że czasem się myli (np. w kwestii historii włoskich serów). Ale to temat na inną opowieść.

FENOMEN

O tym wszystkim piszę nie dlatego, żeby film „Babcie” umniejszyć, tylko żeby wyrazić głęboki podziw wobec Włochów oraz głęboką zazdrość wobec fenomenu promocji kultury i narodu poprzez propagandę kulinarną. Włosi w Hollywood wykreowali wizerunek Włochów jako najbardziej rodzinnych ludzi na świecie, przedstawiając rodzimy kraj jako najwspanialszą pod słońcem ziemię utraconą. Włoski przemysł kulinarny przekonał zaś cały świat, że italian comfort food to wzorzec naturalności i zdrowia; kościół pasty tudzież pizzy stał się w ten sposób kościołem powszechnym – pizzę jadłem nawet na Tajwanie. Kto kocha polskie babcie, polskie rodziny i polską kuchnię, musi więc wziąć film Chbowski'ego jako produkt zastępczy, bo budowa legendy polskości leży od dawna w rękach silnych razem i jadowitych ojkofofów. Zostają nam więc Włosi – dobrze, że chociaż z krzyżykiem.



STEPHEN CHBOSKY
„BABCIE”
USA 2025,
NETFLIX



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Miłość i wojna



★★★★★
MINISERIA
„ŚCIEŻKI NA
DALEKĄ PÓŁNOC”
(„THE NARROW
ROAD TO THE
DEEP NORTH”)
AUSTRALIA 2025

wyst. Jacob Elordi,
 Ciarán Hinds,
 Odessa Young

Nie jest to typowy serial, lecz doświadczenie bardziej zbliżone do oglądania długiego filmu kinowego: trzy i pół godziny podzielone na pięć części – zalecam obejrzenie za jednym zamachem. Reżyserem jest Justin Kurzel, którego chwalilem niedawno za świetny dramat „The Order” z Jude’em Lawem; kilka lat wcześniej australijski twórca podbił serca krytyków mocnym dramatem „Nitram”.

Tym razem Kurzel sięga po znakomitą literaturę, miniseria „Ścieżki północy” jest bowiem ekranizacją powieści Richarda Flanagana pod tym samym tytułem. Gęsta proza australijskiego pisarza zamieniła się na małym ekranie w niepokojący, realistyczny, brutalny fresk wojenny. Horror

japońskich obozów jenieckich z czasów drugiej wojny światowej pamiętamy choćby z „Mostu na rzece Kwai” albo bestsellerowej książki Jamesa Clavella „Król szczurów”. Flanagan i Kurzel pokazują te doświadczenia w sposób jeszcze bardziej ekstremalny.

Ale to nie tylko rzecz o wojnie. Dostajemy także o wielkim uczuciu jest jednym ze wspomnień trzymających głównego bohatera przy zdrowych zmysłach podczas uwięzienia. Rolę tę zagrało dwóch aktorów, w młodego Dorrigo Evansa wcielił się Jacob Elordi (chwalilem go tydzień temu za występ w „O, Kanado!” Paula Schradera), w jego sędziwą wersję zaś Ciarán Hinds (pamiętny Juliusz Cezar w serialu „Rzym”).

Być może to wszystko brzmi nadmiernie melodramatycznie, sugerując kolejne rutynowe romansidło z wielką historią w tle, tymczasem serial Kurzela dobrze oddaje wielowarstwowość prozy Flanagana – tak jak choćby kinowa „Pokuta” Joe Wrighta oddawała sprawiedliwość książce Iana McEwana. Więźniowie Japończyków vegetują na granicy człowieczeństwa, jak więźniowie sowieckich gułagów, próbując ocalić choć odrobinę godności. A później nadchodzą czasy innych missions impossible – doświadczenie wojny i niewoli okazuje się niemożliwe do opowiedzenia, co pogłębia tylko tragedię i samotność tych, którzy ocalili.

„Ścieżki na daleką północ” to seria ciekawie opowiedziana i bardzo dobrze zagrana, realizmem i powagą mocno odbiegająca od streamingowej średniej, którą wyznaczają dziś rzeczy błahe, przekombinowane i nadmiarem ironii kwestionujące własną wartość. Może dlatego nikt jej nie promuje. © ©

GRA TYGODNIA: „CLAIR OBSCUR: EXPEDITION 33”

Jedna z tych gier, które zaskakują graczy jak zima drogowców. Tyle że pozytywnie. Francuskie JRPG w mrocznym świecie inspirowanym belle époque wyróżnia się na wielu poziomach. Istota zwana Malarą przebudza się raz w roku i maluje liczbę na swoim

Monolicie. Tym razem będzie to 33, a to oznacza, że każdy, kto jest w tym wieku, rozpadnie się w pył. Czy można przerwać ten cykl? A może ekspedycje wyruszają nie po to, by powstrzymać Malarę, a jedynie po to, by dać złudną nadzieję? Jak żyć w świecie, w którym



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

★★★★★
 zegar śmierci tyka tak bezlitośnie głośno? © © **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** JRPG
 • **Platforma:** XSX, PS5, PC
 • **Producent, dystrybutor:** Sandfall Interactive; Kepler Interactive

Ciemna strona ekranu

Czy koń w galopie odrywa wszystkie kopyta od ziemi? Próba odpowiedzi na to pytanie zaowocowała wynalezieniem fotografii poklatkowej i zoopraksiskopu, bezpośredniego poprzednika kinematografu. Szwedzko-francuski duet dokumentalistów w niecałe 90 minut próbuje zrekapitulować historię (nie) ruchomych obrazów. Na początku drogi jest camera obscura, na końcu selfiki i patostreaming. Można powiedzieć, że spełniła się wizja Kieślowskiego: dzisiejsi filmowcy amatorzy nader chętnie kierują obiektyw kamery we własną stronę. Wątpliwe jednak, żeby reżyser „Trzech kolorów” był zachwycony efektami tej kulturowej rewolucji.

Epoka niewinności fotografii trwała bardzo krótko. Niby o tym wiemy, lecz za każdym razem, gdy kłamstwo wyjdzie na jaw, jesteśmy szczerze zdziwieni. Kino też się wielokrotnie skompromitowało. Leni Riefenstahl, niepotrafiąca ukryć dumy z faktu, że ujęcia w sławiącym nazizm „Triumfie woli” okazały się prekursorskie, miała i ma wielu naśladowców. W branży



★★★★★

REŻ. ALEX DANIELSON, MAXIMILIEN VAN AERTRYCK

„I KRÓL RZEKŁ: »CO ZA FANTASTYCZNA MASZYNA!«” („AND THE KING SAID, WHAT A FANTASTIC MACHINE”)

SZWECJA/DANIA 2023

wszyscy wiedzą, że sprawny montaż czyni cuda, manipulacja emocjami to zaś w fabrykach snów chleb powszedni. Dzieci płaczą, oglądając śmierć ojca Simby i matki Bambi. Na dorosłych też są sposoby.

Publika żąda rozrywki, więc ją otrzymuje. Podaż musi nadążyć za popytem. Premier Irlandii, przemawiając do rodaków w debiucie tamtejszej telewizji, ujawnił kwalifikacje proroka. Porównał siłę rażenia nowego medium do niszczącego wybuchu bomby jądrowej. Wokół dziesiątej muzy uwijają się cynicy, dla których jedynym kryterium jest oglądalność. Misja telewizji to mydlenie oczu – naprawdę chodzi o sprzedaż umysłów odbiorców reklamodawcom i propagandystom. Leniwe to zresztą umysły. Gapienie się w ekran stało się najpopularniejszym sposobem na spędzanie czasu wolnego na długo przed narodzinami

Internetu. Są humorystyczne momenty: bywa, że manipulatorzy demaskują się sami. Śmiech zamiera jednak w gardle, gdy widzimy osoby, które dla kasy i sławy przekraczają granice żenady oraz upodlenia. Puenta jest ironiczna. Co sobie pomyślą kosmici, kiedy odkryją, jacy z nas hipokryci? ©©

Wiesław Chelminiak

LWIE SPRAWY

KINO

Edward Drake wreszcie odbił się od dna (czyli eksploatawania chorego Bruce'a Willis) i nakręcił prorodzinny film o zabijaniu. Już czołówka zdradza, że historię ekspolicjanta na etacie gangstera poznamy w konwencji „pół żartem, pół serio”. O prawdziwym zajęciu Raya wie tylko żona. Pocięchy dorastają w przekonaniu, że tata jest kimś w rodzaju lwa, który czasami ryknie albo zdzieli kogoś łapą. „Guns Up” nie pozostawia cienia wątpliwości: jeśli chcesz, by twój bliski żył w godnych warunkach, a dzieci chodziły do dobrej katolickiej szkoły, to pracuj w sektorze prywatnym. No, chyba że jesteś tak wszechstronny jak Kevin James. Facet ma vis comica, 60 lat, 175 cm i 136 kg, a sprawia wrażenie, że złoty medal olimpijski w wieloboju zdobyłby w cuglach. Ale co ci sportowcy mają z życia? Już lepiej aktorzyć. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. EDWARD DRAKE
„GUNS UP”
USA 2025

wyst. Kevin James,
Christina Ricci,
Luis Guzmán

DO ZOBACZENIA

W obiektywie Beksiańskiego



**RADOSŁAW
WOJTAS**

Fotografia przyciągnęła uwagę Zdzisława Beksiańskiego na niezbyt długo. Zajmował się nią w latach 50. i na początku lat 60. XX w., w drugiej połowie dekady porzucił ją na dobre. Uznał bowiem, że jest to medium pozbawione artystycznej wartości.

Te lata eksperymentów z fotografią wystarczyły, by pozostawić po sobie bogaty zbiór. Spora jego część jest w posiadaniu Muzeum Narodowego we Wrocławiu



FOT. WOJCIECH RUCIŃCZAK/W WROCLAWIU

(w 1977 r. Beksiański przekazał muzeum prace uznawane przez niego za kluczowe dla własnego doświadczenia), które z okazji przypadającej

w tym roku 20. rocznicy śmierci artysty prezentuje po raz pierwszy w tak dużym wyborze. Wystawę uzupełniają wypożyczenia z Muzeum Historycznego w Sanoku.

„Ekspozycja jest próbą osadzenia artysty w szerszym kontekście, w którym pojawia się nie tylko jako twórca »przeróżający« i »mroczny«, ale także jako pionier i poszukiwacz nowych form wyrazu, walczący z ograniczeniami współczesnej fotografii” – piszą autorzy. ©©

GDZIE? Muzeum
Narodowe
we Wrocławiu
KIEDY?
do 24 sierpnia

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Pieśń o wielkich czynach

Nie miecz, nie tarcz – bronią języka, lecz arcydzieła!” – pisał Norwid i poniekąd miał rację. Poniekąd, bo arcydziełny może być i miecz – Durendal, i nie tarcza może, ale róg to już na pewno – Olifant. Jeden i drugi należał do Rolanda, bohatera nieśmiertelnej „Pieśni o Rolandzie”, najślawniejszej i najstarszej epopei rycerskiej francuskiego średniowiecza. Znanej każdemu Francuzowi, odkąd po przegranej wojnie z Prusami trafiła ona nad Loarą i Sekwaną do lektur szkolnych. A i w Polsce fragmenty jej omawiane są (na razie, bo porąbanej ministrze Nowackiej może się nagle nie spodobać) na lekcjach w pierwszych klasach liceów, tyle że w prozatorskim przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego, a to powstałe w końcu XI w. arcydzieło przynależy do chansons de geste – pieśni o wielkich czynach lub dawnych dziejach, które – jak to przynależy poezji – albo recytowano, albo śpiewano. I taki właśnie przekład śpiewany trafił do nas teraz za sprawą Jacka Kowalskiego, niezwykle twórcy, w jednej osobie profesora, znawcy i tłumacza literatury starofrancuskiej, barda, autora wielu znakomitych książek, których ozdobą jest od niedawna pięknie wydana „Pieśń o Rolandzie”, zestawiająca nowy przekład z oryginałem, pięknie zilustrowana rycinami przedstawiającymi tzw. tkaninę z Bayeux i mozaikę z katedry w Brindisi, uważanymi za plastyczne odpowiedniki batalistycznych ustępów dzieła. Do tego czytelnik otrzymuje w zestawie płytę z obszernymi fragmentami „Pieśni o Rolandzie” śpiewanymi przez Jacka Kowalskiego wraz z Klubem Świętego Ludwika, czyli

towarzyszącym bardowi Agnieszka Obst-Chwałą i Tomaszem Dobrzańskim.

Możemy więc słuchać „Pieśni o Rolandzie”, możemy ją czytać, tak czy inaczej zachwycając się tym nadzwyczajnym zabytkiem literatury. I smakując takie oto opisy:

*Pośrodkiem pola hrabia Roland jedzie,
Dzierzę Durendal, miecz, co trnie i siecze.
Potężną czyni w Saracenach szczerbę:
Trupa na trupa widziałbyś, jak miecze.
Krew jasnośniąca placu boju powleka,
Prawica jego i kółczuga we krwi,
We krwi ramiona, szyja, rumak świetny.
Oliwier także ciosów nie oszczędza,
Dwunastu parów hańbie nie podległo;
Także Francuzi ciosają i sieką.
Poganie jedni giną, drudzy mdleją.
„Niech żyją nasi!” – arcybiskup rzecze:
„Montjoie” – wykrzyka Karolowy zew.*

Dla porządku dopowiedzmy, że zawołanie to – po polsku „Radosny” – wzięło się od miecza króla Franków, Karola Wielkiego. Tak jak władca słodkiej Francji, tak i jego pogański przeciwnik, Baligant – emir Babilonu, nadał imię swemu mieczowi – „Bezcenny”. Stoczą oni walkę, w której Karol zostanie ranny, ale w odpowiedzi zada emirowi cios, którym „rozrywa czaszkę i mózg mu roztrąca. I twarz rozdziera mu do białej brody”. Saraceni zostają pokonani, ale zwycięstwa tego dzielny Roland już nie doczeka. Umrze na polu bitwy, nie mogąc rozstać się ze swym Durendalem:

*Tyle nim krajów zdobyłem i ziemi,
Które dziś Karol białobrody dzierży;
Przeto też miecza tego żal mi wielce.
Zginę, a nie dam go w pogańskie ręce.
Boże, nasz Ojcie! Francji zhańbić nie daj!*

Usiłować będzie Roland złamać miecz o marmurowy głaz, by Durendal nie dostał się wrogom. Bez skutku. „Miecz zgrzyta, lecz się nie szczerbi,

nie zgina, I Lecz się ku niebu od grani odbija”. Według legendy – czytamy – „Roland nie mogąc skruszyć Durendala, cisnął go w powietrze – Durendal zaś cudownym sposobem przeleciał ponad sto kilometrów i wbił się w skałę ponad kaplicę cudownego wizerunku Maryi w Rocamandour. Niewielki, średniowieczny miecz jeszcze niedawno tkwił tuż nad dachem kaplicy. Pokazywano go turystom, podróżował na wystawy. Niestety, 22 czerwca 2024 roku został skradziony”.

Opowieść o hiszpańskiej kampanii Karola Wielkiego z 778 r. w wielu miejscach mija się z prawdą. Poczynając od tego, że miał on zaledwie 36 lat, a w „Pieśni...” mówi się o nim jako o siwowłosym patriarsze, który lat ma – kto wie – może i 200. Ale jakie to ma znaczenie! Zbigniew Herbert o jego najślawniejszym rycerzu – Rolandzie – pisał jako o „obrońcy królestwa bez granic i miasta popiołów”, równego Gilgameszowi i Hektorowi.

Król Karol tak opłakiwać będzie Rolanda:

*Druhu Rolandzie, młody, piękny, męzny,
Gdy w Akwizgranie w mej kaplicy będę,
Wasale przyjdą, zażądają wieści.
Wieść im opowiem niezwykajnie ciężką:
Umarł mój siostrzan, wielu ziem zwycięzca;
Teraz się na mnie Saksoni poderwą,
Węgrzy, Bułgarzy, wszelkie ludy wstrętne,
Lud rzymski, Polan lud i lud Palermo,
Lud afrykański i lud Kalifem;
Te mi przysporzą cierpień i boleści.
Któż wojsko moje poprowadzi teraz,
Kiedy wódz wojska mego uśmiercon?
O Francjo! otoś sierotom dotknięta,
Ból taki cierpię, że wołałbym nie żyć!*

Mamy więc tutaj i rodzimy akcent, może nie taki, jakiego byśmy sobie życzyli. Ale niezależnie od wszystkiego mamy przecież do czynienia z cudem. ©



★★★★★
„PIEŚŃ
O ROLANDZIE”
PRZEKŁAD
ŚPIEWANY JACKA
KOWALSKIEGO,
WYDAWNICTWO
DĘBOGÓRA,
DĘBOGÓRA 2024



POCZYTANKI

Niewolnicy Big Tech

Yanis Varoufakis określa samego siebie mianem „libertariańskiego marksisty”. Myślę, że na „lewicowego wolnościowca” też by się nie obraził. Jako minister finansów Grecji widział z bliska, jak to się robi. Co? Jak dziś działają mechanizmy politycznego i ekonomicznego zniewolenia w Unii Europejskiej, opisywał też potem w książkach wszechpotęgę finansowych instytucji, z którymi zmagał się jako polityk.

W najnowszej zwraca uwagę na jeszcze bardziej niebezpieczne procesy: śmierć, którą kapitalizm zadaje sam sobie poprzez przekształcenie w coś, co Varoufakis nazywa technofeudalizmem. Lech Jęczyński pisał niegdyś o Nowym Średniowieczu (jak zwykle wyprzedził swoją epokę), zwracając uwagę, że zadłużony po uszy człowiek współczesny nie jest już wolnym obywatelem, lecz najmitą, którego dom i samochód należą do banku. Wasalem – dodaje Varoufakis, któremu wielcy tego świata dzierżawią narzędzia, przy pomocy których wykonuje swoją pracę.

Diagnoza prawicy i lewicy zbiega się w tym punkcie, poszukiwania rozwiązania alternatywnego trwają. Konserwatyści wzywają do powrotu do tradycyjnego kapitalizmu

drobnej wytwórczości i wolnej konkurencji, tyle że nie jest to już możliwe w świecie globalnych korporacji. Liderzy religijni przypominają o zasadach moralnych, lewicowcy domagają się walki z nierównościami, wszystkich łączy oburzenie na wyzwolonych spod wszelkiej kontroli finansowych gigantów. Nikt nie wie, ku jakiej przyszłości zdążamy.

Niemniej jej kształty można dostrzec, analizując to, co już stało się ze społeczeństwami, kapitalizmem, pieniądzem i jak wszystko odmienione zostało przez pożerający nas świat cyfrowy. Varoufakis w swej książce wyklada, dlaczego kapitalizm działał oraz dlaczego działać przestał, zamieniając się w swoje przeciwieństwo. Grecki ekonomista jako receptę sugeruje coś na kształt cyfrowej spółdzielczości, ale to wymagałoby złamania potęgi Big Tech i ich daleko posuniętej demokracji. Powstała opowieść równie ważna dla zrozumienia tego, co dzieje się ze światem, jak „Wiek kapitalizmu inwigilacji” Shoshany Zuboff. Wagę wywodu (z którym w kwestiach ideowych warto się spierać, ale który jest bardzo celny) docenił Jacek Bartosiak, opatrując polską edycję dzieła Varoufakis przedmową. ©©

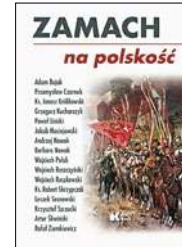


★★★★★

YANIS VAROUFAKIS
„TECHNOFEUDALIZM. CO ZABIŁO KAPITALIZM?”
GLOWBOOK 2024

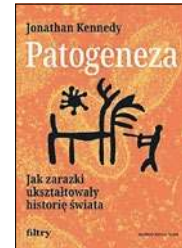
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Porażający bilans rządów Platformy Obywatelskiej i wielka przestroga przed tym, do czego bezprawie i głupota mogą doprowadzić Polskę. Wśród autorów tekstów m.in. publicyści „Do Rzeczy”: Paweł Lisicki i Rafał A. Ziemkiewicz.



AUTORZY RÓŻNI
„ZAMACH NA POLSKOŚĆ”
BIAŁY KRUK

Jak zarazki ukształtowały historię świata – czyli dalekie skutki epidemii od czasów paleolitycznych i neolitycznych do epoki przemysłowej. Plus chwila namysłu nad tym, co może nas dotknąć w przyszłości.



JONATHAN KENNEDY
„PATOGENEZA”
WYDAWNICTWO FILTRY

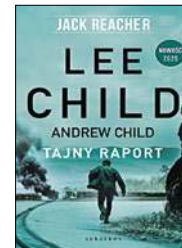
Antoni Dudek o specyfice rządów, Witold Ba-gieński o roli SB, Grzegorz Majchrzak o represjach. Artykułów jest kilkanaście, m.in. o ludziach władzy, o relacjach partia – twórcy czy gospodarce i prawie. Redakcja naukowa: Robert Spałek.



AUTORZY RÓŻNI
„DEKADA JARUZELSKIEGO”
IPN

Opowieści o Jacku Reacherze tom 29. – jest to także kolejna powieść o naszym ulubionym mścicielu znikąd, którą Lee Child stworzył wspólnie z bratem. Niestety, widać spadek jakości. Ciekawi, ale dawnej frajdy brak. ©©

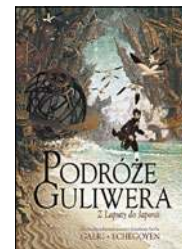
recenzuje Piotr Gociek



LEE CHILD, ANDREW CHILD
„Tajny raport”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: KLASYKA UTOPII

Komiks, którego podstawą jest nie podróż do Liliputów lub krainy gigantów, lecz trzecia część słynnej powieści Jonathana Swifta – ta, w której na wschód od Tonkinu Guliwer odkrywa latające miasto-królestwo Laputa, a potem przez Balnibarbi podróżuje aż do Japonii. Warstwa graficzna jest zachwycająca, a scena-



BERTRAND GALIC, PAUL ECHEGOVEN
„PODRÓŻE GULIWERA”
MANDIOCA 2025

riusz – choć oszczędny – dobrze oddaje sedno politycznych i społecznych obserwacji Swifta. ©©

Piotr Gociek



Krzysztof Masłoń

Co w męskim towarzystwie bardów robi kobieta? Nie wypełnia przecież znanej definicji współczesnego barda – „facet z gitarą”. A przecież nie mam najmniejszych wątpliwości, że Basi Stępnia-Wilk miejsce w tym gronie jak najbardziej się należy. Podobnie jak innym paniom (bardotkom?), z Antoniną Krzysztoń na czele, którą już pozwałam sobie zaanonsować jako bohaterkę następnego odcinka „Bardów”. Na razie jednak o autorce sławnej „Bombonierki”, śpiewanej przez nią i solo, i w duetach, w tym najbardziej znanym – z Grzegorzem Turnauem. Pamiętają państwo? Jakżeby nie?

*Choć papierków po cukierkach,
Tu i ówdzie ślad.*

*Marzy ci się bombonierka,
Taka jak ja.*

*Niby nic, a jednak zerkasz,
Jak się dostać do pudełka.*

*Odkryć tajemnicę słodką,
Delikatnie zdjąć złotko.*

*Choć papierków po cukierkach,
Ślad i tam i tu.*

*Marzy ci się bombonierka,
Istny cud!*

*Żeby tak nasycić się,
Ale wciąż w zapasie mieć.*

*i rozgryzać tę zagadkę,
Tę zagadkę – po ostatnią czekoladkę.*

Muzykę do tej piosenki napisał Aleksander Brzeziński, kompozytor także innych utworów z bogatego repertuaru związanej z Krakowem artystki, która sama też pisze muzykę, przede wszystkim jednak wiersze i teksty swoich songów, śpiewanych przez nią niekiedy w towarzystwie, choćby Andrzeja Poniedziałkiego czy Artura Andrusa. W przeszłości uczestniczyła zresztą w poczynaniach grupowych, takich jak Zielone Szkiełko, współtwo-



FOT. PIOTR TUDMAK/EPICUM

rzne przez nią wraz z m.in. Januszem Radkiem i Robertem Kasprzyckim. Ale wyróżniano i nagradzano ją indywidualnie.

A lista tych laurów jest iście klasyczna, zaczyna się zaś w połowie ostatniej dekady zeszłego wieku, gdy m.in. oczarowała publiczność i jurorów Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Autorskiej OPPA, FAMY w Świnoujściu, Spotkań Zamkowych w Olsztynie i Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. A już później, bo w 2009 r., uhonorowano ją szczególnie dla niej ważną ze względu na osobę patrona Nagrodą im. Jacka Kaczmarskiego. Po otrzymaniu jej w rozmowie z Teresą Drodzą powiedziała: „Jacka Kaczmarskiego miałam wielki zaszczyt znać, wypiliśmy razem kilka kaw. Miałam też przyjemność, jak wspomniałam, nagrywać z nim kilka razy wywiady na potrzeby radiowe. I właśnie uświadomiłam sobie, że pierwszy to była telefoniczna korespondencja z FAMY, czyli Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej. Rozmawialiśmy wówczas o tym, co dzieje się na tym festiwalu, ale też o tym, że »Mury« pomimo wszystkich zmian nastrojowo-ustrojowych ciągle są niebezpiecznie aktualne. Na koniec tej rozmowy zapytałam, czego Jacek Kaczmarski życzyłby polskiej piosence, i on wtedy, ku mojemu przerażeniu, powiedział, że życzy polskiej piosence, żeby to była taka piosenka, jaką ja piszę... Być może, pomyślisz teraz, że przytaczanie tej anegdoty jest karygodnym

nadużyciem i chwaliپیءtwem, a mnie chodzi tylko o to, że mam wielką nadzieję, iż Jackowi Kaczmarskiemu nie jest nie-miłe to, że ta nagroda została przyznana właśnie mnie”.

No myślę. Jak bowiem pozostać obojętnym wobec takiego wyznania?

*... gdy okaże się u schyłku,
że to, co mam po wielkiej walce
mieć mogłam całkiem bez wysiłku,
bez stosów straceń i utarczek,
to wtedy westchnę – chwala Bogu
że coś bolało, że pamiętam
aż tyle stopni z wielkich schodów
ten cud przetrwania na zakrętach
aż tyle stopni z wielkich schodów
ten cud przetrwania!...*

Nic dziwnego, że znalazło się dla Basi Stępnia-Wilk miejsce w Piwnicy pod Baranami, a na dużej związała się z krakowskim teatrem Loch Camelot. Poczynając od 1998 r., nagrywała całkiem liczne już płyty, m.in.: „O obrotach”, „Trwaj chwilo niebieska”, „Słodka chwila zmian”, „Obce kraje”, „Przywidzenia”. Do dziś pozostaje jednak artystką niszową, co przyjmuje z całym wątpliwym dobrodziejstwem tego określenia, zauważając jedynie, że „od czasu disco polo masowy gust jest psuty, a przy tym zachwiane zostały proporcje, nie ma równoprawnego miejsca na rozmaite gatunki piosenki. Króluje – lekka, coraz bardziej łatwa i przyjemna”.

Bo ja wiem, dla mnie przyjemne jest raczej to, co śpiewa właśnie ona, charakterystycznym, zmysłowym głosem, opowiadając często

przewrotne historie miłosne. Jak ta z „Odjazdów”:

*Przyjadzy moje i odjadzy przestał
świecić
i moje zdjęcie włożył w Bóg wie jaką
książkę,
a ja? a ja się wcale nie zamierzam
dręczyć.
Pudruję zapłakany nos i nową wiąże
wstążkę.*

*Przez jego imię pomnożone mnę
rachunki
za telefony, za taksówki, telegramy.
Na koszt wyłącznie własny piję mocne
trunki.*

*Nie sama, za to tanio. Do starego
lustra ramy.*

*Bo ja, bo ja się wcale nie zamierzam
dręczyć,*

*czy go znudziła suknia moja zdjęta
czy niezjęta.*

*Ja się nie zamierzam dręczyć.
I tak nie będę święta.*

Jest polonistką, po lubelskim UMCS, studiowała też muzykologię. Śpiewa, nagrywa płyty, pisze książki. Poza bezkonkurencyjną „Bombonierką” z innych jej utworów rozpoznawalność osiągnęły jeszcze może „Słodka chwila zmian” i „Futerko”. Basi Stępnia-Wilk nie traci jednak nadziei, że „ludzie zapragną kogoś nowego, kto zaśpiewa bardziej białym głosem, trochę inaczej”, że nie zatraciło się jeszcze do końca zapotrzebowanie na odrobinę liryki, na żart, do którego niepotrzebna będzie siekiera, na refleksję taką jak z piosenki „Zawieruszone”:

*Literek porządne dość sznurki
stawiamy synowie i córki
a potem ojcowie i mamy
bągrzemy bez strachu nagany.
I wspomnieć już nawet niełatwo,
że kiedyś, gdy było się dziatwą,
szła Ala, a As było psu...
Dziś składnia zła i braknie słów.
Zawieruszone w kajecikach
prawdy na całą resztę życia
i człowiek był nie do zagięcia
gdy opanował elementarz.
Zawieruszone w kajecikach
prawdy na całą resztę życia
i człowiek był nie do zagięcia
a dzisiaj nie już nie pamięta. © ©*

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w wolność! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Kapitał wygrał
wolność słowa w USA.
W Polsce zrobimy
to samo.”*

Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.



Remilitaryzacja Niemiec



Jan Fiedorczuk

Polska prawica przez lata bezrefleksyjnie wzywała Niemcy do wyższych nakładów na obronność. I w końcu stanie się to, czego tak domagano się nad Wisłą. Po raz pierwszy od 1945 r. nasi sąsiedzi szykują się do remilitaryzacji kraju. Czy Polska faktycznie powinna się z tego cieszyć?

Jest pewnym paradoksem, że to za czasów Angeli Merkel, która stała się symbolem potęgi nowoczesnych Niemiec, doszło do niemal zupełnego rozbrojenia kraju nad Renem. To z jej inicjatywy doszło do największej obniżki

wydatków na zbrojenia w powojennej historii i to za jej zgodą Bundeswehra została de facto rozbrojona. Dopiero pod koniec swej ostatniej kadencji Merkel zaczęła zwiększać finansowanie, a nawet mówić o powołaniu europejskiej armii.

Należy przyznać, że zrzucanie całej odpowiedzialności na Merkel byłoby nieuczciwe, gdyż kwestia armii i zbrojeń pozostawała po 1945 r. jednym z najbardziej kłopotliwych problemów narodu, który rozpętał piekło drugiej wojny światowej.

Po upadku Hitlera CDU i CSU poważnie się spierały, czy posiadanie armii przez niemieckie państwo jest w ogóle moralne, a dla obywateli problematyczne było nawet nieco bardziej ostantacyjne okazywanie patriotyzmu. Przez lata można było natrafić na manifestacje polityczne, gdzie nie znalazłbyśmy jednej niemieckiej flagi, a służba wojskowa była traktowana jako coś co najmniej podejrzanego. Niemcy nie mieli armii z prawdziwego zdarze-

Rząd w Berlinie musi reanimować to, co zostało z Bundeswehry, aby dopiero w kolejnych latach zająć się jej rozwojem

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES



z Rosją” – pisała kilka tygodni temu dziennikarka BBC Sarah Rainsford. David Axe z „Forbes” wprost stwierdził, że nasz sąsiad szykuje się na starcie z Rosją, a z kolei niemiecki „Bild” donosił, że szykowany jest „mamutowy projekt zbrojeniowy”, co szło w parze z tekstami przekonującymi, że Putin lada chwila najedzie państwa NATO. – To może być ostatnie lato pokoju – przestrzegał na łamach gazety historyk Sönke Neitzel kilka dni po ogłoszeniu wielkich planów zbrojeniowych.

To tylko niektóre z wielu podobnych głosów z zachodniej prasy na temat militarnej woltury Berlina i decyzji o remilitaryzacji kraju. Pierwsze oznaki przebudzenia dostaliśmy trzy dni po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, gdy kanclerz Olaf Scholz zapowiedział Zeitenwende („punkt zwrotny”), który zakładał m.in. uznanie Rosji za agresora, odejście od drugiej nitki Nord Stream, a także przeznaczenie 100 mld euro na ratowanie, bo tak to trzeba określić, Bundeswehry. W kolejnych miesiącach i latach ten kierunek był kontynuowany (zapowiedzi Pistoriusa dotyczące reformy armii, nowych jednostek dotyczących cyberbezpieczeństwa czy zwiększenia liczebności armii), jednak sama modernizacja wojska dalej się ociągała. Po roku od inwazji na siły zbrojne przeznaczono ok. 30 mld euro, chociaż rząd przyznawał, że tych pieniędzy jeszcze nie wydano.

Możliwe, że z perspektywy czasu przełomem okaże się dopiero zwycięstwo Donalda Trumpa i obranie przez USA nowego kursu wobec Europy. Gdy po wyborach parlamentarnych CDU/CSU i SPD przystąpiły do negocjacji koalicyjnych, bardzo szybko okazało się, że jeden temat był wyjątkowo niekontrowersyjny dla liderów tych formacji. Ponadpartyjna zgoda zapadła bowiem w kwestii poluzowania dyscypliny finansowej w celu rozwoju Bundeswehry. „Porozumienie między CDU/CSU i SPD w sprawie inwestycji w bezpieczeństwo i infrastrukturę jest cezurą w powojennej historii Niemiec” – pisał niemiecki dziennikarz Daniel Friedrich Sturm na łamach „Tagesspiegel” i trudno nie przyznać mu racji. Oto po raz pierwszy od zakończenia drugiej wojny światowej Niemcy otwarcie mówią o remilitaryzacji kraju, a Europa nie tylko nie protestuje, lecz także wręcz wydaje się kibicować tym działaniom. Niemieckie zbrojenia będą

bezprecedensowe w najnowszej historii nie tylko pod względem skali, lecz także dlatego, że po raz pierwszy Berlin będzie działał bez amerykańskiego nadzoru.

Aby do remilitaryzacji doszło, potrzebna była jednak zmiana konstytucji. Na nic się zdały ostrzeżenia szefowej AfD, Alice Weidel, która określiła decyzję „finansowym zamachem stanu”, gdyż w połowie marca CDU/CSU, SPD oraz Zieloni wspólnie przegłosowali zmianę ustawy zasadniczej, dając tym samym przyszłemu rządowi wolną rękę w zwiększaniu deficytu w kwestiach wydatków na obronność, pomocy dla Ukrainy oraz modernizacji infrastruktury. Jednocześnie zdecydowano o utworzeniu specjalnego funduszu i zarazem zadłużeniu państwa na pół biliona euro na cele obronności oraz infrastruktury.

O planach rozbudowy armii dyskutowano od miesięcy. Minister obrony Boris Pistorius jeszcze w 2024 r. podkreślał konieczność zwiększenia liczebności żołnierzy. – W dłuższej perspektywie wkład Niemiec w obronę sojuszu [NATO – przyp. J.F.] wymaga, by do dyspozycji mieć ok. 460 tys. żołnierzy. Duża część z nich, bo ok. 260 tys., musi być w gotowości w rezerwie – wskazywał minister. Konieczność tych zmian podkreślał również gen. Carsten Breuer, inspektor generalny Bundeswehry. – Dla naszych zobowiązań wobec NATO i realizacji OPLAN Deutschland potrzebujemy łącznie ok. 460 tys. żołnierzy – oceniał.

Pojawiają się też bardziej ambitne założenia. Friedrich Merz wspominał o konieczności uniezależnienia Europy od USA i sugerował budowę alternatywy dla NATO. Manfred Weber, szef europejskiej chadecji, żądał utworzenia armii europejskiej, a na obrzeżach debaty publicznej pojawiają się również pierwsze sugestie dotyczące broni nuklearnej. Publicystka „Guardiana”, Nathalie Tocci, kilka miesięcy temu stwierdziła, że z wojny Putina i „zdrady Trumpa” zrodzi się nowa Europa, i najwyraźniej ten proces właśnie rozpoczyna się na naszych oczach.

BUNDESWEHRA NA KOLANACH

Czy Niemcy faktycznie podniosą Bundeswehrę z kolan? Nie bagatelizując sytuacji, nie należy też popadać w drugą skrajność, strasząc złym Niemcem u bram. Po pierwsze, Berlin nie ma żadnego

nia, gdyż niemiecki naród jej nie chciał, a Angela Merkel jedynie wpisywała się w Zeitgeist końca historii.

Niemcy najwyraźniej po dekadach dojrżeli do zmiany, o czym świadczą nie tylko ostatnie działania władz, lecz także nastroje społeczne. Dla przykładu: w niedawnym sondażu Politbarometer stacji ZDF aż 76 proc. badanych opowiadało się za zwiększeniem finansowania Bundeswehry i wzrostem wydatków na obronność. Pytanie tylko, czy Polacy powinni się cieszyć z tej zmiany.

NIEMCY SIĘ ZBROJĄ

„Niemcy zdecydowały się porzucić przeszłość i przygotowują się na wojnę

planu naprawy armii. Tak, przekazane mają zostać rekordowe kwoty, ale samo zadekretowanie pieniędzy jeszcze nic nie znaczy. Na co konkretnie mają iść – nie wiadomo. Po drugie, Niemcy są mistrzami kreatywnej księgowości i mało kto pamięta, że w przeszłości Berlin już płacił na obronność 2 proc. PKB, ale te kwoty w żaden sposób nie przekładały się na realny potencjał armii, gdyż znaczną ich część przekazywano na inne cele (słynny przypadek wliczania emerytur do tychże 2 proc. PKB). Merz ponoć obiecał Zielonym, że aż jedna piąta funduszu ma trafić na transformację gospodarczą w kontekście ochrony klimatu, co już samo w sobie kładzie się cieniem na całym projekcie. Po trzecie, nie zdajemy sobie sprawy, w jak katastrofalnym stanie jest niemiecka armia. Nie chodzi tylko o niesprawne czołgi, braki w uzbrojeniu, lecz także o niedofinansowane jednostki. Jak wynika z opublikowanego w zeszłym roku raportu, pełnomocnik Bundestagu do spraw sił zbrojnych, Evi Högl, koszały są nie tylko

samo społeczeństwo – w armii dominuje obecnie trend „odpływowy”, a władzom jest coraz trudniej znaleźć chętnych do wstąpienia w szeregi wojska. Ponadto Bundeswehra wstrząsnęła w ostatnich latach skandale, gdy w szeregach armii odkryto neonazistów, co stanowiło potwierdzenie najgorszych koszmarów niemieckiego społeczeństwa.

Być może zatem nie chodzi wyłącznie o modernizację samej armii, ale o stworzenie wielkiego koła zamachowego dla całej gospodarki. Z analizy Ernst and Young dla Dekabanku wynika, że zwiększenie wydatków obronnych do 3 proc. PKB może przełożyć się na ponaddwukrotny wzrost rocznych inwestycji Niemiec, a także przyczynić się do powstania 245 tys. miejsc pracy. Z kolei Goldman Sachs wskazuje, że cały projekt może pozytywnie przełożyć się na inwestycje publiczne, a Międzynarodowy Fundusz Walutowy ocenia, że niemieckie działania pomogą „zrekompensować negatywne skutki spadku eksportu i napięć handlo-

Co więcej, Fundusz Obrony Unii Europejskiej zakłada, że broń, którą będą kupować państwa UE, będzie produkowana wyłącznie w Europie. Takie rozwiązanie już na starcie faworyzuje zatem dużych graczy: Francję, Hiszpanię, Włochy czy oczywiście Niemcy.

UZBROJONY SĄSIAD

Remilitaryzacja Niemiec, gdyby doszła do skutku, oznaczałaby gruntowną przebudowę europejskiej szachownicy politycznej. Rola Berlina automatycznie by wzrosła. Znacząco by się zwiększyła zależność Polski od zachodniego partnera. Trudno bowiem uwierzyć, że uzależnienie od Niemiec w kwestiach bezpieczeństwa nie przełoży się na uzależnienie w innych obszarach.

Od lat Polacy zupełnie bezrefleksyjnie domagali się od Niemców zwiększenia nakładów na obronność. W tych wezwaniach przodowała zwłaszcza rodzima prawica, która w ten sposób próbowała manifestować swoją wyższość nad zachodnim sąsiadem. Bo i prawdą jest, że było to jedno z niewielu pól, na którym mieliśmy jakąś przewagę nad Niemcami. Podobne pohukiwania wyglądały raczej na leczenie własnych kompleksów niż rzetelną analizę sytuacji.

Oczywiście głosy przestrzegające przed Berlinem łatwo obśmiać. Nie chodzi jednak o to, że współczesne Niemcy są imperialne, że czyhają na Szczecin i Wrocław czy marzą o pogiębieniu Polaków. To sprowadzenie realnego problemu do absurdu. To, że Niemcy dzisiaj nie są imperialne i rewizjonistyczne, nie świadczy o tym, iż nie będą takie za lat 20 albo 50. Dzisiaj Berlin jest sojusznikiem Polski i świetnie, ale żaden sojusz nie jest wieczny.

Demilitaryzacja Niemiec oraz kompleks tego narodu, który przez całą dekadę bał się własnej armii, to była jedna z niewielu pozytywnych rzeczy, które spotkały Polskę po drugiej wojnie światowej. Patrząc w perspektywie wieków, a nie kadencji parlamentu, należy ocenić, że był to unikalny czas, gdy pomiędzy dwoma wielkimi sąsiadami, z którymi graniczy Polska, tylko jeden był uzbrojony i potencjalnie dla nas niebezpieczny. Ta pauza geopolityczna jest już jednak za nami. Niemiecka machina ruszyła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Demilitaryzacja Niemiec oraz kompleks tego narodu, który przez całą dekadę bał się własnej armii, to była jedna z niewielu pozytywnych rzeczy, które spotkały Polskę po drugiej wojnie światowej

zniszczone, lecz także wręcz zagrzybione, brakuje amunicji i broni oraz ogrzewania i ciepłej wody. Tylko cztery budynki Bundeswehry na 10 oceniono jako „nadające się do użytku bez ograniczeń”. Głośno było swego czasu o koszarach Klotzberg w Idar-Oberstein, gdzie blisko 100 mężczyzn i kobiet dostało do dyspozycji zaledwie dwie toalety, w innych jednostkach kanalizacja była pozatykana albo brakowało gniazdek elektrycznych, przez co żołnierze nie mogli ładować telefonów. Obraz, który wyłania się z tych doniesień, przypomina raczej historie z Trzeciego Świata, a nie giganta, który chce rzucić wyzwanie Putinowi.

Niemcy nie mogą modernizować wojska, gdyż nie ma czego „modernizować”. Obecnie Berlin musi reanimować to, co zostało z Bundeswehry, aby dopiero w kolejnych latach zająć się jej rozwojem. Latami, gdyż tak wielka operacja może zająć i dekadę. Kolejnym problemem jest

wych, wspierając wzrost gospodarczy od 2026 r.”. Clemens Fuest, prezes Instytutu Ifo w Monachium, podkreśla, że „zdolność obronna i siła gospodarcza to dwie strony tej samej monety”, a wtóruje mu Moritz Schularick, prezes Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii, który zachęca rząd do pobudzenia wzrostu gospodarczego poprzez wydatki na zbrojenia.

Plany polityków nie są osadzone w próżni. Rheinmetall, jeden z ważniejszych europejskich producentów amunicji, zapowiedział kilka tygodni temu, że przestawi dwa zakłady produkujące części samochodowe na produkcję głównie sprzętu wojskowego. Można spodziewać się, że za jego przykładem pójść inne firmy, gdyż wpompowanie takiej fortuny w niemiecki przemysł będzie miało przemożny wpływ na gospodarkę kraju (np. Hensoldt, korporacja zajmująca się m.in. obronnością, już bada możliwość zwiększenia liczby pracowników).

KSIĘGARNIA DO RZECZY

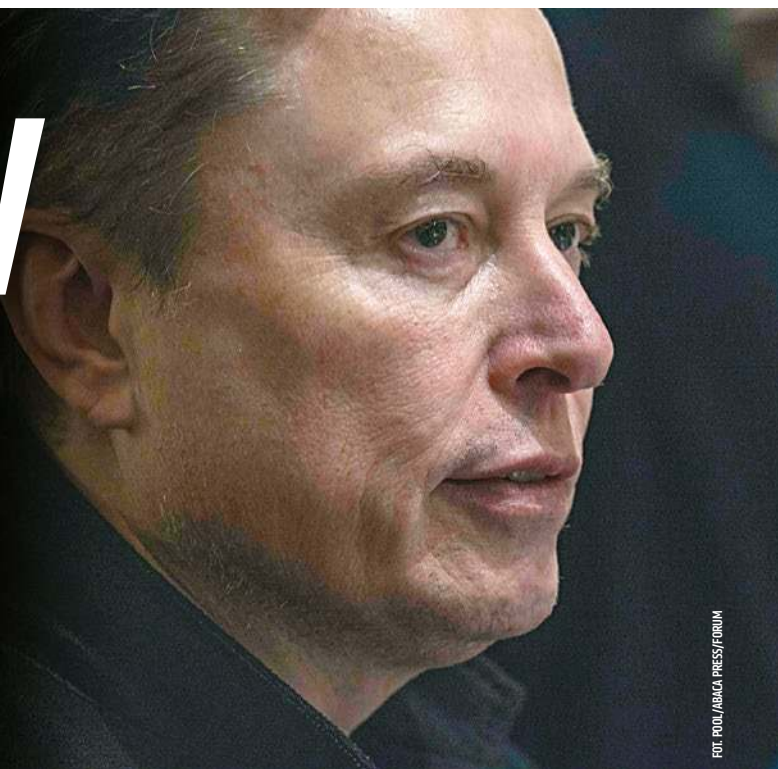


ZAPRASZAMY
DO KSIĘGARNI
DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

Mroczny świat Elona Muska



FOT. ROL/ABACA PRESS/FORUM



Paweł Chmielewski

W otoczeniu prezydenta Donalda Trumpa działają ludzie, których wizja społeczna jest skrajnie odległa od katolickiej i stąd bardzo niebezpieczna. To choćby Elon Musk czy Peter Thiel

Amerykańska lewica dała nam wszystkim solidnie w kość. Fundacja George'a Sorosa sponsorowała niezliczoną ilość wrogich normalności inicjatyw na całym świecie, w tym w Polsce. Wielkie platformy cyfrowe zarządzane przez Marka Zuckerberga czy kierownictwa Google przez długie lata cenzurowały konserwatywne treści. Ludzie, którzy z pozycji liberalnych sterowali amerykańską polityką, rozpropagowali ideologię LGBT, agresywny aborcjonizm, wokeizm. Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach z 5 listopada 2024 r. pozwoliło na złapanie oddechu. Nowy prezydent otoczył się wieloma katolickimi politykami, w swoim przemówieniu inauguracyjnym katego-

rycznie odrzucił genderyzm i zaprzestał finansowania aborcji poza granicami USA. Nie ma cienia wątpliwości, że pod wieloma względami czas jego rządów jest dla Ameryki, Polski i całego świata znacznie lepszy niż prezydentura Bidena albo Obamy. W tej beczce miodu jest jednak również dziegieć – i to w znacząco większej ilości niż tylko przysłowiowa łyżka.

Jednym z największych problemów wokół Donalda Trumpa jest postać Elona Muska. W przestrzeni ideowej najbogatszy człowiek świata jest najlepiej znany ze swojej obrony wolności słowa i nadziei na kolonizację Marsa, ale to bynajmniej nie wszystko. Musk, o czym świadczą zarówno jego działania, jak i publiczne wypowiedzi, kultuwyje wyjątkowo niebezpieczną wizję człowieczeństwa. Miliarder jest gorącym zwolennikiem rozłączenia płodzenia od aktu seksualnego. Zgodnie z oficjalnymi informacjami jest ojcem 13 dzieci, z których prawie wszystkie urodziły się poprzez in vitro. Wyjątek stanowi dziecko zakupione od surogatki.

Procedura in vitro jest ściśle związana z wieloma bardzo poważnymi naruszeniami godności ludzkiej. Najważniejsze to selekcja i zabijanie niepotrzebnych zarodków. W ramach in vitro tworzy się

ich zawsze większą liczbę. Wybiera się te, które pod względem genetyki najlepiej rokują. Reszta zostaje albo zamrożona, albo zabita. Jeżeli zarodki są zamrażane, to oznacza to najczęściej tylko odsunięcie unicestwienia. Część zarodków nie przeżywa odmrożenia, a części nikt nigdy nie odmrozi – bo ze względu na „niską jakość” nie znajdą nabywcy. Z perspektywy biologicznej zarodek jest istotą ludzką. Jego likwidacja oznacza zabicie człowieka. Z in vitro wiąże się również surogacja, bo klienci często oczekują, że dziecko urodzi im wynajęta kobieta. Matka jest wówczas traktowana jak instrument, co w oczywisty sposób głęboko narusza jej godność.

Procedura in vitro i związana z nią surogacja to jedno z najbardziej obrzydliwych i wewnętrznie złych zjawisk współczesności. Niestety, Partia Republikańska, która kiedyś stała w Ameryce na straży porządku naturalnego, w sprawie in vitro całkowicie od tego odeszła. W przyjetym latem 2024 r. programie zapisano kategoryczne poparcie dla in vitro. Sam Donald Trump wielokrotnie zapowiadał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by jak najszerzej udostępnić tę procedurę Amerykanom. Za in vitro oraz surogacją, oprócz zbrodni i cierpienia wykorzystywanych kobiet, stoją też gigantyczne

pieniądze. Godność ludzka nie ma tu niestety żadnego znaczenia.

ŚWIATY WEDŁUG MUSKA

Pytanie, czy taka godność jest w ogóle obecna w wizji Muska. Urodzony w RPA miliarder nie jest wierzący. Wprawdzie w 2024 r. w rozmowie z Jordanem Petersonem określił się jako „kulturowy chrześcijanin”, ale to pusta kategoria. Kilka miesięcy temu w rozmowie z szefową niemieckiej AfD, Alice Weidel, przekonywał, że jest wprawdzie „otwarty” na istnienie Boga, ale sugerował zarazem, że chodzi mu o „jakiś rodzaj bytu”, a nie Boga jako Osobę. Kiedy odrzuca się osobowego Boga, to konsekwentnie odrzuca się ideę człowieka jako Bożego stworzenia obdarzonego godnością. Wówczas logiczną konsekwencją jest jakaś forma materializmu antropologicznego.

Tak właśnie uważa Musk. Z jednej strony miliarder wielokrotnie wypowiadał się na temat tzw. sztucznej inteligencji, przestrzegając przed konsekwencjami niekontrolowanego rozwoju AI, który mógłby obrócić się przeciwko ludzkości. Z drugiej sugerował jednak, że tego rodzaju obrót spraw mógłby być... jakimś rodzajem dziejowej konieczności. „Coraz więcej wskazuje na to, że ludzkość jest tylko biologicznym programem rozruchowym dla cyfrowej superinteligencji” – napisał w 2025 r., powtarzając własną wypowiedź sprzed kilku lat. Sprowadzenie człowieka do roli „biologicznego programu rozruchowego” dla powstania inteligentnej maszyny nie jest autorską koncepcją Muska. To klasyczna idea radykalnego transhumanizmu, który postrzega człowieka jako jedno z ogniw ewolucji prowadzącej ostatecznie do stworzenia sztucznej superinteligencji osadzonej materialnie w maszynie albo w hybrydzie biologiczno-maszynowej, przy czym komponent biologiczny może, ale nie musi pochodzić od człowieka. Elon Musk, rozwijając technologię ulepszania ludzkich mózgów za sprawą chipów podłączonych do komputera, w oczywisty sposób wpisuje się w te dążenia, nawet jeżeli na razie stawia sobie bardziej ograniczone cele, jak przywracanie wzroku niewidomym.

W sumie miliarder obraca się w kręgu idei, które tworzą bardzo niebezpieczny konglomerat. Wyobraźmy sobie: koloni-

zacja Marsa przy pomocy ludzi genetycznie zaprojektowanych przez AI i „wytworzonych” w laboratoriach in vitro; następnie „ulepszonych” przez chipy po to, żeby zrealizować jedyny cel swojego życia – transfer „ludzkiej masy biologicznej” na inne planety, bo tego transferu wymaga zabezpieczenie bytowania cyfrowej superinteligencji. Realizacja takiej koszarnej wizji może wydawać się odległa, ale biorąc pod uwagę zasoby finansowe Muska, nie można jej lekceważyć.

MARZENIA O NIEŚMIERTELNOŚCI

Tym bardziej że w różnych aspektach dzielą ją także inni miliarderzy w otoczeniu Donalda Trumpa. Najbardziej wyrazistym z nich jest Peter Thiel, inwestor urodzony w Niemczech, a wychowany w Stanach Zjednoczonych. Thiel należy do grupy 150 najbogatszych ludzi na świecie. To współzałożyciel PayPal i Palantir Technologies. W 2011 r. poznał się z J.D. Vance’em, wiceprezydentem USA przy Trumpie. Vance wspomina tamten moment jako jedno z najważniejszych wydarzeń w swoim życiu. Nic dziwnego, bo w 2022 r. to właśnie Thiel wpłacił 15 mln dol. na kampanię wyborczą Vance’a do Senatu, co stanowiło rekord w historii darowizn dla pojedynczego senatora. Dodatkowo miliarder załatwił Vance’owi wsparcie również innych bogatych darczyńców.

Thiel, „praktykujący homoseksualista”, uważa się za protestanta. Twierdzi, że w religii chrześcijańskiej najbardziej fascynująca jest walka ze śmiercią. Stara się ją prowadzić jednak w zupełnie materialny sposób. Zapisał się do programu krioprezervacji, licząc, że zostanie w przyszłości „wskrzeszony”. W 2017 r. przekazał 7 mln dol. fundacji zajmującej się rozwojem środków mających spowolnić starzenie. Publicznie wyrażał nadzieję na taki rozwój AI, który doprowadzi do głębokiego przełomu cywilizacyjnego i technologicznego, wprowadzając ludzkość na zupełnie nowy poziom istnienia. Według Thiele możemy wkrótce znaleźć się na „równi pochyłej” do nieśmiertelności, osiągalnej dzięki postępującemu nagromadzeniu kolejnych przełomów medycznych i technologicznych.

Vance’a z Thielem łączy też postać Curtisa Yarvina. To programista, którego start-up sfinansował właśnie Thiel.

Yarvin publikuje w sieci jako Mencius Moldbug. Vance kilkakrotnie odwoływał się do jego poglądów. Yarvin jest zdecydowanym krytykiem demokracji i lewicowego egalitaryzmu. Można byłoby mu to poczytać za plus, gdyby nie fakt, że w zamian proponuje rodzaj autokracji opartej na korporacyjnych elitach, które będą dążyć do maksymalizacji produktywności i jakości życia społecznego, pojmowanej zupełnie utylitarystycznie. W wizji Yarvina to człowiek jest celem, ale po prawdzie nie wiadomo na jakiej podstawie – nie ma po temu odpowiednich założeń filozoficznych.

Konsekwencje logiczne z wizji Yarvina zdaje się dobrze wyciągać angielski myśliciel Nick Land, mieszkający w Chinach autor głośnej w USA książki „The Dark Enlightenment” („Mroczne oświecenie”). Land, wychodząc z podłoża materialistycznego i ateistycznego, proponuje destrukcję liberalizmu i demokracji. Celem jest okiełznanie ludzkości przy użyciu zimnej technokracji i utorowanie drogi do radykalnego transhumanizmu, czyli tego, co Musk określił jako nastanie sztucznej superinteligencji na „nawozie” ludzkiej biologii. Dla Landa ludzkość jest czymś, co po prostu trzeba przekroczyć.

DROGA DO KATASTROFY

Idee Muska, Thiele, Yarvina czy Landa nie są w pełni spójne. Tworzą jednak intelektualny kocioł, którego zawartość, połączona z niemal nieograniczonymi zasobami finansowymi oraz gigantyczną władzą polityczną, może pewnego dnia zrodzić bardzo gorzkie owoce. Niechęć do współczesnej demokracji czy krytyka liberalizmu mogą być dla konserwatysty miłe, ale bez rzetelnej wiary chrześcijańskiej to pomyłka. Próba głębokiej przebudowy społeczeństwa z użyciem najnowocześniejszych technologii, bez odniesienia do Boga i wynikającego stąd poszanowania godności ludzkiej, może utorować drogę do kolejnej katastrofy cywilizacyjnej.

Stąd pierwszorzędnym zadaniem całej prawicy – tak w USA, jak w Polsce – powinno być tworzenie polityki opartej na zdrowych, katolickich zasadach. Bez nich antyludzki system liberalny zamieni się tylko na nieliberalny, ale równie zły.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą PCh24.pl.



Filip Memches

Zdaniem Johna Graya w XXI w. państwa zachodnie, obiecując ludziom wolność, tak naprawdę ich zniewalają. Ale może nieraz trudno to zauważyć, ponieważ nie czynią tego bezpośrednio rządy tych państw, lecz instytucje i organizacje „społeczeństwa obywatelskiego”

Liberalne środowiska w Polsce są mocno zaangażowane w bieżący spór polityczny nad Wisłą. Na gruncie ideowym taka sytuacja nie sprzyja rozliczaniu się z własnymi błędami. Skłania ona raczej do utwardzania swojego stanowiska.

Mogłoby się wydawać, że tak jest w przypadku tygodnika internetowego Kultura Liberalna. Jego publicyści lansują wizję świata, w której zachodnie „społeczeństwa otwarte” – oddane takim mieszczańskim cnotom, jak rozsądek, tolerancja, umiar – są narażone na atak „populistów”, nacjonalistów, suwerenistów – mrocznych sił przecierających szlak fanatyzmowi plemiennemu i tendencjom autorytarnym. Trzeba przyznać, że taki przekaz dnia brzmi prostacko. Nie stoi za nim chęć poznania i zrozumienia skomplikowanej rzeczywistości, czyli sedna konfliktów politycznych, które rozdzielają Zachód.

Dlatego do pewnego stopnia zaskoczeniem może się być fakt, że Kultura Liberalna wydaje książki Johna Graya. Poglądy tego angielskiego filozofa i politologa kolidują bowiem z tym, w co wierzą w XXI w. wyznawcy liberalizmu, i są bardzo odległe od ich lęków.

ODWRÓT OD THATCHERYZMU

Urodzony w roku 1948 Gray to profesor renomowanych uczelni – pracował m.in. na Uniwersytecie Oksfordzkim oraz w London School of Economics. Na początku lat 80. był intelektualnym kontynuatorem dzieła klasycznego liberalizmu, czołowym promotorem idei przyświecających ówczesnej premier Wielkiej Brytanii Margaret

Thatcher. Opowiadał się za reformami wolnorynkowymi, które gabinet torysów wprowadzał na przekór związkom zawodowym i lewicy. Filozof popierał globalizację. Uważał, że gospodarkę trzeba rozwijać poprzez jej deregulację i prywatyzację.

Później jednak rozwiązania te Graya rozczarowały. Nie tylko ze względów ekonomicznych. Zaczął on przywiązywać wagę do więzi społecznych, zagrożonych przez turbokapitalizm i potężne korporacje. Dostrzegł, że priorytetowe traktowanie indywidualnej wolności – będącej dla thatcherystów świętością – ma swoją wysoką cenę, którą jest rozkład naturalnych wspólnot (zwłaszcza tych małych lokalnych). Odrzucił oświeceniowy optymizm antropologiczny leżący u źródeł liberalizmu. Jednocześnie w ten sposób pogłębił swój dotychczasowy brak zaufania do wszelkich obietnic zbawienia – i tych religijnych (jak chrześcijań-

ruszyły narzucać reszcie świata swój model polityczno-gospodarczy jako system bezalternatywny, Gray się temu sprzeciwił. Twierdził, że każde społeczeństwo ma własną tradycję polityczną i swoją odrębność kulturową. Upominał się o respekt dla tych przymiotów. Dlatego wskazywał, że eksport zachodniej demokracji na Bliski Wschód wywoła w tym regionie chaos. Argumentował, że miejsce to pozabawione jest właściwego podłoża dla niej.

W drugiej połowie lat 90. filozof poparł brytyjską Partię Pracy jako ugrupowanie deklarujące podążanie „trzecią drogą”: zrównoważenie wolnego rynku osłonami socjalnymi. Trudno jednak powiedzieć, że ideowo utożsamiał się z tą formacją. Nie stał się lewicowcem. Zachował intelektualną i polityczną niezależność. Mało tego, gdy Wielka Brytania stanęła przed wyborem: zostać w Unii Europejskiej lub z niej wystąpić, zagło-

Rozczarowany

stwo), i tych świeckich (jak komunizm). Surowym okiem spojrzął na ideologię postępu oraz globalizację.

Kiedy skończyła się zimna wojna i jej zwycięzcy, czyli mocarstwa zachodnie (przede wszystkim oczywiście USA)

sował za brexitem. UE zarzucił, że jest projektem utopijno-technokratycznym. I przypuszczalnie taka postawa niejednemu unijcykowi polskiego pochodzenia czytającego Kulturę Liberalną wydaje się aktem ostatecznej zdrady liberalizmu na rzecz ciasnego brytyjskiego nacjonalizmu (skądinąd, zdaniem Graya, każdy nacjonalizm to tylko – tak jak inne ideologie – fałszywy mesjanizm).

Ponadto w rozważaniach filozofa znaczącą rolę zaczęły odgrywać wątki ekologiczne. Łączą się one z wrażliwością konserwatywną – taką, jaka była jeszcze obecna w starym toryzmie sprzed epoki Thatcher, który stanowił romantyczną pochwałę nietkniętej przez industrializację angielskiej wsi i jej tradycyjnego porządku społecznego. Przy czym trzeba zarazem zaznaczyć, że nastawienie ekologiczne Graya wyrasta z dyskursu pogańskiego (bliskiego buddyzmowi). Człowiek jako gatunek to dla filozofa nie korona stworzenia, lecz wyłącznie jedno ze zwierząt.

A zatem mamy do czynienia z myślicielem politycznym, który nie dość, że



FOT. NICK CUNNINGHAM / ZUMA PRESS / FORUM

liberalizmem się rozczarował, to jeszcze stał się jego antagonistą. Ostatnia książka Graya tylko to potwierdza. I warto po nią sięgnąć.

„Nowe lewiatany. Refleksje po liberalizmie” z roku 2023 (po polsku pozycja ta ukazała się w 2024 w przekładzie Szymona Żuchowskiego – rzecz jasna, nakładem Kultury Liberalnej) to próba spojrzenia na współczesny świat poprzez pryzmat myśli żyjącego na przełomie wieków XVI i XVII angielskiego filozofa Thomasa Hobbesa. Przyjął on założenie, że w stanie natury ludzie między sobą walczą. Optował więc za takim ustrojem politycznym, który poskramiałby ich namiętności prowadzące do wojen domowych (był świadkiem jednej z nich – między rojalistami a obozem parlamentarnym w Anglii). Dlatego głosił koncepcję państwa absolutnego – przedstawianego alegorycznie jako Lewiatan, biblijny potwór morski – będącego

interesów, lecz właśnie dobór określonych słów uzasadnia akty wrogości. Na przykład jeśli jakieś państwo chce uzyskać moralną legitymację dla swoich agresywnych działań na arenie międzynarodowej, to może to zrobić, występując w imieniu takiego politycznie abstrakcyjnego bytu, jakim jest „ludzkość”.

KONIEC „ANTROPOCENU”?

Komentując myśl Hobbesa Gray stawia współczesności ponurą diagnozę. Tytułowe „nowe lewiatany” to państwa XXI w. Te na Zachodzie, obiecując ludziom wolność, tak naprawdę ich zniewalają. Ale może nieraz trudno to zauważyć, ponieważ nie czynią tego bezpośrednio rządy tych państw. Gray oznajmia:



JOHN GRAY
„NOWE LEWIATANY. REFLEKSJE PO LIBERALIZMIE”
BIBLIOTEKA
KULTURY
LIBERALNEJ,
WARSZAWA 2024

wszystkim – Chińska Republika Ludowa (Gray portretuje je bardzo realistycznie – zwłaszcza odziera ze złudzeń tych zachodnich konserwatystów, którzy putinowską Rosję wyobrażają sobie jako tradycjonalistyczną arkadię).

Po zimnej wojnie państwa Zachodu miały ambicję stać się w świecie politycznymi i kulturowymi trendsetterami. Jednak stało się inaczej – ta rola przypadła, według Graya, Chinom (także jeśli chodzi o technologię nadzoru nad obywatelami). A to dlatego, że odnosząc sukcesy

w globalnym wyścigu ekonomicznym, poważnie zagroziły one USA i dowodzą, że systemy, „w których siły rynkowe są pod kontrolą państwa, mają naturalną przewagę nad tymi, w których rządy zostały przejęte przez korporacje”.

Dopełnieniem tego ponurego obrazu jest opinia Graya na tematy ekologiczne. Umoralniające opowieści o tym, jak to ludzkość jest winna globalnego ocieplenia, spotykają się z szyderstwem filozofa. Kpi on z nich, stwierdzając, że społeczeństwa, które biorą je serio, wpadają w amok „zielonej” polityki, co powoduje, że usiłują zahamować procesy i tak niedające się zatrzymać. Gray uważa, że zmiany klimatyczne spowodowane ludzką aktywnością są faktem, ale nie ma co nad nimi lamentować. Sugeruje, żeby podchodzić do nich pragmatycznie, a nie ideologicznie. Choć zarazem konstatuje, że na dłuższą metę jest to bez znaczenia, ponieważ „antropocen dobiega końca”, a wraz z rozwojem sztucznej inteligencji (w tej dziedzinie prym wiodą Chiny) zadanie schłodzenia Ziemi przejmą cyborgi. I dodaje: „Ludzkość przestaje odgrywać kluczową rolę w życiu planety, tak by życie mogło toczyć się dalej”.

Tez Graya nie da się pod względem światopoglądowym łatwo zaszufladkować. Polska prawica, dla której punktem oparcia jest nauczanie Kościoła katolickiego, może mieć kłopot z pogańskimi elementami wywodów filozofa. Ale ciekawsze są problemy, których Gray przysparza polskim „uśmiechniętym” liberałom. Dlatego za wydanie „Nowych lewiatanów” należy Kulturę Liberalną pochwalić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

liberalizmem

efektem umowy społecznej likwidującej krwiożerczy stan natury.

Tym jednak, co Graya w teorii Hobbesa zafascynowało szczególnie, jest rozprawianie nad językiem – narzędziem świadczącym o specyfice człowieka jako gatunku. Spośród wszystkich zwierząt mowa posługuje się wyłącznie rozumna istota obdarzona zdolnością abstrakcyjnego myślenia. Ale używanie języka ma też ciemną stronę. Człowiek za pośrednictwem słów odkrywa własną śmiertelność, co wywołuje w nim trwogę. Poza tym, wymyślając pojęcia ogólne, czyli oderwane od konkretnych, kategoryzuje rzeczywistość. Tak rodzą się wielkie idee, które już same w sobie Gray traktuje bardzo nieufnie.

W „Nowych lewiatanach” czytamy: „Świadomość śmiertelności skłania [ludzi] do poszukiwania nieśmiertelności w ideach. Zabijanie dla słów nadaje ich życiu sens. W ten sposób korzystają z przywileju niedorzeczności, którego nie można się wyrzec”.

I tak okazuje się, że często wśród ludzi to nie sprzeczność realnych żywotnych

„W szkołach i na uniwersytetach wpaja się młodym ludziom postępowanie w zgodzie z panującą ideologią postępu. Sztukę ocenia się na podstawie tego, czy służy ona realizacji wyznaczonych celów politycznych. Dysydenci nieortodoksyjni podchodzący do kwestii rasy, płci czy władzy są tępieni, ich kariery przekreślane, a oni sami wykluczani z życia publicznego. Represje te nie są wszakże dziełem rządów. Obowiązujące kanony formułuje i egzekwuje społeczeństwo obywatelskie. Biblioteki, galerie i muzea wykluczają poglądy, które uznają za reakcyjne. Władzę nad cenzurą dzierżą wielkie korporacje technologiczne, a nieliberalne instytucje sprawują kontrolę nad społeczeństwem i sobą samymi”.

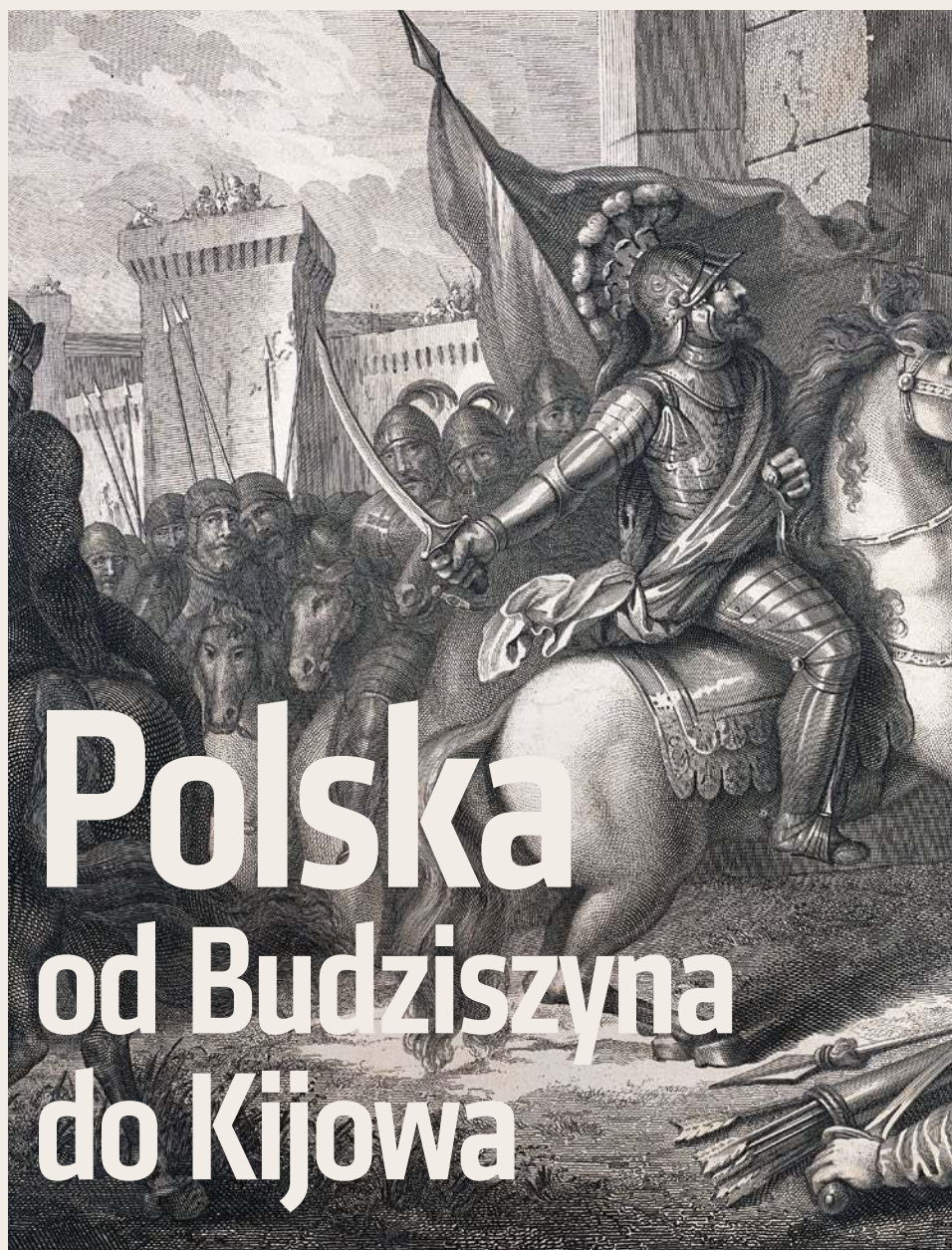
Pozimnowojenna pogoń Zachodu za liberalnymi fantazmatami zaprowadziła go również na manowce, jeśli chodzi o udział w rywalizacji międzynarodowej. Polityczne elity państw zachodnich nie ulepszyły świata, a przespały czas, w którym urosły nowe globalne potęgi: Federacja Rosyjska oraz – przede

O Bolesławie Chrobrym napisano praktycznie wszystko, wyjaśniając w dziesiątkach prac każdy aspekt jego panowania. Rola tego człowieka jako pierwszego koronowanego władcy Polski jest nie do przecenienia. Historycy wspominali o nim z podziwem, podkreślając zasługi dla wzmocnienia Polski i poświęcenie dla chrześcijaństwa. Niektórzy widzieli w nim niedoszłego władcę zjednoczonej zachodniej Słowiańszczyzny. Wielu krytykowało zbędne – jak sądzono – okrucieństwo.

Spróbujmy jednak pokazać Bolesława jako człowieka swojej epoki – wczesnego średniowiecza, świtu cywilizacji chrześcijańskiej. Władcy, który był poza dzisiejszą moralnością i wzorcami zachowań, bo żył w świecie innych wyzwań i zagrożeń niż współczesny człowiek. Bolesław musiał robić rzeczy, które dziś wydają się brutalne, inaczej zostałby tylko wymieniony z imienia w kronice Galla Anonima. Na tle innych władców, jak jego zięć Świętopełk, morderca Borysa i Gleba czy księżniczka czeska Drahomira, zabójczyni św. Ludmiły, był całkiem prawym człowiekiem.

PIERWSZY DO WŁADZY

Pierworodny syn Mieszka i czeskiej Dąbrówki otrzymał imię po dziadku ze strony matki – księciu czeskim Bolesławie. Przydomek „Chrobry”, co znaczy waleczny, mężny i bitny, nadali mu późniejsi kronikarze. Miał rodzoną siostrę – Świętosławę, którą wydano za króla Szwecji Eryka Zwycięskiego; zasłynęła jako pierwsza w historii polska niewiasta zbuntowana i niepokorna. Oboje mieli też przyrodnych braci z drugiego małżeństwa ojca: Mieszka, Świętopełka i Lamberta. Gdy w 992 r. zmarł pierwszy historyczny władca państwa gnieźnieńskiego, które jeszcze nie było nazywane Polską, Bolesław zadział szybko i bezwzględnie: wypędził macochę Odę i przyrodnych braci, oślepił dwóch dostojników – Odylena i Przybywoja – co świadczy o tym, że musiał wygrać starcie ze stronnictwem możnych popierającym młodszych piastowiczów. Z punktu widzenia późniejszych dziejów królestwa postąpił słusznie – zachowując jedność kraju, podczas gdy jego ojciec planował podzielić ziemię między synów. Trzeba przyznać, że Bolesław miał ułatwione zadanie, gdyż liczył wówczas ok. 24 lat, podczas gdy bracia



Polska od Budziszyna do Kijowa



Jacek Komuda

Mało który z historyków próbował przedstawić pierwszego króla Polski jako zwykłego polityka swojej epoki – brutalnego, bezwzględnego władcę średniowiecza. A trzeba to czym prędzej zrobić. Bolesław Chrobry czeka bowiem w kolejce do wzięcia w kleszcze przez neomarksistowskich pseudohistoryków, którzy zapewne w ciągu kilku najbliższych lat postarają się zohydżyć go w naszej świadomości, aby pozbawić nas postaci będącej symbolem suwerenności Polski



Carl Gottlieb Rasp, Franciszek Smuglewicz „Bolesław Chrobry zdobywa miasto Kijów, uderzając mieczem w Złotą Bramę, i czyni Ruś zależną od daniny” (ok. 1791 r.)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Przejąwszy rządy po 992 r., Bolesław przyjął w 997 r. biskupa praskiego Wojciecha, który przybył do Gniezna z pielgrzymką. Dodał mu eskortę 30 wojów i pomógł dotrzeć na Pomorze Gdańskie, gdzie biskup nauczał najpierw w Gdańsku, a potem w kraju Prusów. Tutaj 23 kwietnia poniósł śmierć, być może próbując obalić któregoś ze starych bogów. Głowę wystawiono na palu – w Sambii lub w Pomezanii. Jeden z podróżnych zabrał ją i przywiózł do Bolesława, który w akcie pokuty – być może za wygnanie braci – wykupił ciało męczennika i kazał złożyć je w Gnieźnie. Tak oto Polska dorobiła się własnego męczennika za wiarę.

TAJEMNICA KORONACJI 1000 R.

Wykupienie szczątków Wojciecha opłacił się po stokroć – Bolesław pokazał po raz pierwszy, że był mistrzem wykorzystywania okazji do zwiększenia swego znaczenia. Zwróciło to na niego uwagę cesarza rzymskiego Ottona III, który w roku 1000 odbył pielgrzymkę do grobu świętego. Bolesław przyjął go na bogato. Jak pisał Anonim: „Na przybycie cesarza przygotował cuda, hufy przeróżne rycerstwa, następnie dostojników rozstawił jak chóry, na obszernej równinie, a poszczególne z osobna stojące hufce wyróżniała odmienna barwa strojów. A nie była to tania pstrokaczyna byle jakich ozdób, lecz najkosztowniejsze rzeczy, jakie można znaleźć gdziekolwiek na świecie. Bo za czasów Bolesława każdy rycerz i każda niewiasta dworska zamiast sukien lnianych lub wełnianych używali płaszczy z kosztownych tkanin, a skór nawet bardzo cennych nie noszono na jego dworze bez podszycia kosztowną tkaniną i bez złotych frędzli”.

I to właśnie w Gnieźnie, u grobu świętego, Bolesław być może otrzymał od cesarza godność królewską – już w roku 1000, a nie w 1025! Otton bowiem „mianował go bratem i współpracownikiem cesarstwa i nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego” – pisze Gall Anonim, bo drugi kronikarz, Thietmar, opisujący zjazd gnieźnieński nie wspomina o tym. Cesarz dał Bolesławowi włócznię św. Maurycego wraz z gwoździem z Krzyża Świętego. Jako symbol władzy włożył mu na głowę własny diadem.

Historycy do dziś toczą gigantyczne spory, co oznaczał gest cesarza i czy już

Władca musiał być silny i do pewnego stopnia bezwzględny. Żeby poddani – zarówno rycerstwo, jak i zwykli wolni – byli pewni, że taki król albo książę zapewni im bezpieczeństwo

w 1000 r. Bolesław otrzymał godność królewską. Tak pisze wspomniany Gall Anonim, bo Thietmar, który jednak nienawidził Bolesława, nie wspomina o tym ani słowa. Jedno jest pewne – cesarz założył wówczas w Gnieźnie arcybiskupstwo, a powołując się na źródła polskie – przyznał Bolesławowi przywilej mianowania dostojników kościelnych, i to nie tylko w Królestwie Polskim, lecz także na obszarach podbitych przez władcę. Przywilej ten zatwierdził papież Sylwester II. To była wówczas jedna z prerogatyw królewskich.

W ogóle w źródłach mamy klasyczną paranoję polsko-niemiecką. Gall nie wspomina w ogóle o koronacji Bolesława w 1025 r.; dla niego i dla innych kronikarzy Bolesław został królem już w 1000 r. Natomiast o późniejszej koronacji informują wyłącznie źródła z Rzeszy. Jak rozwiązać ten problem? Bolesław został wówczas królem czy nie?

Przeciwko temu świadczy fakt, że godności tej nie zatwierdził papież. Jednak w historii zdarzało się, że i cesarze nadawali korony królewskie nielicznym władcom czeskim i słowiańskim. Zresztą w 1025 r. Chrobry także nie pytał papieża o pozwolenie. Sporu nie sposób rozstrzygnąć inaczej, niż tylko przyjmując, że Otton III wyniósł wówczas Bolesława do godności królewskiej, jednak władca Polski wolał poczekać z oficjalnym ogłoszeniem tego faktu. Bolesław zdawał sobie sprawę, jak rozwścieczy to wrogów. Jednak jeśli przyjmujemy za prawdę zapis Galla Anonima, to znaczy, że rocznicę powstania Królestwa Polskiego powinniśmy czcić w... 2000 r.

Niezależnie od tego czy uznamy ją za fakt historyczny, zjazd gnieźnieński był ogromnym sukcesem króla. Właśnie od tego roku pojawia się w kronikach na-

byli o wiele młodszy. Co więcej, miał kolejno trzy żony. Pierwszą – której imię się nie zachowało – była córka margrabiego Miśni. Została jednak odprawiona. Drugą stała się nieznaną z imienia Węgierka, z którą miał syna Bezpryma; Bolesław pozbył się jej szybko. Trzecią małżonką była Emnilda, z którą przeżył wiele lat. Była to córka księcia Dobromira – prawdopodobnie władcy plemienia Miliczan na Połabiu. Tym małżeństwem należy tłumaczyć późniejsze wojny Bolesława o ziemię zaodrzańską – co było częściową próbą przejęcia dziedzictwa po żonie.

■ zwa Polski, pierwsza u Thietmara, a jej władca zostaje wyniesiony do pozycji lidera państw słowiańskich. Wyprawa Ottona III związana jest bowiem z jego nieco utopijnym planem odtworzenia dawnego Imperium Rzymskiego, w którym cesarz sprawował będzie władzę przez swoich wasali – wyniesionych do pozycji królów, z których każdy pilnował będzie boskiego porządku i praw w innej części świata.

Ze zjazdem gnieźnieńskim związana jest jeszcze jedna ciekawostka historyczna. Otóż według kroniki Ademara z Chabannes Otton III wrócił do Niemiec z Bolesławem i podczas pobytu w Akwizgranie darował mu złoty tron Karola Wielkiego w zamian za ramię św. Wojciecha.

OGIEŃ I MIECZ W STAREJ RZESZY

Otton III zmarł niespodziewanie w 1002 r., nie pozostawiając następcy. Natychmiast rozpoczęła się wojna domowa, w której zmierzyło się trzech walczących o władzę kandydatów – Henryk IV Bawarski, krewny zmarłego, książę szwabski Herman II i margrabia Miśni Ekkehard. Bolesław, z właściwym sobie wyczuciem sytuacji, natychmiast włączył się do rywalizacji, popierając ostatniego z pretendentów, gdy zaś margrabia zginął zamordowany, zajął jego marchię oraz Budziszyn, podbił Miśnię, mając poparcie słowiańskiej ludności. Śmierć Ekkeharda wykorzystał też Henryk Bawarski, który zmusił do uległości panów saskich i w sierpniu przyjął ich hołd w Merseburgu, koronując się na króla Niemiec jako Henryk II. Na zjazd przybył także Bolesław, usiłując wymusić na Henryku, aby przyznał mu Miłsko i Łużyce, ale ten przekazał Miśnię bratu Ekkeharda – Guncelinowi. Jednocześnie miał miejsce zamach na Bolesława, kiedy podburzony – zapewne przez Henryka – tłum rzucił się na króla i jego poczet; Piast ocalał tylko dzięki interwencji sojuszników – margrabiego bawarskiej Marchii Północnej Henryka ze Schweinfurtu i księcia saskiego Bernarda. A także pokazało to, że Bolesław był traktowany przez miejscowych wielmożów jako równy im, lecz niezależny od cesarza, w zależności od układu sił: sojusznik, rywal i wróg, ale nie barbarzyński książę ze Wschodu. Dlatego wracając do Polski, król spalił gród Strzałę i uprowadził okoliczną ludność.

Henryk II był zwolennikiem Realpolitik, a nie marzycielem jak Otton, skupił się więc na umocnieniu swojej władzy w Niemczech. Bolesława szczerze nie cierpiał, gdyż był sojusznikiem jego wrogów. Wkrótce król dał mu się bardziej we znaki. Chodziło o Cechy.

NIESPEŁNIONY KRÓL SŁOWIAŃSZCZYZNY

W Czechach w tym czasie rządził okrutny i szalony Bolesław III Rudy. Jednego z braci – Jaromira – wykastrował, drugi Oldrzych został wygnany wraz z matką. Wkrótce doszło do buntu ludowego, który posadził na tronie Włoddywoja, a Bolesława wygnał. Książę udał się najpierw do Henryka ze Schweinfurtu, a potem do innego krewniaka, noszącego to samo imię: Bolesława z Polski. W tym samym czasie umarł Włoddywój, więc Czesi przywołali z wygnania Jaromira i Oldrzycha. I wówczas Bolesław uderzył z wojskiem, upominając się o krzywdę Rudego, po czym siłą osadził go w Pradze.

Bolesław III jednak rządził jeszcze okrutniej. W końcu zaprosił na ucztę wszystkich możliwych i wymordował ich. Przerażeni Czesi donieśli Bolesławowi o tych wyczynach, ten zaś zaprosił do siebie krewniaka, kazał go schwytować, wypłacił oczy i wysłać na wygnanie. Wkrótce sam został obwołany władcą Czech. I surowo rozprawił się ze stronnikami Rudego. Tyle tradycja polska, bo czeska oczywiście traktuje naszego władcę jako uzurpatora i tyrana. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Bolesław przejął rządy w Pradze legalnie. Czy był okrutny? Nie bardziej niż inni książęta i królowie; należy też pamiętać, że w czasie swojego panowania Bolesław nigdy nie zabił żadnego wroga, poprzestając na wygnaniu i oślepieniu, co w pewnym sensie było wówczas karą dla możnych.

Przejęcie Czech zaniepokoiło jednak króla Henryka II uwikłanego w wojny w Italii i Rzeszy. Dlatego wysłał posłów z propozycją do Bolesława, żądając, aby złożył mu hołd lenny z Czech, czego ten jednak odmówił. Uprzedzając działania, Bolesław wsparł bunt Henryka ze Schweinfurtu i jednocześnie próbował opanować Miśnię, w której

rządził wspomniany Guncelin. Wszystkie te plany jednak skończyły się fiaskiem. W dodatku Henryk II pokonał Henryka ze Schweinfurtu i zmusił go do opuszczenia kraju, sam zaś zaczął gromadzić wojska przeciwko Bolesławowi.

Wkrótce król Niemiec uderzył na Cechy, prowadząc ze sobą Jaromira. Czesi zdradzili, otworzyli bramy, wybijając polską załogę w Zatecu, i przeszli na stronę powracającego księcia. Oznaczało to fiasko stworzenia być może jakiejś formy zjednoczonej monarchii Słowian zachodnich. W rękę polskim pozostały jednak Morawy.

Później Henryk uderzył na Budziszyn i zdobył go. Tak rozpoczęły się wojny o Miłsko i Łużyce, w czasie których Niemcy wykorzystali jako sojuszników pogańskich Luciców, czyli Wieletoń. Pierwsza wyprawa skończyła się niekorzystnym pokojem w Poznaniu, którym Bolesław utracił wszystkie tereny za Odrą. Jednak układ złamany został już w 1006 r., za sprawą Wieletoń, którzy oskarżyli przed królem Henrykiem Chrobrego, że próbuje ich przekupić i namawia do walki. Zanim jednak Henryk II zebrał wojska, Bolesław spustoszył okolice Magdeburga, następnie zajął znowu Łużyce. Walki zakończyły się pokojem w Merseburgu w 1013 r. Oddawał on Bolesławowi w lenno Miłsko i Łużyce, a król złożył z tego tytułu hołd Henrykowi II, już cesarzowi. Znowu istnieją dwie wersje tego traktatu. Według źródeł niemieckich Bolesław złożył hołd ze wszystkich ziem polskich. Według polskich – tylko ze wspomnianych

provincji. Pokój podyktowany został jednak wydarzeniami politycznymi zaprzętymi umysłu obu władców. Henryk musiał wyprowadzić się do Rzymu i zażądał od Bolesława posiłków. Ten zaś z kolei chciał interweniować w sprawach ruskich.

Ostatecznie, po kolejnych wojnach, Henryk II został zmuszony do podpisania z Bolesławem pokoju w Budziszynie w 1018 r., którego warunki... nie zostały podane w żadnej kronice. Ponieważ jednak uznany był za niekorzystny dla cesarza, historycy przyjmują, że Miłsko i Łużyce weszły w skład Królestwa Polskiego bez żadnych hołdów lennych.



JACEK KOMUDA
„UPADEK. JAK
STRACILIŚMY
PIERWSZĄ
RZECZPOSPOLITĄ”
FABRYKA SŁÓW
2025



Karol Auer, „Bolesław Chrobry Król Polski” (1842)
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wojny z Niemcami pokazały, że Polska stała się częścią geopolitycznej szachownicy w tej części świata – a Bolesław, choć nie był równy cesarzowi, to jako niekoronowany król Polski stał o wiele wyżej niż margrabiowie Rzeszy niemieckiej. Sprytnie, aczkolwiek brutalnie, prowadząc politykę zagraniczną, zapewnił sobie dobre miejsce wśród chrześcijańskich książąt i wielmożów.

WYSZCZERBIONA CNOTA PRZEDSŁAWY

Pokój w Merseburgu potrzebny był Bolesławowi, aby wykorzystać sytuację, która wytworzyła się na Rusi. Jeszcze w 1013 r., wykorzystując posiłki niemieckie, wyruszył na Kijów w celu osadzenia tam swojego zięcia, księcia Świętopelka, za którego wydał nieznaną z imienia córkę. Wyprawa nie odniosła powodzenia, jednak syn Włodzimierza Wielkiego odzyskał tron, który utracił w 1016 r. w wyniku buntu brata Jarosława. Zięć Bolesława został pobity i zmuszony do ucieczki. Co gorsza – przeciwnik wziął do niewoli jego żonę, córkę polskiego króla. W 1018 r. Bolesław urządził zatem wyprawę na Kijów, pobił wojska Jarosława i 14 sierpnia zajął jedno z najbogatszych miast Europy Wschodniej. Zdobył ogromne łupy i jeńców, a także wziął do niewoli siostry i macochę Jarosława. Wtedy miało dojść do sceny, w której król uderzył mieczem w Złotą Bramę w Kijowie – wydarzenia legendarnego i związanego raczej z czasami późniejszymi – z Bolesławem Śmiałym, gdyż za czasów Chrobrego Złota Brama prawdopodobnie jeszcze nie istniała. Niemniej według legendy, gdy członkowie drużyny Chrobrego dziwili się temu, co uczynił władca Polski, powiedział on: „Tak jak w tej godzinie Złota Brama miasta ugodzona została tym mieczem, tak następnej nocy ulegnie siostra najchórzliwszego z królów, który mi dać

jej nie chciał. Jednak nie połączy się z Bolesławem w łóżu małżeńskim, lecz tylko raz jeden, jak nałożnica, aby pomszczona została w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie”. Po czym król posiadał siłą księżniczkę Przedslawę, którą później uprowadził do Polski.

Wydarzenia te do dziś budzą spory. Wyprawa kijowska stała się w rosyjskiej propagandzie dowodem na wielowiekową polską ekspansję na Wschód; uważano, że Chrobry zgwałcił Przedslawę – a przynajmniej taką wersję przekazał Gall Anonim. Tymczasem badania znanego historyka Jacka Banaszkiewicza z wykorzystaniem źródeł ruskich pokazały, że król po prostu uczynił z Przedslawy nałożnicę, przy czym niewykluczone jest – jak podaje inny historyk Jerzy Strzelczyk – że aprobowala ona ten związek.

Aby zrozumieć postępowanie Bolesława, należy rozpatrywać jego postępek w realiach wczesnego średniowiecza. Ówczesny władca musiał być silny i do pewnego stopnia bezwzględny. Dlaczego? Dlatego że poddani – zarówno rycerstwo, jak i zwykli wolni – mogli być pewni, że taki król albo książę zapewni im bezpieczeństwo; że nie najedzie ich żaden z sąsiadów, nie zabierze ich samych oraz dzieci i żon w niewolę, aby nie sprzedać Żydom lub Arabom w Pradze lub na Wolinie – na największych ówczesnych rynkach niewolniczych. Silny władca gwarantował także bogactwo – uczestnicząc w jego zwycięskich wyprawach można było przywieźć łupy i niewolników, którzy osadzeni na roli pomnażali bogactwo gospodarza.

Silny i brutalny władca wzbudzał także strach opozycji możnych; musiał jednak odpowiadać siłą na wszelkie zniewagi. A było nią niewątpliwie w owych czasach odrzucenie prośby o rękę Przedslawy, o którą starał się Bolesław, zanim zaślubił swoją ostatnią żonę – Ode, córkę margrabiego Miśni.

DOPEŁNIENIE ŻYCIA

Od roku 1018, kiedy Bolesław opuścił Kijów, Polska nie prowadziła już żadnych wojen. Ostatnie lata życia poświęcił staraniom o koronację, a więc być może oficjalne zatwierdzenie u papieża godności nadanej przez cesarza, o czym niewiele wiadomo. Koronacja prawdopodobnie miała miejsce w katedrze gnieźnieńskiej

18 kwietnia w Wielkanoc lub 23, w dniu poświęconym św. Wojciechowi. Jak twierdził badacz Kazimierz Jasiński, mogła tak naprawdę odbyć się w każdą z niedziel przed 17 czerwca 1025 r., być może 6 czerwca, na Zielone Świątki.

Ceremonia wzbudziła wściekłość Niemców; roczniki z Kwedlinburga pisały, że Bolesław „zuchwale odważył się po namaszczeniu nałożyć sobie koronę”. Władca bowiem wykorzystał śmierć cesarza Henryka II w 1024 r. i fakt, że nowy – Konrad II z dynastii salickiej – był słaby.

Korona była dopełnieniem życia Bolesława, który dokonał tym samym ostatecznego scalenia ziem stanowiących odtąd Królestwo Polskie. Miała też służyć obaleniu patrymonialnej zasady dziedziczenia, stanowiącej, że wszyscy męscy potomkowie władcy mają równe prawa w ubieganiu się o tron. Chrobry bowiem jako król wyraźnie wskazał jako następcę Mieszka II Lamberta, odsuwając najstarszego Bezpryma i młodszego Ottona, co w przyszłości stało się przyczyną wojny domowej.

Bolesław umarł wkrótce po koronacji, prawdopodobnie 17 czerwca 1025 r. pozostawiając dzieło synowi Mieszkowi, który wkrótce się koronował. Bez względu na to, jak oceniamy jego poczynania, uczynił Polskę wielką. A jednocześnie w jego panowaniu pojawiają się załazki kryzysu. Bolesław, prowadząc liczne wojny, brutalnie zadzierając z sąsiadami, sprawił, że w 1025 r. Polska miała wokół siebie samych wrogów. A jednocześnie wewnątrz kraju rosło obciążenie ludności daninami i obowiązkami na rzecz dworu. Kiedy za braków zysków w postaci łupów i świeżych niewolników, ludność poczęła buntować się przeciwko państwu, szukając pocieszenia w starej wierze. Nie trzeba było wielu lat, aby istnienie Królestwa Polskiego stanęło na krawędzi katastrofy.

Rozbijała ambicje mocarstwowe przeżyły możliwości ówczesnego społeczeństwa obciążonego ogromnymi daninami. Polska nie zachowała się w granicach Chrobrego. Być może byłoby lepiej, aby nie prowadziła polityki podbojów i wznosiła się wewnętrznie, tak jak to było – według Jerzego Strzelczyka – za Kazimierza Wielkiego. Porównanie tych dwóch królów stanowczo pokazuje większą skuteczność ostatniego z Piastów.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Podręczniki

Wśród bardzo licznych „zaniedbań” po 1989 r. należy wspomnieć sprawę podręczników szkolnych. Już kanclerz i hetman Jan Zamoyski ostrzegał w XVI w., że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Nauki poszły jednak w las. Jeśli ubolewamy, że oświata w Polsce (neo-PRL) jest oznaką upadku, to sami jesteśmy sobie winni. Pomijając sprawę, że kadra nauczycielska w ogóle nie była weryfikowana (a było za co), pozostały jeszcze kuratoria i wydziały oświaty, w których nie dokonano jakichkolwiek zmian.

Szczególnością rolę odegrały jednak podręczniki. Na początku były to te z epoki komuny. Ale co się działo dekadę później? Oto przykład: „Ilustrowana historia Polski dla dzieci 1966–1939”. Nauczanie początkowe dzieci w wieku 11–12 lat to gloryfikacja „Wielkiej Rewolucji Październikowej”! Jak to wyglądało? „Robotnicy i żołnierze zaczęli tworzyć swoje władze – Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich”. Czyli oddolnie, spontanicznie. A bolszewików przy tym nie było? „Rada Delegatów i partia Lenina zorganizowały powstanie zbrojne... Była to rewolucja październikowa. Władzę zdobyła partia Lenina...”. Miliony ofiar krwawego terroru tu nie zaistniały. Nic dziwnego, że dalej czytamy: „Ziemie rozdano chłopom, fabryki robotnikom, a władzę

przekazano Radom Delegatów. Dlatego Rosję nazwano państwem radzieckim”.

Równoległe siły komunistycznego reżimu bardzo dbały, aby nie dopuścić do wprowadzenia nowych podręczników. Organizowane były brutalne kampanie propagandowe, aby wszelkie inicjatywy tłumić w zarodku. Tak było ze świetnym podręcznikiem dr. Andrzeja L. Szczeniaka i serią jego tematycznych broszur z zakresu „białych plam”. Jak spod ziemi wypłynęły stalinowskie złogi i ich następcy, podnosząc rwetes, że są to publikacje „niesłuszne”, niespełniające ich wymogów! Zestaw „protestantów” (czyli osób protestujących) był doprawdy jakby nie z tej ziemi. Nic dziwnego, że w ich publikacjach mieliśmy takie stwierdzenia, iż Polacy pod okupacją sowiecką 1939–1941 wyjeżdżali na Syberię w poszukiwaniu... lepszej pracy.

Podręczniki prof. Wojciecha Roszkowskiego „Historia i Teraźniejszość” (któremu braku kompetencji zarzucić nie można) zostały natychmiast zdeprecjonowane przez nową władzę (od 13 grudnia 2023 r.), jako oczywiście „niesłuszne ideologicznie”, przy forsowaniu skrajnej ideologii, niemającej nic wspólnego z nauką. Minister Barbara Nowacka wyraziła się o nich ex cathedra: „Tego gniota pana Roszkowskiego nikomu nie zalecam”. Jakże ma ona kompetencje, aby obrażać wybitnego uczonego? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Krajobraz po przewrocie

Przewrót majowy jest ewenementem w dziejach świata. Rebelianci odnieśli zwycięstwo, ale nie zawieszono konstytucji, nie rozwiązano parlamentu, nie wprowadzono stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Więzienia nie zapełniły się pokonanymi, a triumf Piłsudskiego natychmiast został zalegalizowany. Ustąpili tylko rząd i prezydent, a złośliwi komentowali, że przelewano krew wyłącznie po to, aby Piłsudski został ministrem. A stanowisko to przecież proponowano mu już wcześniej.

W rzeczywistości nic od tej pory w kraju nie mogło się wydarzyć bez jego akceptacji. Piłsudski mocno uchwycił władzę, chociaż nie przywiązywał wagi do jej zewnętrznych atrybutów. Interesowała go wyłącznie praktyka, nie pusta symbolika i pozory.

Na 31 maja 1926 r. zaplanowano posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w celu wyboru nowego prezydenta. Praktycznie był tylko jeden kandydat (Piłsudski), ale Marszałek nie sprawiał wrażenia zainteresowanego elekcją.

Wystarczyło jednak zaledwie jedno głosowanie, by Marszałek został ogłoszony zwycięzcą (kandydat prawicy otrzymał prawie trzy razy mniej głosów). Zaraz po elekcji wprowadził parlamentarzystów w osłupienie, nie przyjmując wyboru. Cel jednak już osiągnął – wybór na prezydenta ostatecznie zalegalizował przewrót, a dalej mógł pozo-

wać na człowieka brzydzącego się współpracą z Sejmem. Oczywiście nie zrezygnował z elekcji własnego kandydata i dzień później Zgromadzenie Narodowe posłusznie wybrało na prezydenta profesora Politechniki Lwowskiej – Ignacego Mościckiego.

Abolicja w armii nie objęła czterech generałów: Malczewskiego, Rozwadowskiego, Zagórskiego i Jaźwińskiego. Osadzono ich w wojskowym areszcie na Antokołu w Wilnie pod zarzutem popełnienia pospolitych przestępstw (Zagórski był zamieszany w aferę Francopolu – firmy zajmującej się dostawami dla lotnictwa wojskowego). W praktyce była to zemsta na przeciwnikach politycznych, piłsudzczy mieli z generałami dawne porachunki. A w dniach zamachu cała czwórka walczyła do końca po stronie rządu: Zagórski chciał bombardować Warszawę z samolotów, Rozwadowski wydał rozkaz fizycznej eliminacji przywódców zamachu, a Malczewski zrywał naramienniki wziętym do niewoli oficerom.

Oskarżeni spędzili ponad rok w więzieniu i żaden z nich nie powrócił już do życia publicznego. Więzień nie zламаło ich fizycznie i psychicznie. Rozwadowski niebawem zmarł, kilka lat później podobny los spotkał sparaliżowanego Jaźwińskiego. Do dzisiaj natomiast nie wyjaśniono ostatecznie losów Zagórskiego – generał zaginął po przewiezieniu z Wilna do Warszawy. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

CHINY KONTRA ZACHÓD



Z odmetów chaosu ku potędze – Państwo Środka przeszło w ostatnich dwóch stuleciach długą drogę od kompletnego upadku, przez szaleństwa epoki Mao Zedonga, aż do nowego jedynowładcy Xi Jinpinga, który chce uczynić z Chin hegemoną

Cud „Pachnącego Portu” – Czy komunistyczne Chiny, stopniowo odbierając Hongkongowi demokratyczne wolności, będą w stanie utrzymać jego wyjątkowy status i powodzenie?

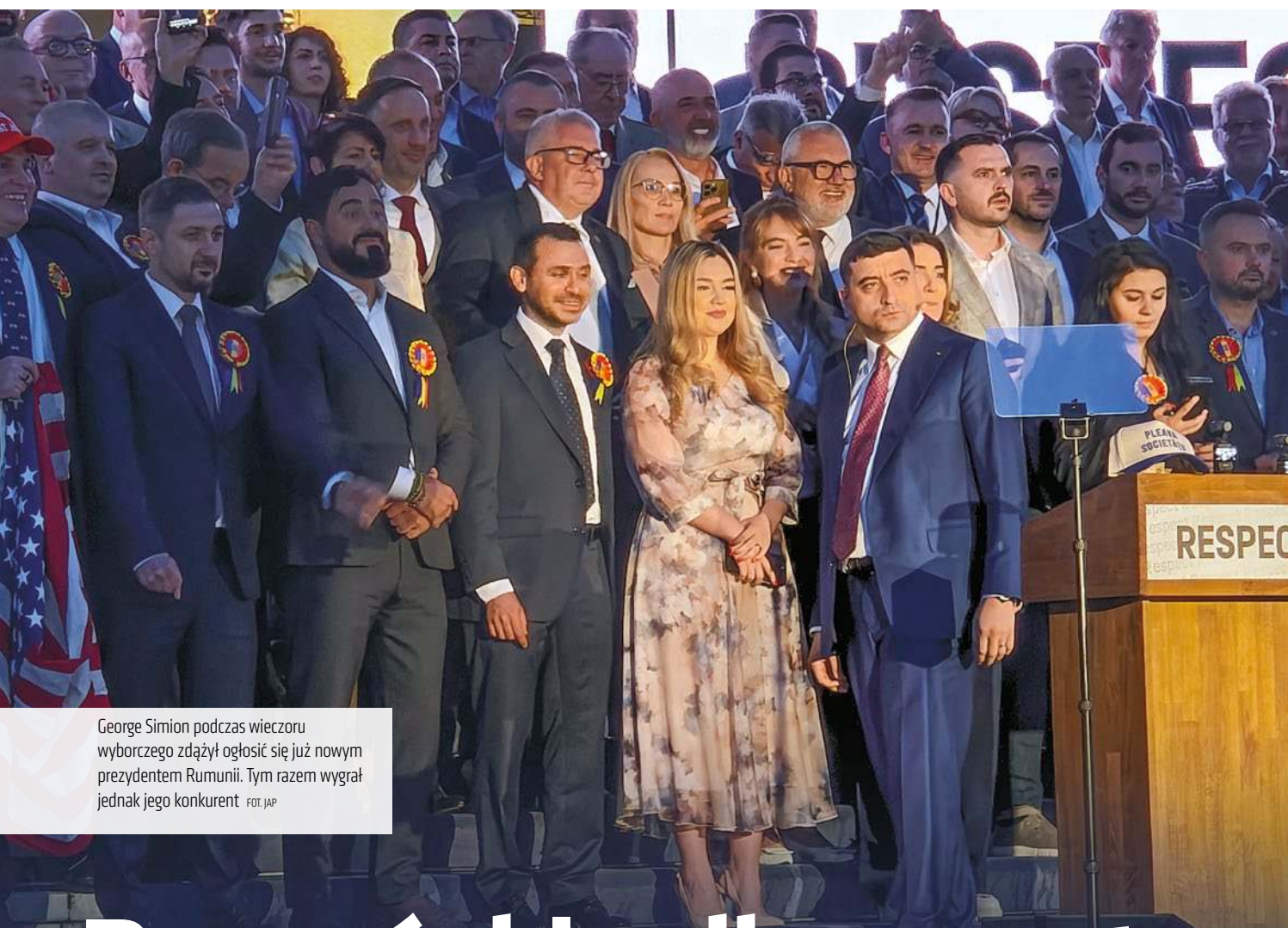
Polski król bez korony – Przez całe wieki do Mieszka II przylegał przydomek Gnuśny, choć władca ten nie zasłużył sobie na tak krzywdzące miano

Warmińskie Lourdes – Objawienia maryjne w Gietrzwałdzie, jako jedyne w Polsce, zostały uznane przez Kościół katolicki

Wybawca z Mille Collines – W czasie ludobójstwa Tutsi Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc osób. Trzy dekady później władze Rwandy wtrąciły go do więzienia na dożywocie

Polska iskra – Robotnicy walczący z władzami PRL o swoją podmiotowość stali się inspiracją dla sowieckich dysydentów, którzy w ZSRS chcieli powtórzyć sukces KOR i Solidarności

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



George Simion podczas wieczoru wyborczego zdążył ogłosić się już nowym prezydentem Rumunii. Tym razem wygrał jednak jego konkurent FOT. JAP

Rumuński roller coaster



Jacek Przybylski z Bukaresztu

Charyzmatyczny 38-latek George Simion, ideowy bliźniak Donalda Trumpa, który pierwszą turę wyborów wygrał stosunkiem głosów 41 do 21 proc., 18 maja niespodziewanie przegrał drugą rundę walki o prezydenturę z burmistrzem Bukaresztu Nicușorem Danem. Dawnym elitom udało się bowiem doprowadzić do maksymalnej mobilizacji, która skutkowałą rekordową frekwencją przy urnach

Na kartach politycznej historii Europy 18 maja 2025 r. zapisze się jako Superniedziela – tego dnia odbyły się bowiem wybory prezydenckie w trzech krajach UE: Polsce, w Portugalii oraz w Rumunii. Wszystkie ważne z punktu widzenia przyszłości prawicowego obozu na Starym Kontynencie.

Od marca sondaże wskazywały jako faworyta George'a Simiona. I te prognozy potwierdziły się w pierwszej turze. Prawicowy kandydat zwyciężył, uzyskując przewagę aż 1,9 mln głosów. Jeszcze

w połowie maja większość analityków, publicystów czy specjalistów od badań opinii publicznej przewidywała więc tylko jeden scenariusz: George Simion w drugiej turze miał wyraźnie pokonać cichego profesora matematyki Nicușora Dana.

Trzy dni przed ogłoszeniem wyników wyborów prezydenckich brytyjski dziennik „Financial Times” opublikował nawet tekst zatytułowany „Jak nie walczyć z populizmem: lekcja z Rumunii”. Jego autor – Alec Russell – analizował, jak to się stało, że George Simion najprawdopodobniej zwycięży w walce o najwyższy urząd w kraju. Rumuni pragnęli bowiem radykalnej zmiany. Chcieli pogonić od koryta polityków, którzy sprawowali rządy przez ostatnie trzy dekady.

Młody, charyzmatyczny lider Związku Jedności Rumunów (AUR) – którego sztab również był zdominowany przez ludzi przed czterdziestką – wydawał się do tego idealny. Postulat większej niezależności państw narodowych w UE wpisywał się zaś w nastroje antyestablishmentowe. Nie tylko wyrażał swój sceptycyzm wobec dalszej integracji w ramach Unii Europejskiej, lecz także jasno popierał tradycyjne wartości (otwarcie mówił, że są tylko dwie płcie, opowiadał się za zakazem małżeństw homoseksualistów etc.). Choć był przedstawiany jako prawicowy radykał, to trudno jego poglądy uważać za skrajne czy nawet antyunijne. Simion – podobnie jak wielu prawicowych polityków w Europie – opowiada się bowiem nie za wyjściem z UE, ale za naprawą Unii Europejskiej.

Jego przeciwnik – Nicușor Dan – teoretycznie też odpowiadał na oczekiwania zmiany układu politycznego. Założyciel i lider Związku Zbawienia Rumunii jest jednak starszy (ma 55 lat). To centrysta, który chociaż formalnie startował jako niezależny kandydat centrowy pod hasłem „Uczciwa Rumunia”, to od 2020 r. rządził Bukaresztem (w roku 2024 uzyskał reelekcję). Cieszy się za to opinią „proeuropejskiego”, która okazała się ważna dla wielu Rumunów, a także obiecuje reformę administracji publicznej i walkę z korupcją (Rumunia zajmuje niechlubne trzecie miejsce wśród najbardziej skorumpowanych krajów UE).

Rumuni, z którymi w dniu wyborów rozmawiałem w Bukareszcie, w obu

politykach widzieli alternatywę dla polityków rządzącej koalicji. To marzący o „melonizacji” Europy Simion był jednak długo wyraźnym faworytem.

NEC HERCULES CONTRA PLURES

Wiele wskazuje na to, że oskarżany przez media o prorosyjskość i antyeuropejskość George Simion zbyt szybko uwierzył w swoją przewagę w kraju. Skupił się więc na walce o głosy diaspory (w ciągu trzech dekad od transformacji ustrojowych Rumunia utraciła niemal jedną piątą mieszkańców, którzy udali się na emigrację zarobkową). Jeszcze przed wygraną zaangażował się również w budowę międzynarodówki partii konserwatywnych pod znakiem MAGA („Make America Great Again”), a właściwie MEGA („Make Europe Great Again”). W tygodniu poprzedzającym kluczowe głosowanie w Rumunii najpierw przyleciał do Zabrza, aby poprzeć Karola Nawrockiego. W Polsce przypominał, że Bruksela chciała ukraść wybory Rumunom i przy użyciu władzy sądowniczej unieważniła ubiegłoroczne głosowanie, a następnie wykluczyła ze startu faworyta sondaży. Nawet na metę brutalnej kampanii – w czwartek 15 maja – George Simion nie wybrał wielkiego wiecu w Rumunii i rumuńskich mediach, lecz Francję. W Paryżu udzielał wywiadów we francuskich mediach i zabiegał o poparcie licznej rumuńskiej mniejszości. Zaatakował też ostro prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który otwarcie poparł jego przeciwnika Nicușora Dana, oskarżając go o „dyktatorskie tendencje” i ingerowanie w wewnętrzne sprawy Rumunii. – Nie szanujemy Emmanuela Macrona, który próbuje ingerować w nasze wybory. Zrobił to w grudniu. Teraz robi to ponownie, za pośrednictwem francuskiej ambasady – stwierdził Simion. W tym samym czasie Dan, który studiował matematykę na paryskiej Sorbonie, opublikował filmik z upływającej w miłej atmosferze rozmowy z prezydentem Francji i podkreślił w mediach społecznościowych: „Podczas gdy mój kontrkandydat obrażał Francuzów w ich domu, ja prowadziłem dialog z panem Emmanuelem Macronem”.

Prosta matematyka wyborcza zdawała się wskazywać na słuszność strategii Simiona. Lider AUR mógł być przekona-

ny, że prezydenturę ma już w zasadzie w kieszeni. W pierwszej turze Simion otrzymał bowiem aż 40,96 proc. głosów. Nieco ponad 13 proc. zyskał z kolei były premier Victor Ponta, dawny socjaldemokrata, który przeszedł na suwerenistyczne hasła zbliżające go do globalnego obozu zwolenników Donalda Trumpa. Przywódca AUR powinien też wydawać się atrakcyjnym kandydatem dla niektórych wyborców, którzy w pierwszej turze oddali głos na Crina Antonescu (poparło go 20,07 proc. Rumunów). Sztabowcy lidera AUR dodali więc szybko większość zwolenników Ponty i choćby niewielką część sympatyków Antonescu (dla większości bardziej atrakcyjny powinien wydawać się jednak Dan) do ponad 40 proc. głosujących na Simiona i błyskawicznie uzyskali potencjalny wynik drugiej rundy, który pozwalał już chłodzić butelki szampana.

Obaj kandydaci byli do ostatniej chwili niezwykle aktywni w mediach społecznościowych. Ta kampania była bowiem w co najmniej równej mierze prowadzona on-line co off-line. Podczas spotkania z zagranicznymi dziennikarzami w Bukareszcie George Simion przyznał, że na aktywność w social mediach poświęca ponad osiem godzin dziennie (!). Polityczna walka przeniosła się do Internetu tak bardzo, że gdy na profilach obu kandydatów roilo się od nowych postów, w rumuńskiej stolicy trudno było znaleźć plakaty czy billboardy któregośkolwiek z walczących o zwycięstwo polityków.

Przeciwnik Simiona – burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan, którego w pierwszej turze poparło zaledwie 20,99 proc. głosujących – do ostatnich godzin kampanii był również niezwykle aktywny w tradycyjnych rumuńskich mediach. Zresztą podczas całej kampanii dużo chętniej niż lider AUR brał udział w debatach czy udzielał wywiadów rumuńskim dziennikarzom. To właśnie dzięki medialnemu rozgłosowi oraz znaczącemu wsparciu potężnych europejskich sojuszników, w tym zwłaszcza władz w Paryżu, udało mu się doprowadzić do niezwykle wręcz mobilizacji elektoratu umiarkowanego zarówno w kraju, jak i poza jego granicami.

W ostatnich dniach przed wyborami badania opinii publicznej zaczęły już pokazywać, że szykuje się starcie „na żyletki” – jedne sondaże wskazywały

■ na zwycięstwo Dana, inne Simiona. Lider rumuńskiej prawicy wydawał się jednak do końca przekonany, że nikt nie zdoła mu już odebrać zwycięstwa. – Mam świadomość tego, że po zakończeniu głosowania sondaże będą zapewne pokazywać, że głosy rozdzieliły się po równo, ale moje poparcie w exit poll będzie niedoszacowane i ostatecznie wygramy. I to wygramy znacząco – mówił „Do Rzeczy” uśmiechnięty George Simion w bluzie z napisem „Red is Bad” zaledwie dzień przed wyborczym rozstrzygnięciem.

Tymczasem druga tura głosowania przyniosła zaskakujący rezultat. Z pierwszych badań sondażowych exit poll wynikało, że Nicușor Dan zwyciężył, zdobywając 54 proc. głosów, a na lidera rumuńskiej prawicy głosowało 45 proc. Mimo to George Simion, przemawiając na schodach gigantycznego parlamentu w Bukareszcie, ogłosił swoje zwycięstwo. Komunikat ten powtórzył zresztą w mediach społecznościowych, ogłaszając się o godz. 21.14 na platformie X nowym prezydentem Rumunii (jakby tego było mało, użył niewłaściwej flagi, de facto koronując się na przywódcę Czadu – ale to błąd, który mógł się zdarzyć każdemu, bo flagi obu tych krajów wyglądają niemal identycznie, flaga Czadu ma jedynie nieco ciemniejszy odcień niebieskiego).

I rzeczywiście przez kilkadziesiąt minut po zakończeniu głosowania w sztabie Simiona dominowała narracja o wyborczym zwycięstwie. Dopiero po północy, gdy z kolejnych okręgów spływały kolejne dane o tym, jak rzeczywiście głosowano, kandydat prawicy przyznał się do porażki. Ostatecznie zdobył 46,33 proc. głosów, a jego liberalny konkurent 53,67 proc. Dan zwyciężył dzięki rekordowej frekwencji, która wyniosła 64,7 proc. i była wyższa niż w jakichkolwiek innych wyborach w Rumunii w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Przywódca AUR, który w pierwszej turze zdobył poparcie aż 60 proc. Rumunów żyjących poza granicami kraju, w finałowej rundzie otrzymał od diaspory mniejsze poparcie: 55,86 proc.

– Nec Hercules contra plures. Tym razem układ wspierany przez Sorosa, Ursulę von der Leyen i Manfreda Webera, Emmanuela Macrona oraz elity polityczno-biznesowo-medialne obronił się w Rumunii. Gniew zwykłych ludzi na swój establishment okazał się niewystar-

czający. Być może po raz ostatni – powiedział „Do Rzeczy” podczas wieczoru wyborczego Simiona były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego oraz polityk Prawa i Sprawiedliwości Ryszard Czarnecki.

DUCH ANTYSYSTEMOWY

Tuż po ogłoszeniu wyników wyborów lider prawicy zdawał się już być pogodzony z niespodziewaną porażką. Na pytania dziennikarzy, czy zaakceptuje wyniki głosowania, odpowiadał „tak”, wzruszając jednocześnie ramionami w sposób, który jasno wskazywałby na brak alternatywy. „Będziemy kontynuować naszą walkę o wolność oraz nasze wspaniałe wartości” – napisał na X, dodając, że jego ugrupowanie nadal będzie ważną częścią rumuńskiego społeczeństwa.

Młody przywódca AUR już za trzy lata ma szansę zostać premierem Rumunii, a za pięć lat prezydentem tego kraju

Potem zażądał jednak od rumuńskiego Sądu Konstytucyjnego unieważnienia drugiej tury wyborów prezydenckich. „Z tych samych powodów, dla których unieważniono wybory grudniowe: ZEWNĘTRZNA INGERENCJA ze strony podmiotów państwowych i niepaństwowych. Tym razem poparta niezbitymi dowodami! Ani Francja, ani Mołdawia, ani nikt inny nie ma prawa ingerować w wybory innego państwa” – przekonywał George Simion. I rzeczywiście w niechętniej Simionowi Mołdawii – gdzie 40 proc. mieszkańców dysponuje rumuńskim paszportem i do której z powodu swoich poglądów politycznych lider AUR ma oficjalny zakaz wjazdu – frekwencja była niespodziewanie wysoka (skoczyła z 90,5 tys. do ponad 157 tys.), a głos na Dana oddało tam aż 88 proc. głosujących.

Simion zauważył również, że na listach wyborczych pojawiło się „wiele zmarłych osób”, co przypomina argu-

ment Donalda Trumpa po przegranych wyborach w USA w roku 2020.

George Simion wezwał więc miliony swoich zwolenników do zalenia Sądu Konstytucyjnego żądaniem ponownego przeprowadzenia wyborów. To sprytny ruch. Rumuński wymiar sprawiedliwości unieważnił bowiem grudniowe wybory, powołując się na dowody, które nawet przeciwnicy zwycięskiego wówczas kandydata uznali za mocno wątpliwe. Tym razem jednogłośnie odrzucił wniosek z unieważnienie wyborów, lekceważąc o wiele poważniejsze argumenty Simiona. W ten sposób sędziowie potwierdzili stawianą przez populistów tezę o sędziach bezczelnie i otwarcie faworyzujących polityków głównego nurtu. To zaś powinno napędzić Simionowi nowych, antyestablishmentowych zwolenników.

– Walka trwa. George Simion, który za pięć lat będzie miał dopiero 43 lata, ma duże szansę na prezydenturę w przyszłości. A już za trzy lata może zostać rumuńskim premierem. Stał się bowiem jedną z twarzy europejskiej narodowej prawicy i jednym z liderów konserwatywnego, suwerenistycznego ruchu. I to jest jego kapitał – prognozuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Ryszard Czarnecki.

Przywódca AUR będzie zapewne trzymał się narracji o „skradzionych” wyborach prezydenckich, aby uzyskać dobry wynik kierowanego przez siebie ugrupowania w wyborach parlamentarnych, które powinny odbyć się najpóźniej w roku 2028. Wyniki wyborów prezydenckich były bowiem potężnym ciosem dla duopolu złożonego ze starych partyjnych wyjadaczy z Partii Socjaldemokratycznej (PSD) i Partii Narodowo-Liberalnej (PNL). George Simion i jego partia AUR do rządu mogą wejść nawet wcześniej niż za trzy lata, budując koalicję np. z PSD.

Jakie wnioski z rumuńskiej lekcji płyną dla polskich polityków przed drugą turą wyborów? Liberalno-lewicowe elity w krajach UE wiedzą, że antyestablishmentowe nastroje mogą sprawić, iż tracą wpływ. Aby utrzymać władzę, użyją więc wszelkich dostępnych propagandowych instrumentów, bezpodstawnie oskarżając przeciwników o prorosyjskość czy antyeuropejskość. I zrobią wszystko, aby maksymalnie zmobilizować własny elektorat. Gra toczy się bowiem o bardzo wysoką stawkę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Celem Trumpa jest doprowadzenie do pokoju niemalże za wszelką cenę. Niemalże, bo całkowite porzucenie Ukrainy byłoby dyplomatyczną klęską. Zwłaszcza jeśli w zamian nie zyskałby on na Kremlu sojusznika w rywalizacji z Chinami. A nic nie wskazuje na to, by Moskwa zamierzała porzucić Pekin na rzecz Waszyngtonu. Amerykański prezydent robi bardzo wiele, aby zachęcić (lub zmusić) obie strony konfliktu do porozumienia. Putinowi grozi sankcjami, Ukrainie – ograniczeniem lub zaprzestaniem pomocy, z kolei Zełenskigo nazywa „dyktatorem bez wyborów” i bez realnego poparcia.

Przypomnijmy, jak kształtował się stosunek Kijowa i Moskwy do wojny i pokoju. Oficjalnym celem „specjalnej operacji wojskowej” jest obrona ludności Donbasu przed „ludobójstwem prowadzonym przez reżim kijowski”, cel ten miał być zaś zrealizowany poprzez demilitaryzację i denazyfikację Ukrainy. Choć Putin zapewniał, że nie zamierza okupować całego kraju, to w praktyce do tego dążył, dokonując inwazji na pełną skalę, która miała wymusić zmianę rządów nad Dnieprem z ukraińskich na rosyjskie. Ukraińcy stawili nieoczekiwany opór i długo, niesieni zachodnią pomocą i własną, nadmiernie optymistyczną propagandą, odrzucali wszelkie opcje ustępstw terytorialnych wobec Moskwy. Najbliżej porozumienia było już wiosną 2022 r. w Sтамбуle. Jednak ówczesne warunki Moskwy (radikalne zmniejszenie liczebności armii, faktyczne zrzeczenie się Krymu, rezygnacja z drogi do NATO, rosyjski jako drugi język urzędowy, na pocieszenie gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA, Rosji, Chin, Francji i Wielkiej Brytanii) oznaczały de facto kapitulację, podczas gdy Ukraina nie została pokonana na polu walki. Do zerwania rozmów namawiali Zełenskigo Brytyjczycy. Symbolicznym gwoździem do trumny porozumienia było odkrycie zbrodni wojennej w Buczy.

ZMIANA MYŚLENIA

Dość szybko stało się jasne, że żadna ze stron nie jest w stanie odnieść ostatecznego zwycięstwa. Ani Rosja nie podbije całej Ukrainy, ani Ukraina nie odzyska wszystkich utraconych ziem. Moskwa zaczęła więc odkrajać po kawałku zdoby-

Putin chce wojny, nie pokoju



Maciej Pieczyński

Celem Kremla wciąż pozostaje likwidacja ukraińskiej państwowości w jej obecnym kształcie. Naiwnością jest więc sądzić, że przeszkodą na drodze do pokoju jest Zełenski. Przeciwnie – jedynym podżegaczem wojennym pozostaje Putin

cze terytorialne. Oficjalnie zaanektowała cztery obwody. Kijów jeszcze w ubiegłym roku zapewniał, że nie wyobraża sobie „pokoju za ziemię”. Sondaże pokazywały, że pryncypialne stanowisko Zełenskigo jest odbiciem nastrojów społecznych. Awantura w obwodzie kurskim nie okazała się żadnym przełomem.

Tymczasem nad Dnieprem zmęczenie wojną zaczęło przeważać nad wolą walki, a o dezercji tamtejsze media mówiły częściej niż o zwycięskich bitwach. Zmiana władzy za oceanem tylko przyspieszyła zmianę myślenia w Kijowie. Choć Zełenski wyklócał się z Trumpem (zyskując dzięki temu w sondażach, jako „niezłomny patriota”), to coraz bardziej stawał się skłonny do kompromisu. Nowa amerykańska administracja od początku proponowała proste, salomonowe rozwiązanie: zatrzymać wojnę na linii frontu i zasiąść do stołu rozmów.

W ubiegłym roku podobnego rodzaju propozycje były na Zachodzie i na Ukrainie traktowane jako niewybaczalna uległość wobec Kremla, a nawet jako działanie w interesie Putina. Tymczasem gdy tylko pojawiły się pierwsze pogłoski o takim pomysle ludzi Trumpa na pokój, kremlowska propaganda reagowała pomrukami niezadowolenia. „Z jakiej racji mamy iść na kompromis z nazistowskim reżimem Zełenskigo, skoro naszym celem jest jego pokonanie, a na froncie idzie nam nieźle?! – tak można streścić te głosy, które – jak się okazało – były również stosunkowo wiernym obrazem realnego podejścia samego Putina.

W pewnym momencie stało się jasne, że Kijów jest gotów na kompromis, Moskwa zaś – niekoniecznie. Przyczyny były oczywiste. Agresor ma większe możliwości dalszego prowadzenia wojny i o wiele większy potencjał niż ofiara agresji,

■ z kolei ani oskarżany o prorosyjskość Trump, ani nawet Europa nie są gotowe do wysłania nad Dniepr swoich żołnierzy, którzy mieliby ginąć za ukraińską integralność terytorialną i ryzykować starcie z mocarstwem atomowym, którym jest Rosja. A wiemy już, że sankcji się Rosja nie boi. Co prawda, pod koniec kwietnia amerykańskie media donosiły o rzekomej gotowości Putina do zamrożenia wojny na linii frontu, jednak rzecznik Kremla nazwał te rewelacje fakiem. Z kolei Zełenski z jednej strony kategorycznie odrzuca formalne ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji, z drugiej strony, jak nieoficjalnie sugerują przedstawiciele ukraińskich władz, jest gotowy do ustępstw nieformalnych – do zamrożenia konfliktu na linii frontu, co de facto oznaczałoby rezygnację z terenów okupowanych. Przede wszystkim jednak Zełenski, który jeszcze nie tak dawno się zarzekał, że nie będzie żadnych rozmów z Rosjanami dopóty, dopóki nie wycofają się z Ukrainy, teraz zgadza się właściwie na każdy proponowany format negocjacji.

KREML STAWIA NA SWOIM

Trump kilkakrotnie apelował o zawieszenie broni między Rosją a Ukrainą, bez którego przecież nie można sobie wyobrazić pokoju. Na te apele Zełenski reagował pozytywnie, Putin zaś – negatywnie. Co prawda, Rosja zobowiązała się przez miesiąc nie atakować ukraińskiej infrastruktury krytycznej, jednak tę obietnicę wielokrotnie łamała. Podobnie było w przypadku wielkanocnego zawieszenia broni. Również trzydniowy rozejm, ogłoszony jednostronnie przez Moskwę na dni 8–11 maja, miał jedynie wymiar propagandowy, związany z Dniem Zwycięstwa. Na stole od dłuższego czasu jest propozycja 30-dniowego, bezwarunkowego zawieszenia broni. Sformułowana przez Trumpa, a następnie – w ультимatywnej formie – przez europejskich liderów z „koalicji chętnych”, którzy w przypadku odmowy grozili sankcjami. Putin za każdym razem niby się godził, ale jednak odmawiał. Ze strony Kremla płynęła jasna sugestia: najpierw zostaną usunięte „przyczyny konfliktu”, a dopiero potem Rosjanie przestaną strzelać. Czyli wojna zostanie przerwana (nie mówiąc o jej zakończeniu) dopiero wówczas, gdy Ukraina spełni wszystkie żądania Moskwy.



Putin nie spełnił żadnego z postulatów Kijowa, Europy czy Waszyngtonu. Ostatecznie postawił na swoim: w Stambule rozpoczęły się ukraińsko-rosyjskie negocjacje, podczas gdy wojna trwa nadal. Moskwa nie zmieniała swoich warunków, wprost nawiązując do porozumień stambulskich z 2022 r. Odrzuciła bezwarunkowy rozejm, sprzeciwiła się członkostwu Ukrainy w NATO (temu akurat trudno się dziwić) oraz wysłaniu jakichkolwiek europejskich wojsk nad Dniepr. Zażądała od Ukrainy rezygnacji z czterech obwodów, nawet z tych ich części, które nie zostały przez Rosjan zajęte, zagroziła też okupacją dwóch kolejnych. Domagała się od Kijowa rezygnacji z reparacji wojennych. Jedyny wymierny skutek pierwszej rundy rozmów to wymiana jeńców. Ukraińcy dowiedli, że są gotowi do rozmów, Rosja-

nie zaś – że nie są gotowi do zakończenia wojny. Niczego nie zmieniła też telefoniczna rozmowa Trumpa z Putinem.

Rosja postanowiła zasiąść do stołu rozmów nie po to, aby wynegocjować pokój. Putin ma inne cele. Przedłużający się proces pokojowy może Trumpa albo zmęczyć i zniechęcić do dalszego (bezwocnego) wspierania Ukrainy, albo przekonać do rzekomo pokojowych zamiarów Rosji i tym samym zachęcić do współpracy z Moskwą oraz zdjęcia sankcji. Co istotne, Kreml negocjuje bezpośrednio z Kijowem, bez udziału Waszyngtonu. Rosja w ten sposób skutecznie dąży do oddzielenia rozmów pokojowych od dialogu z USA na temat współpracy gospodarczej. W efekcie Trump ma porzucić Kijów, który zostanie sam na sam (może ewentualnie z pomocą słabej Europy) z Moskwą.

Reasumując, Rosja nie dąży do pokoju, tylko do wojny. Po pierwsze, gdyby było odwrotnie, już dawno zgodziłaby się na dłuższe niż kilka dni zawieszenie broni (albo przynajmniej nie naruszałaby demonstracyjnie tych krótkich rozejmów, na które się godziła). Po drugie,

Putin nie spełnił żadnego z postulatów Kijowa, Europy czy Waszyngtonu. Ostatecznie postawił na swoim



FOT. (KREMLIN)

Dlaczego Rosja dąży do wojny, nie zaś do pokoju? W pierwszej kolejności dlatego, że jej prawdziwym celem maksimum jest likwidacja państwowości ukraińskiej w jej obecnym kształcie

zachciało się niepodległości, co doprowadziło do rozpadu wielkiego mocarstwa. A potem Zachód postanowił uczynić z Ukrainy anty-Rosję. Tymczasem naród ukraiński jest częścią trójjedynego narodu rosyjskiego. Ukraińcy o tym zapomnieli, więc rosyjskie bomby mają im o tym przypomnieć.

Putin uważa zatem, że Ukraina może istnieć jedynie albo jako państwo pozornie neutralne, w rzeczywistości znajdujące się w moskiewskiej strefie wpływów, albo jako część Rosji. Skoro to pierwsze wobec prozachodniego kursu Kijowa stało się niemożliwe, to postanowił zrealizować drugi scenariusz. Prawdziwym warunkiem pokoju jest faktyczna rezygnacja z niezależnego od Rosji bytu państwowego. A ponieważ Ukraińcy – szczególnie po tylu latach krwawej wojny – nie chcą się z takim losem pogodzić, to wojna jest nieunikniona.

Nawet jeśli w końcu Putin zgodzi się na rozejm, to oznaczać to będzie nie tyle zakończenie, ile zamrożenie konfliktu, który prędzej czy później się „rozmrozi”. Rosja nie spocznie dopóty, dopóki nie będzie pewna, że Ukraina na trwałe znalazła się z powrotem w jej granicach (czy to państwa, czy to imperium zewnętrznego). Celem Moskwy jest stworzenie świata wielobiegunowego, w którym każdy biegałby do regionalne mocarstwo, po swojemu zarządzające własną strefą wpływów.

Putin nie chce zresztą jedynie podbić Ukrainy, chce również odsunąć NATO od swoich granic, zlikwidować jego flankę wschodnią – do tego przecież doprowadzało się jego ultimatum z końca 2021 r. Nie trzeba dodawać, jak wielkim zagrożeniem dla Polski byłoby wycofanie wojsk sojuszniczych z naszego terytorium.

Przede wszystkim zaś Rosji zwyczajnie dobrze idzie na froncie. Po co ma się zatrzymywać, skoro jest w stanie niewielkim kosztem (to Ukraincom bardziej brakuje ludzi i pieniędzy) zajmować kolejne terytoria? Nawet jeśli w końcu zgodzi się na wariant „granica na linii frontu”, to im dalej na zachód będzie owa granica, tym lepiej dla Rosji.

POTRZEBA WOJNY

Ponadto Putin woli wojnę od pokoju również z przyczyn wewnętrznych. Po pierwsze, rozpoczynając „specoperację”, położył na szali cały swój autorytet, dlatego nie może zrezygnować z walki z „kijowskim reżimem”, prowadzonej „do ostatniego Ukraińca”.

Po drugie, sankcje zachodnie wymusiły na nim zwrot na Wschód i Południe, pod pewnymi względami korzystny zarówno gospodarczo, jak i politycznie (bo w sojuszu z innymi autokracjami nie musi udawać demokracji). Na tyle korzystny, że powrót do bliskich relacji z Zachodem za cenę rezygnacji z podboju Ukrainy niekoniecznie będzie dla niego opłacalny. Gospodarka rosyjska pomimo lawiny sankcji ma się nieźle.

Po trzecie, wojna pozwala uzasadnić „dokręcanie śruby”, brutalną rozprawę z przeciwnikami politycznymi i generalnie umacnianie jednoosobowej władzy, z której Putin już raczej nie chciałby zrezygnować.

Po czwarte, skoro nie jest możliwe ostateczne zwycięstwo, to koniec wojny musiałby oznaczać jakiś z perspektywy kremlowskich ambicji zgnyły kompromis (nie mówiąc już o ewentualnej porażce), niekoniecznie do przyjęcia dla „partii wojny”, wyhodowanej przez sam Kreml.

Ale też, po piąte, nie opłaca się totalna eskalacja wojny, bo oznaczałaby konieczność totalnej mobilizacji, co z kolei też naruszyłoby niepisaną umowę społeczną („popieramy władzę, ale władza nie każe nam masowo iść na front”) i mogłoby doprowadzić do protestów na ogromną skalę. Nie opłaca się też demobilizacja, bo po każdej wojnie wzrasta przestępczość, w tym zorganizowana, co może oznaczać trudny do opanowania chaos – największe zagrożenie dla kochającej porządek władzy autorytarnej. Reasumując: z którejkolwiek by strony patrzeć, Putin potrzebuje wojny jak powietrza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ROBOT PIEŁĘGNIARKA

Wypalenie zawodowe wśród personelu pielęgniarskiego odchodzi w przeszłość. Firmy Foxconn i NVIDIA stworzyły robota z myślą o kryzysach w służbie zdrowia. Chodzi o poprawienie opieki nad pacjentami w szpitalach poprzez przejęcie przez maszyny niektórych zadań pielęgniarów, czyli obchodów oddziałów, oprowadzania odwiedzających czy dostarczania leków i laboratoryjnych próbek.

FOT. JAM PRESS/TUGH, FOXCONN, KAWASAKI HEAVY INDUSTRIES

„KROWY FANTOMOWE”

W Urugwaju wybuchł wielki skandal finansowy. Około 6 tys. inwestorów włożyło łącznie 350 mln dol. w firmy, które obiecywały zyski z hodowli bydła. Potem jednak się okazało, że wiele z tych zwierząt nie istniało. Były to „krowy fantomowe”. Zawiódł system rejestracji bydła. Główna firma tego przedsięwzięcia jest przedmiotem śledztwa.

NIETYPOWE PRZESTĘPSTWO

W Lucknow (Indie) pijany mężczyzna włamał się do pustego domu, planując kradzież. Gdy znalazł się wewnątrz, włączył klimatyzację. Następnie położył się i smacznie zasnął. Rano sąsiedzi zauważyli, że brama do posesji jest otwarta, i zawiadomili o tym policję. Stróże prawa znaleźli śpiącego złodzieja, który miał przy sobie łup. Komentatorzy zwracają uwagę na to, że upały w parze z alkoholem są przyczyną nietypowych przestępstw.

ZA DUŻO COLI

Nadmierna konsumpcja napojów gazowanych (i to bynajmniej nie alkoholu) może mieć opłakane skutki. Sześćdziesięcioletni Brazylijczyk pił codziennie od dwóch do trzech litrów coli. W efekcie przez cztery miesiące odczuwał ból i kłopoty z oddawaniem moczu. Skończyło się operacją – usunięciem 35 kamieni z pęcherza moczowego. Lekarz zalecił pacjentowi ograniczenie spożycia cukru i picie większej ilości wody.

FĄLSZYWY BŁONNIK

Wietnamska modelka Nguyen Thuc Tien to zwyciężczyni konkursu Miss Grand International z roku 2021. Ostatnio jednak ma w swoim kraju kłopoty z prawem. Została w Wietnamie aresztowana, ponieważ promowała suplement błonnikowy, tyle że fałszywy. Konkretnie były to żelki. Testy produktu wykazały, że w jego składzie nie ma tego, co reklamowano. Oszustwo konsumenckie spotkało się z publiczną krytyką rodaków modelki. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa bez USA?

Mniej więcej bilion dolarów. Tyle według autorów raportu Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych (IISS) kosztowałaby budowa potencjału wojskowego Europy na taką skalę, aby Stary Kontynent mógł bezpiecznie funkcjonować bez wojskowego wsparcia ze strony Stanów Zjednoczonych.

Rachunek wyłącznie za zakup samego dodatkowego sprzętu opiewałby na 226–344 mld dol. Europa musiałaby się bowiem doposażyć w 400 samolotów taktycznych, 20 niszczycieli

i 24 zestawów dalekiego zasięgu rakiet ziemia-powietrze. Zakładana kwota – obejmująca wyłącznie konwencjonalne zdolności wojskowe – musiałaby zostać zwiększona m.in. o koszty systemów dowodzenia, wywiadu oraz wyraźnej rozbudowy arsenału jądrowego.

Pieniądze to jednak nie wszystko. Chcąc uniezależnić się od amerykańskiego wsparcia wojskowego, Europejczycy marzący jednocześnie o obronie przed Rosją musieliby poczekać na realizację wielkich zamówień (gdyby zostały wreszcie złożone)

mniej więcej ćwierć wieku. Raport IISS jasno pokazuje więc, że warto skończyć z mrzonkami o tym, że Europa może dzisiaj bronić się bez pomocy USA.

Jednocześnie Europejczycy, zamiast tracić fortunę na pseudo-ekologię, muszą wziąć sobie do serca ostrzeżenia Amerykanów, którzy mają dość europejskiej jazdy na gapę. I dla własnego dobra – a nie tylko, aby przypodobać się Trumpowi – wydawać wreszcie na tyle dużo, aby próbować uczynić Europę znowu silną. A przynajmniej dużo silniejszą niż teraz... ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kres euroamoku albo śmierć

Już chyba do wszystkich dotarło, więc już chyba wszyscy wiedzą, że musimy pilnie odbudować w Europie silne armie. Do obrony przed ewentualnym atakiem Rosji Putina (a na pewno do odstraszania jej) i do obrony przed raczej pewnym – wcześniej czy później – najazdem migrantów z południa, który w istocie już się rozpoczął (kto nie wierzy, niech się rozejrzy po ulicach europejskich miast, w tym coraz częściej – także polskich).

A nie da się odbudować silnych europejskich armii bez odbudowania w państwach Unii Europejskiej silnego przemysłu ciężkiego; przemysłu ciężkiego z – nie da się inaczej – wielkimi, kopiącymi na potęgę hutami, z wielkimi, kopiącymi na potęgę walcownikami i z wielkimi, kopiącymi na potęgę stalowniami, czyli – nie inaczej – bez definitywnego pożegnania się z Zielonym Ładem.

Ale i to nie wszystko, bo nie da się stworzyć silnych europejskich armii także bez odtworzenia w kulturach państw Europy – jeśli to jeszcze w ogóle możliwe – wzorca silnego mężczyzny; mężczyzny zdolnego do poświęceń – za swoją rodzinę, za ojczyznę. Czyli – właśnie tak, bo nie da się tego rezultatu inaczej osiągnąć – bez pożegnania się z niedorzecznościami o parytetach płci, z rewolucją feministyczną, a tym bardziej z rojeniami o uprzywilejowaniu gender czy LGBT.

Kto bowiem śni o „armii zrównoważonego rozwoju”, o armii walczącej z poziomem emisji CO₂ zamiast z wrogiem, o armii skoncentrowanej na walce z zanieczyszczeniami i skupionej na segregowaniu śmieci, o armii nastawionej nie na bezwzględna, zazwyczaj brutalną walkę o zwycięstwo nad agresorem, lecz na dbanie o dobre relacje między żołnierzami (i żołnierzkami, a może także „osobopsami” i „osobokotami”?), kto śni o armii parytetów damsko-męskich i heteroseksualno-homoseksualnych – ten siłą rzeczy skazuje państwa i narody Unii Europejskiej na niechybną porażkę, na sromotną klęskę.

A zatem: albo kres, koniec tego całego euroamoku – czyli koniec Zielonego Ładu i rewolucji genderowej – albo śmierć! Bo Zielony Ład i rewolucja feministyczno-homoseksualno-transseksualna (LGBTQwerły) to w tej sytuacji – prędzej czy później – niemal pewna katastrofa. Jeśli bowiem nie uzbroimy naszych armii po zęby i nie wyszkolimy naszych żołnierzy na mistrzów w pokonywaniu wroga – a z Zielonym Ładem i z rewolucją gender/LGBT u szyi nie będzie to możliwe – to niechybnie poniesiemy klęskę albo za sprawą armii Putina, jeśliby jednak przyszło mu do głowy to, co dziś na szczęście wydaje się mało wyobrażalne i przez to mało prawdopodobne, albo za sprawą migrantów nacierających z południa, którzy za to na pewno zaatakują, bo już atakują, bo już tu są. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

To nie moja wojna

To nie moja wojna” – miał zakomunikować w ubiegły poniedziałek w czasie rozmowy telefonicznej z europejskimi przywódcami prezydent Donald Trump. „Daliśmy się wciągnąć w coś, w co nie powinniśmy być zaangażowani” – dodał.

Trudno powiedzieć, co dokładnie prezydent USA miał na myśli. Można przecież postawić tezę, że konflikt, trwający od lutego 2022 r., jest skutkiem wciągnięcia Ukrainy w bliską współpracę, również wywiadowczą, ze

przedstawiciele amerykańskiej administracji, jednak prezydent Trump sprawia wrażenie coraz bardziej zniechęconego postawą Putina. Ostatecznie okazuje się – co zresztą było jasne od początku – że klucz do pokoju jest na Kremlu, a nie w Białym Domu. Bez decyzji Rosji rozejm nie nastanie. A skoro Rosja na razie takiej decyzji nie podejmuje, to oznacza, że wciąż uznaje, iż większe korzyści osiągnie z kontynuowania walk niż z ich zaprzestania. „Putin nie chce rozejmu, bo uważa, że wygrywa” – miał powiedzieć Trump swoim rozmówcom w Europie.

Trzeba jednak rozumieć, że – wbrew stanowisku idealistów, także polskich – to jest dynamiczny układ. Korzyści dla Rosji z rozejmu nie muszą wynikać jedynie z samego faktu, że przestanie ona walczyć. To również od przeciwnej strony zależy, jaka będzie ich pula. Jeśli Zachód odmawia rozważenia wycofania części sankcji, a nawet uchwała kolejne, to jasne jest, że owa pula nie jest specjalnie dla Moskwy kusząca.

W czasie wspomnianej rozmowy transakcyjnie nastawiony Trump osiągnął jeden mały sukces: Europejczycy mieli zgodzić się na niedomaganie się podczas watykańskich negocjacji rozejmu „bezwarunkowego”. Fakt, że takie sformułowanie w ogóle miało być punktem wyjścia dla negocjacji, wiele mówi o podejściu europejskich przywódców.

©

Rosja wciąż uznaje, że większe korzyści osiągnie z kontynuowania walk niż z ich zaprzestania

Stanami Zjednoczonymi (obszernie pisał o tym ok. roku temu „New York Times”).

Gdyby przyjąć rosyjską perspektywę – co nie oznacza usprawiedliwiania działań Moskwy czy w ogóle ich etycznej oceny – można uznać, że właśnie to głębokie amerykańskie zaangażowanie na Ukrainie było jedną z przyczyn podjęcia działań wojennych przez Władimira Putina.

Kolejna faza rozmów pokojowych w sprawie Ukrainy ma się rozpocząć w Watykanie. Będą w niej uczestniczyć

Dlaczego tak drogo?



Joanna Bojańczyk

W sklepach wolnocłowych i w zwykłym Rossmannie nosy i oczy atakują setki butelek. Jak się w tym połapać, gdy po kilku prysnięciach na dłoń wszystko się miesza i nie potrafimy odróżnić zapachu egzotycznego od cytrynowego, a wanilia pachnie tak samo jak konwalia?



FOT. ANDRZEJ STOK

W zamierzonych latach 70. mój paryski wuj, pan mocno już starszy, zgubił portfel. Dokumenty, pieniądze – kart kredytowych jeszcze wtedy nie było, a może były, ale dla bardziej niż on zaawansowanych technologicznie. Następnego dnia postanowił odnieść zgubę, w której niczego nie brakowało. Znalazcą (czy znalazczynią) była dama mieszkająca niedaleko – w zamożnej 16. dzielnicy Paryża. W podziękowaniu, odwrotną pocztą, również przez posłańca, wuj posłał butelkę Shalimar, perfum Guerlaina. Wtedy był to prezent elegancki, prawdziwie luksusowy.

Dziś perfumy nadal są przyjemnym upominkiem, ale straciły na ekskluzywności. To już masówka, jak ubrania z Zary. W sklepach wolnocłowych i w zwykłym Rossmannie nasze nosy i oczy atakują setki butelek. Jak się w tym połapać, gdy po kilku prysnięciach zapachu na dłoń wszystko się miesza i nie potrafimy odróżnić egzotycznego od cytrynowego, męskie pachnie tak samo jak damskie.

Najbardziej niecierpliwi i zdezorientowani łapią znaną ze słyszenia markę mody i opuszczają świątynię zapachów.

A gdyby ktoś szukał czegoś naprawdę niemassowego, luksusowego? Powiedzmy – mniej massowego. Wolny rynek ma to do siebie, że wypełnia każdą niszę. Jeśli popularne zapachy przestały być atrakcyjne, to przesunęły się wyżej. Haute couture, wysokie krawiectwo to suknie robione ręcznie w kilku egzemplarzach lub w jednym egzemplarzu. Nazwa prawnie zastrzeżona. Teraz mamy nowy termin: haute parfumerie. Też francuski i jeszcze niezastereżony. Co to znaczy, nie wiadomo, ma być coś lepszego i na pewno droższego niż „zwykłe” zapachy. Na stronie Mood Scent Bar mamy całą gamę trudnych do wymówienia nazw, pięknych butelek i cen zaczynających się od 915 zł.

Popularne perfumy znanych marek odzieżowych kosztują już w okolicach 500 zł za 100 ml, więc zapach luksusowy, jeśli ma być godny tej nazwy, musi kosztować więcej. Na przykład ok. 1 tys. zł

za 100 ml. I istotnie tyle kosztuje. Dlaczego tak dużo? – można zapytać. Co takiego jest w kilku dosłownie kroplach i buteleczce o wyrafinowanym designie?

SKALA PRODUKCJI

„Za kroplą, którą nakładamy na szyję, kryje się skala produkcji” – tłumaczy dziennikowi „Le Figaro” Jeanne Doré, szefowa branżowego magazynu „Nez” (po francusku nos). Odnosimy wrażenie, że perfumy są tylko tym, czym pachną. Ale za ceną kryje się skala produkcji, równie niewidoczna jak zapach. Przy cenie 100 euro 20 proc. idzie na VAT, pozostałe 80 euro trafia do dystrybutorów. Z tego 30 euro to koszty operacyjne, w tym rozwój, co może zająć lata. Reszta przeznaczona jest na komunikację i marketing; te są często krytykowane, ale dzięki nim produkt może trafić na rynek i być sprzedany. Pozostałe 10 euro to butelka i opakowanie, a na samym końcu tego łańcucha są alkohol i surowce, z których perfumy się produkuje.

Sephora, świątynia kosmetyków z wyższej półki, to część koncernu LVMH, którego szef Bernard Arnault jest najbogatszym człowiekiem we Francji. Do LVMH należą perfumy Diora, Givenchy, Fendi, Berluti, Loewe, Jimmy Choo i paru innych. Acqua di Parma, włoska woda kolońska, którą jeszcze parę lat temu kupowałam w małych sklepikach we Włoszech jako markę niszową, także została połączona przez konglomerat Francuza. Sprzedaż perfum to żyła złota. Można zrozumieć, dlaczego wchodząc do Sephory, jesteśmy witani jak najmiłsi goście przez młode, idealnie umalowane sprzedawczynie czy też – jak się dziś mówi – asystentki sprzedaży.

„Kryzys gospodarczy po COVID i wojna na Ukrainie miały wpływ na perfumy i koszty ich produkcji. Dotknęło to wszystkiego: szkła, metalu, plastiku, surowców” – tłumaczy wysokie ceny Oriol Segui, dyrektor Fine Fragrance Europe. I dalej wyjaśnia: „W tej sytuacji wiele marek zdecydowało się skupić innowację na koncentracji swoich kompozycji, aby nadal przyciągać konsumentów, którzy w czasie kryzysu zdrowotnego na nowo odkryli znaczenie wachu”.

Uciekają od klasycznych nazw eau de cologne, eau de parfum, eau de toilette. Przeciętny konsument i tak ma blade pojęcie, czym się one różnią. W krainie ekskluzywności mamy: esencje, eliksiry, koncentraty, wyciągi. Producenci twierdzą, że ich kreacje zawierają coraz rzadsze i cenniejsze, a przez to droższe składniki, takie jak irys, zwany „błękitnym złotem” perfumierii, oud, określany mianem „płynnego złota”, róża majowa, jaśmin z Grasse, piżmo, drogocenna wydzielina jeleni. Do klienta wysyła się sygnały, że otrzyma dobrą wartość za swoje pieniądze.

PACHNĄCY DUCH CZASU

Perfumy mają swoją filozofię – wewnętrzną, która sprawia, że jakiś zapach nam się podoba. Bo z czymś się kojarzy, coś przypomina, coś wyraża. Jest to odczucie głęboko osobiste, połączone z emocjami i pamięcią.

Ale też ulegamy modzie. Dla perfum moda ma takie samo znaczenie, jak dla rynku ubrań czy designu. Wyraża nastrój, ducha czasu. Może to być wychwycone przez reklamę, wykreowane i przetłumaczone na język substancji zapachowych.

W latach 60. symbolem elegancji i kobiecości była słynna „Piątka” Chanel – perfumy, które powstały w roku 1921, a które 40 lat później sławnymi uczyniły Marilyn Monroe i jej powiedzenie: „Spać kładę się ubrana tylko w perfumy numer 5 Chanel”. Popularny był także Dior Diorissimo, a reputacja Yardleya Lavendera dotarła nawet za żelazną kurtynę, co wiemy z opisu snobistycznych salonów Warszawy w powieści Leopolda Tyrmanda „Życie towarzyskie i uczuciowe”. Lata 70. pachniały orientalnymi kadzidełkami hippisów, a nowoczesna, elegancka dziewczyna Yves’a Saint Laurenta, która nie nosiła hinduskich sukienek, tylko garnitur lub smoking, musiała pachnieć perfumami Yves Saint Laurent Rive Gauche lub Charlie Revlona.

W powojennej Polsce komuniści chcieli odciąć się od zachodnich produktów i stworzyć własne

Lata 80., w Polsce czas biedy i stanu wojennego, na Zachodzie były dziesięcioleciem prosperity, wysokiej giełdy oraz ekstrawagancji, których symbolem stały się seriale „Dynastia” i „Dallas”. Najmodniejsze wówczas zapachy to Poison (Trucizna), intensywny i zmysłowy zapach Diora, oraz Opium Yves’a Saint Laurenta. Sławę tych ostatnich podbił jeszcze zakaz sprzedaży, konsekwencja oskarżeń o reklamę narkotyków. Na Obsession Calviną Kleina obsesji mogli się nabawić zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Reakcja na intensywne i ciężkie zapachy lat 80. musiała przyjść w latach 90., kiedy zapanował minimalizm. Jego symbolem stała się woda Calvin Klein CK One z roku 1994, o lekkim, świeżym zapachu. Sam Klein był też wcieleniem ducha czasu lat 90. – ascetycznie ubrany, do swoich reklam wybierający modeli pozbawionych płci. Czysty, wodny zapach Issey Miyake z roku 1992 kojarzył się z Japonią, krajem czystych form i nowoczesnych technologii. To też pasowało do nastroju.

Przez całe dekady „francuskie perfumy” (uwaga! nie perfumy francuskie;

„francuskie” to ich cecha immanentna) były symbolem i znakiem najwyższej elegancji. Ich ślad znajdziemy w literaturze dwudziestolecia, nie tylko tej popularnej jak „Trędowata” Heleny Mniszkówny, lecz także w powieściach Dołęgi-Mostowicza czy Zbigniewa Uniłowskiego.

W powojennej Polsce komuniści chcieli odciąć się od zachodnich produktów i stworzyć własne. Perfumy też mieliśmy mieć własne, i to nawet się w realnym socjalizmie udało. Woda kolońska Przemysławka produkowana przez poznańską Pollenę Lechię była eksportowana jako ekskluzywny polski produkt do Francji, Wielkiej Brytanii, a nawet Związku Sowieckiego. „W krąg Przemysławki europejski zapach czujesz” – śpiewał Wojciech Młynarski. Do dziś charakterystyczną butelkę oplecioną wiklinowym koszykiem można kupić za granicą, podobno Polonia jest do niej wyjątkowo przywiązana.

U Tyrmanda eleganczy mężczyźni używają Yardleya, ale to lata 50. W latach 70., gdy Gierek za kredyty zaczął sprowadzać zachodnie towary „ekskluzywne”, na półkach pojawił się Old Spice, męska woda z rodowodem, o dziwo, amerykańskim. W latach 70. pachnieć Old Spice’em kwalifikowało do elity. Ale dla czerwonego pudełka z rysunkiem statku szybko pojawił się miejscowy konkurent – seria Brutal Polleny Urody, zapach ziołowo-korzenno-drzewny. Dziś po akcji #MeToo nazwa budzi negatywne skojarzenia (choć od tamtej pory pojawiło się wiele szokujących nazw), wtedy też wywołała kontrowersje. Jednak nie zaszkodziły one popularności serii Brutal, do nabycia także w kioskach.

Zdecydowanym hitem PRL, i to kilku jego dekad, były perfumy Być Może. Wtedy jeszcze nazwy wymyślało się w gabinecie dyrektora, a nie w agencji reklamowej za duże pieniądze. Trzeba przyznać, że ta cokolwiek dwuznaczna nazwa była strzałem w dziesiątkę. Małeńka buteleczka w kształcie liścia konwalii, 10 ml, nuty bergamotki, brzoskwini, jaśminu, ambry. Do dziś Być Może należy do firmy Miraculum i można ją znaleźć w niektórych niesieciowych drogeriach.

Gdy na rynku francuskim pojawiło się Być Może, miało być ono naszą odpowiedzią na Chanel No 5. Nie wiadomo, czy Francuzki to odkryły. © Wszelkie prawa zastrzeżone

JAECOO 7 SUPER HYBRID

Aż 1200 km. Tyle wynosi łączny zasięg hybrydy typu plug-in marki Jaecoo, należącej do chińskiego koncernu Chery. Wrażenie robi również cena. Za superhybrydę w najtańszej wersji wyposażenia, ale i tak bogatej trzeba zapłacić 159,9 tys. zł. Wariant najlepiej doposażony (z HUD-em, podgrzewaniem kierownicy i systemem audio Sony z ośmioma głośnikami) kosztuje zaś 169,9 tys. zł. To zaskakująco mało jak na auto z napędem hybrydowym o wymiarach 4,5 m x 1,865 m x 1,671 m. Na papierze Jaecoo 7 Super Hybrid prezentuje się więc wyjątkowo dobrze. A jak jest w rzeczywistości?

Zacznijmy od designu. Jaecoo 7 w wersji hybrydowej to w zasadzie brat bliźniak wersji spalinowej. Potężna bryła przypominająca drogie luksusowe terenówki przyciąga wzrok przechodniów. Uwagę zwracają również takie elementy jak automatycznie wysuwane klamki czy 19-calowe aluminiowe felgi.

W minimalistycznie wykończonej kabinie miejsca jest mnóstwo, a poczuć przestrzenności zwiększa elektrycznie sterowany dach. Dobrej jakości są też materiały wykończeniowe, dzięki czemu chińskie auto zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz sprawia wrażenie droższego, niż jest w rzeczywistości. Ergonomiczne fotele z wygodnymi zagłówkami są elektrycznie regulowane. Mogą być też podgrzewane lub wentylowane. Autem podróżuje się więc wygodnie. Zwłaszcza że nawet przy wyższych prędkościach we wnętrzu jest przyjemnie cicho.

A jak się tym modelem jeździ? Na pewno o wiele lepiej niż spalinowym bratem bliźniakiem.



FOT. JAP

Producent nie podaje niestety maksymalnej mocy systemowej. Wiadomo jedynie, że silnik benzynowy 1.5 T-GDI ma moc 143 KM i maksymalny moment obrotowy wynoszący 215 Nm. W wersji hybrydowej wspierany jest on przez dwa silniki elektryczne, które sprawiają, że auto z akumulatorem o pojemności 18,3 kWh staje się bardziej dynamiczne. Jaecoo 7 Super Hybrid nie jest jednak wyścigówką. Potężny chiński SUV od zera do 100 km/h przyspiesza w 8,5 s. Prędkość maksymalna jest zaś ograniczona do 180 km/h.

A wady? Bagażnik jak na auto o takich wymiarach jest stosunkowo mały (ma zaledwie 500 l pojemności). Poza tym kompletnie niezrozumiałe są w wersji hybrydowej wskazania komputera

pokładowego dotyczące spalania. Z moich wyliczeń wynika jednak, że przy oszczędnej jeździe średni apetyt na paliwo wynosi nieco ponad 6 l/100 km, co jest wynikiem bardzo przyzwoitym.

Nie rozumiem też, dlaczego jakiś chiński inżynier uznał, że dobrym pomysłem będzie przeniesienie sterowania lusterkami bocznymi z boku drzwi do systemu infotainment.

Wielka szkoda również, że w modelu hybrydowym dostępny jest wyłącznie napęd na przednią oś. To kompletnie niezrozumiała decyzja Chińczyków. Jaecoo 7 Super Hybrid byłby bowiem nie tylko bardziej dynamiczny i bardziej ekonomiczny, lecz także tak samo wszechstronny jak wersja spalinowa (gdzie występuje napęd 4 x 4). ©©

SŁUCHAWKI BEYERDYNAMIC AMIRON 300 ANC

Bardzo dobra jakość dźwięku, eleganckie wzornictwo, wysoka jakość wykonania, szybki Bluetooth, możliwość sparowania z kilkoma urządzeniami jednocześnie oraz niezła bateria – to największe zalety najnowszych słuchawek dousznych niemieckiej firmy Beyerdynamic.

To słuchawki dla osób, które lubią luksusowe produkty, ale zamiast wymachiwać ludziom przed oczyma pozłacanym rolexem, wolą dyskretną elegancję. Ważą niewiele (4,4 g) i mają ergonomiczną konstrukcję, dzięki której można ich komfortowo używać nawet przez kilka godzin bez przerwy.

Jakość dźwięku – jak na bezprzewodowe słuchawki douszne – jest bardzo dobra (choć prawdziwi audiofile wciąż nie wyobrażają sobie niczego innego niż słuchawki nauszne, połączone ze źródłem dźwięku klasycznym kablem). Dźwięk jest czysty, naturalny, z wyraźnymi detalami. Na pochwałę zasługuje zwłaszcza jakość średnich tonów. Słuchawki wspierają takie kodeki jak LDAC, SBC, AAC i LC3. Aplikacja mobilna umożliwia zaś personalizację brzmienia. Na pochwałę zasługuje też jakość rozmów telefonicznych (w słuchawki wbudowanych jest sześć mikrofonów, co ma zapewniać dobry dźwięk nawet w bardzo gwałtownych



miejskach). Niemiecki producent zastosował w tym modelu szybki Bluetooth 5.3 z funkcją Multipoint, czyli możliwość sparowania z kilkoma urządzeniami jednocześnie (np. ze smartfonem i z laptopem). Jest tu też autopauza, a więc funkcja, która automatycznie wstrzymuje odtwarzanie muzyki po wyjęciu słuchawek z uchu i wznowia odtwarzanie, gdy pchełki lądują z powrotem na miejscu.

Na pochwałę zasługuje też czas pracy na baterii: do 10 godzin na jednym ładowaniu – i do 38 godzin z etui pełniącym funkcję powerbanka. Amiron 300 ANC jest też uzbrojony w system aktywnej redukcji szumów (ANC), który umożliwia zniwelowanie hałasu pociągu/samolotu/odkurzacza etc. Dobrze, że jest też tryb transparentny, dzięki któremu można na jakiś czas dopuścić do ucha dźwięki z otoczenia bez konieczności wyjmowania słuchawek, np. aby usłyszeć wyraźnie, co właśnie mówi do nas stewardesa, a następnie szybko wrócić do słuchania muzyki.

Wady? Aktywna redukcja szumów działa co prawda bardzo przyzwoicie, ale muszę zauważyć, że najdroższe modele niektórych konkurentów (np. Bose) z tłumieniem hałasu radzą sobie lepiej. Mimo to stosunek ceny do jakości w tym modelu wydaje się atrakcyjny. Za model Amiron 300 trzeba zapłacić 1059 zł. ©©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Saskie więzienia królewiczów



JACEK KOMUDA

Pleissenburg i Königstein to dwie fortece w Saksonii, które są mocno związane z historią Polski. Pierwsza z nich to historyczny zamek w Lipsku, którego początki sięgają jeszcze XIII w.; dziś już nieistniejąca, rozebrana pod koniec XIX stulecia. Druga, czyli „Królewski kamień”, to twierdza będąca najpierw przez wiele lat warownym zamkiem, a później, od połowy XVI w., przebudowywana przez kolejne pokolenia władców Saksonii na obronną fortecę.

Pleissenburg i Königstein kolejno stały się więzieniem dla królewiczów Jakuba i Konstantego Sobieskich, którzy jako synowie Jana III rościli sobie prawa do korony polskiej. Ich schwytanie i uwięzienie nastąpiło w 1704 r., w czasie wojny północnej ze Szwecją, kiedy zwołany przez prymasa Michała Radziejowskiego warszawski zjazd szlachty przekształcił się w konfederację i pod naciskiem najeźdźców ogłosił detronizację Augusta II. Król zareagował nerwowo – nakazał porwać pretendenta do tronu królewicza Jakuba, który właśnie udawał się do Polski. W tym celu przygotowano na niego zasadzkę pod Wrocławiem. Kiedy Sobiescy – gdyż razem z królewiczem podróżował jego brat Konstanty – wyjechali za rogatki miasta, w pobliżu Czerwonej Karczmy zostali zatrzymani przez agentów saskich. Jak podaje Aleksandra Skrzypietz, jeden ze służących próbował wrócić do miasta – wówczas padł postrzelony. Królewiczom kazano wyjść z karocy i przesiąść się na konie, po czym pod eskortą odprowadzono ich do Lipska. Konstanty nie był celem porwania, zaproponowano mu więc, aby wrócił do domu, jednak nie zgodził się, chcąc dzielić los brata.



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

Niestety, przy królewiczach znalazło wiele kompromitujących listów dowodzących ich kontaktów z królem Szwecji Karolem XII. Jakub proponował nawet saskiemu dowódcy 30 tys. talarów i godność generała w wojsku szwedzkim w zamian za jeden z nich – dokument adresowany do wrogiego króla; dowód intryg królewiczów. Jednak Sas okazał się nieprzekupny. Wkrótce Sobieskich umieszczono jako więźniów w zamku Pleissenburg w Lipsku, gdzie jednak byli traktowani dobrze, aczkolwiek bez luksusów.

Porywając braci, August II wytrącił politycznym przeciwnikom broń z ręki. Było bowiem jasne, że Jakub stanie się kandydatem do korony dla proszwedzkiego obozu szlacheckiego. Chociaż jego matka, Maria Kazimiera, rozpętała istną burzę, zwracając się do stanów polskich i ościennych dworów o pomoc, to – jak pisze Jacek Staszewski – „porwanie Sobieskich zrobiło niewielkie wrażenie, listy Marii Kazimierzy [...] pojawiły się w okresie, gdy większego rozgłosu nabrało ogłoszenie bezkrólewia i hałas związany z otwarciem wielkiej kampanii politycznej przed elekcją następnego Wettyna”.

Tymczasem trzeci z braci – Aleksander – przebywał w Oławie i również zamierzał udać się do Polski. Skorzystał jednak z pomocy i eskor-

ty Karola XII, który przysłał na Śląsk 400 konnych, dzięki którym zdołał dotrzeć do Warszawy. Nie zdecydował się na przyjęcie korony, jednak przygotowywał plan wyprawy do Saksonii w celu odbicia braci. Ponoć sam chan tatarski ofiarowywał mu w tym celu 40 tys. ordy.

Jakub i Konstanty nie byli przetrzymywani tak jak zwykli więźniowie. Przy uwięzionych przebywał dwór – spowiednik, kamerjunkier, kucharz, balwierz, a także dwóch służących. Królewicze domagali się wielokrotnie przysyłania książek, jak „Corpus Historiae Poloniarum”, portretów, obrazów świętych. We wrześniu August II Mocny nakazał rozdzielić więźniów, zezwolił też Konstantemu na wolne wyjście, ten jednak pozostał z bratem. Tymczasem Jakub podjął swoisty protest polityczny – nie golił się, kazał nawet namalować swój portret w takim stanie. Razem z bratem nosili też stroje pokutników.

Na wiosnę 1706 r. Jakub zachorował na szkorbut. Był tak słaby, że mógł chodzić jedynie o kiju. Z kolei Konstanty narzekał na bóle w klatce piersiowej. Wkrótce jednak, w związku z wkroczeniem wojsk szwedzkich do Saksonii, braci Sobieskich przewieziono do twierdzy Königstein, gdzie mieli o wiele lepsze warunki.

Zawarcie pokoju w Altranstädt, który zakładał uwolnienie więźniów, nie oznaczało natychmiastowego zwolnienia. August II Sas zgodził się wypuścić Jakuba dopiero, kiedy 25 listopada 1706 r. zrzekł się pretensji do korony polskiej. Ostatecznie obaj odzyskali wolność 17 grudnia, po podpisaniu oświadczenia, że zrzekają się odwetu i zemsty, a także zachowają przyjaźń z domem saskim. Królem w Polsce był już wówczas Stanisław Leszczyński. ©



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Smakołyk z Lubelszczyzny

Często odwiedzamy ostatnio województwo lubelskie. Troszkę z racji zawodowych, troszkę z racji sentymentów rodzinnych. W Mełgwi pod Świdnikiem mieszkała nasza ciocia Jadzia, siostra babci Małgosi. Zarządzała gospodarstwem ze swadą, miała rękę do pomidorów – rosły jej wspaniale, robiła świetne przetwory i karmiła nas nieprzyzwoicie dobrze. Tygodniowy pobyt u niej kończył się kilkoma centymetrami w biodrach więcej. Wspominamy te czasy, bo będąc u niej, odpuszczaliśmy sobie dbanie o linię i po prostu cieszyliśmy się smakiem, życiem i apetytem. I od czasu do czasu również i wam życzymy takiego podejścia.

FOT. ANDRZEJ STOK



Będąc ostatnio w Kraśniku, jedna z nas poznała przemiłe panie z koła gospodyń wiejskich o nazwie 39,5 w Stróży Kolonii. Od razu stwierdziły, że najlepiej smakują ich popisowe racuszki. Żarliwość, z jaką namawiały do degustacji, szczodrość w obdarowywaniu tymi i innymi specjałami właśnie przypomniały nam podejście do życia naszej ciocia Jadzi.

Oczywiście ochoczo podzieliły się przepisem, który tutaj podajemy.

Racuszki

- 1 kg mąki • 50 g drożdży
- ok. 3 płaskich łyżek soli i tyle samo cukru

Z drożdży, cukru, odrobiny mąki i bardzo małej ilości ciepłej wody zrobić rozczyn. Jak wyrośnie – wyspać mąkę i dodawać letnią wodę, aż powstanie ciasto o konsystencji budyniu.

Mocno wyrabiać łyżką, żeby ciasto napowietrzyć. Pozostawić, aż wyrośnie. Następnie smażyć na gorącym oleju, nakładając łyżką racuszki. Gotowe można polać lukrem lub posypać cukrem pudrem. Można też podawać z konfiturą. Szklanka ciepłego mleka będzie ich doskonałym uzupełnieniem. Są rzeczywiście wyśmienite. Pozostawiają uczucie przyjemnej sytości i zadowolenia z życia. Razem z KGW życzymy smacznego! ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Akustyczne nazwisko

W książkach wspomnieniowych na początku wpada się na listę przodków autora. Tę część przelatuję wzrokiem albo omijam.

Poza wyliczanką kolejnych prarodzadko jest w tym dla czytelnika coś ciekawego. W książce „Radziwiłł. Aleksander Kaczorowski rozmawia z Maciejem Radziwiłłem” jest inaczej. Maciej Radziwiłł nie jest nudziarzem zamęczającym genealogię. On skraca, gdzie trzeba; gdzie trzeba, wchodzi dowcip, anegdota. I żadnego podbijania siebie.

Jednak od zawiłych konsekwencji nie da się uciec, zwłaszcza jeśli się ma rodzinę liczącą 2 tys. osób. Jej członkowie pojawiają się na różnych etapach życia bohatera, zazwyczaj pomocni, choć zdarza się, że wsadzą patyk w tryby. „Akustyczne” nazwisko Radziwiłł może otwierać różne drzwi, ale były czasy, że wyrzucało na bruk. W Polsce w latach 50. obeszło się bez rozstrzeliwań arystokracji, jak w Związku Sowieckim, jednak i tak był to dla niej mroczny czas. Więzienia, przesłuchania, wyrzucanie z pracy, niewpuszczanie na studia. Sami zainteresowani podchodzili do tego z dystansem. „Radziwiłł nie może w życiu zrobić żadnej kariery, bo samo bycie Radziwiłłem jest już szczytem osiągnięć” – to słowa (ironiczne) Anny Radziwiłł, wiceminister edukacji w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Jej na karierze zależało najmniej, interesowało ją wychowywanie młodzieży.

ALEKSANDER KACZOROWSKI
„RADZIWIŁŁ”
WYDAWNICTWO
ISKRY 2025

Maciej Radziwiłł, rocznik 1961, w latach 80. student socjologii, pierwsze szlify zdobywał w konspiracji: drukował książki, przewoził sprzęt, ukrywał siebie, kolegów i podziemne wydawnictwa. Nowy etap rozpoczął z upadkiem Polski Ludowej. Z trzema dyplomami magisterskimi, trzema językami oraz znajomością łaciny i greki w latach 90. początkujący biznesmen uczył się praw kapitalizmu. Giełda, finanse, zarządzanie spółkami. Opowiada o tym z otwartością, mając świadomość, że czyste karty życiorysu na to pozwalają. Ostatnia część książki opowiada o sprawie kolekcji Czartoryskich.

Maciej Radziwiłł umie opowiadać – nieraz słyszałam go na żywo. Dlatego wydaje mi się, że nie było potrzeby nadawać niektórym jego wypowiedziom wygładzonej formy literackiej. Mówiony język byłby lepszy. Nie wiem, czy to sprawka rozmówcy czy wydawcy, jedyne małe zastrzeżenie do tej doskonałej książki.

W olbrzymim plemieniu, którym są Radziwiłłowie, zapewne znajdzie się niejednego hultaja i zabijaka. Jednak jest pewne, że z pana Macieja krewniacy mogliby być tylko dumni. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Przekleństwo praworządności

Jesteśmy krajem niepraworządnym. Ale naprzemiennie. Jeśli przyjąć aksjologiczny – ciągnąc wątek J.D. Vance’a, wyrażony w Monachium – konflikt pomiędzy unijną Europą a trumpowskimi Stanami, to wychodzi, że raz podpadamy „w tym temacie” jednym, raz – drugim.

W wydaniu unijnym zarzuty wobec polskiej niepraworządności były jedynie narzędziem mającym skompromitować PiS do poziomu utraty władzy. Naiwniaki od Kaczyńskiego wzięły za dobrą monetę unijne obietniczki, choćby i z dostępem do KPO, i podnieciły się na tyle, że już na autobusach premier pisał, ile to kasy PiS załatwił. Europa nie dała i poszła narracja, że pieniądze czekają, ale są zablokowane przez Kaczyńskiego i kolegów, gdyż ci mieli jakoby naruszać bliżej niezdefiniowaną praworządność. Choć jak się władza zmieniła, to w konstrukcji wymiaru sprawiedliwości nie zmieniło się nic, za to namnożyło się działań niepraworządných, co spotkało się z kolei z... milczeniem Unii. Uśmiechnięta koalicja się cynicznie cieszy, ale nie ma z czego, bo co prawda protesty Brukseli ucichły, za to kasa wcale nie popłynęła. No, może z wyjątkiem tej na wykupienie Siemensu z kłopotów czy dofinansowanie eksportu do nas niemieckiego elektrycznego szrotu samochodowego.

Ale kiedy od Unii i cicho, i bez przelewów, to znowu

w sprawie praworządności odezwały się USA. Komisja Sprawiedliwości w amerykańskim Kongresie napisała list do unijnego komisarza do spraw sprawiedliwości i praworządności, Michaela McGratha. W liście tym Komisja skarży się do Unii na Polskę. Wskazuje się na dwa niepraworządne działania: aresztowania członków opozycji, odbieranie im immunitetów i stawianie przed widowskowymi komisjami oraz powód drugi – wprowadzanie cenzury. W tym pierwszym wypadku wskazywany jest „autorski” charakter takich poczynań, w drugim wypadku pokazywane są na przykładzie Polski praktyczne konsekwencje stosowania unijnej dyrektywy Digital Services Act. Przykłady te nazywane są wprost – cenzurą.

Jak widać, czy z tej czy z drugiej strony praworządni nie jesteśmy. Ale amerykańskie zarzuty, jak to u Amerykanów, poparte są konkretnymi przykładami. W przypadku zaś unijnych grzmotów z trybuny brukselskiej nie mogliśmy jakoś uświadczyc. Wychodzi na to, że rzeczywiście – systemy wartości i rozumienia praworządności różnią się pomiędzy Ameryką a UE. A jako że jesteśmy wciąż w Unii, obowiązują nas unijne „standarty” niepopierania argumentami krzykliwych i bolesnych wniosków. Czyli – po staremu – „ksiądz wini pana, pan ksiądz, a nam prostym zewsząd nędz”. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Sprawa księdza Glasa

Na początku kwietnia ławnicy sądu w Jersey uznali winnym ks. Piotra Glasa w procesie o molestowanie seksualne. Charyzmatyczny duszpasterz, aktywny w przestrzeni katolickiego Internetu, do czerwca oczekuje w areszcie na wyrok. Polskiemu duchownemu pracującemu w Wielkiej Brytanii w diecezji Portsmouth zarzucono czyny lubieżne względem dziecka. Oskarżenie nie dotyczy gwałtu, lecz czynności seksualnych, które przez skarżącego i prokuraturę zostały zinterpretowane jako „zaspokajanie tzw. fetyszu stóp”.

Brytyjski wymiar sprawiedliwości dba o ochronę anonimowości ofiar, jednak szczegóły oskarżenia z lubością cytowała brytyjska prasa. Materia zarzutów, swoista oryginalność przypisanego księdzu zaburzenia oddziaływania na wyobraźnię odbiorców. Choć w Polsce proces został „przykryty” śmiercią papieża Franciszka, konklawe i kampanią wyborczą, to katolicki Internet, zarówno tradycyjny, jak i modernistyczny, pełen jest materiałów dotyczących procesu. Ponieważ ks. Piotr uosabiał tradycyjną katolicką tożsamość, z silnie akcentowaną pobożnością eucharystyczną, kultem Niepokalanej, nauczaniem o grzechu, o pojęciu, to zarzuty wobec niego natychmiast podjęła liberalna strona.

Na nowo apeluje się o powołanie zewnętrznej, niezależnej od hierarchii

komisji, która wzorem krajów Zachodu zajmie się zbadaniem nadużyć seksualnych duchowieństwa. Proces ks. Glasa dla modernistów jest okazją do apeli o reformę kapłaństwa. Według nich kapłaństwo w tym kształcie, w jakim trwa, samo w sobie ma nieusuwalny błąd, który zawsze prowadzić będzie do nadużyć. Otoczka świętości uniemożliwia bowiem opór potencjalnych ofiar (co wybrzmiało w procesie ks. Glasa). Uzależniają się one psychicznie od oprawców, co prowadzi do kontroli i uległości. Poza tym (co zawsze podkreśla lewica) każda hierarchiczność ma w sobie wmontowaną przemoc – no bo mamy podległych i dominujących. W końcu najważniejszy argument – celibat! Tłumienie popędu – słyszymy – z czasem musi się przerodzić w patologiczne napięcie, które wcześniej czy później eksploduje.

Tymczasem w przypadku ks. Glasa oskarżenia zmontowano na podstawie zeznań tylko jednej osoby, której wiarygodność jest wątpliwa, a zarzut pojawił się po 20 latach! Ksiądz nie przyznaje się do winy, czeka na pisemny wyrok, by wnieść apelację. Pamiętajmy, że wszystko dzieje się w kraju, gdzie Rafał A. Ziemkiewicz trafił do aresztu za „fasyzm”, i gdzie zapadają wyroki za cichą modlitwą w intencji nienarodzonych. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Jasiu profesorem

Ale że krótkie słowa oczywistej prawdy mogą wywołać skandal? No luuudzie. Stop. Poseł Przemysław Witek z Platformy powiedział tylko: „Cóż szkodzi obiecać?” na pytanie w zasadzie zadane przez Mentzena dotyczące tego, czy przyszedł prezydent, gdyby nim np. został Trzaskowski, podwyższałby podatki. Stop. Witkowi za te słowa zagrożono karami w partii, ale w sumie to nie wiadomo dlaczego, bo przecież sam Tusk i wice-Tusk, czyli Trzaskowski, nic innego nie robią, tylko obiecują i tu się ich robota kończy. Stop.

Wirtualne media podały, że agencja ratingowa S&P Global Ratings obniżyła rating kredytowy właściciela TVN Warner Bros. do poziomu śmieciowego. Stop. Trudno mówić o zaskoczeniu. Stop.

Sejm, czyli Platforma i przystawki, odrzucił wniosek o zobowiązanie Tuska do udzielenia informacji na temat udziału Polski w pakcie migracyjnym i tego, jak mają być rozdzielani w Polsce imigranci, których Niemcy u siebie nie chcą. Stop. Tusk już się nie chwali, że będzie beneficjentem, a my powinniśmy zacząć się bać... Stop.

Lis w czasie rozmowy z zastępcą Michnika, niejakim Wieleńskim, powiedział, że odrobina amfetaminy wymęczonemu i okłaptemu Trzaskowskiemu by nie zaszkodziła. Stop. Nie mam stuprocentowej pewności, czy Trzaskowski z tych rad skorzystał czy też nie. Stop. Sztab milczy.

Nie wykluczam, że Donald Tusk rozpoczął nowy rozdział w swoim życiu, rozdział stand-upera, czyli komika, który zabawia publikę. Stop. W rozmowie z redaktor Justyną Dobrosz-Oracz w nieumiejętnie likwidowanej TVP powiedział, że nie będzie miał całkowitej władzy, bo gdyby wybrano Trzaskowskiego na prezydenta, to wtedy na ręce będą mu krytycznie patrzyli właśnie Trzaskowski, niezależna prokuratura i niezależne sądy. Stop. Nawet zabawne. Stop. Ciekawe, skąd on weźmie niezależną prokuraturę, skoro według wyroku Sądu Najwyższego siłą wsadzony na stanowisko prokuratora krajowego Dariusz Korneluk wcale tym prokuratorem nie jest. Stop. Jak sądy mają mu patrzeć na ręce, skoro wyroków, które Tuskowi się nie podobają, Tusk nie akceptuje? Stop. Nawet zabawne, ale nie kupiłbym na Tuska biletów. Stop. Komik nie może być przewidywalny. Stop.

Hartman Jasiu, ten, którego nawet Palikot wyrzucił z partii, bo zaczął się publicznie zastanawiać, czy kaziroddztwo nie powinno być legalne, mobilizuje elektorat PiS i Nawrockiego do głosowania. Stop. Ponieważ Jasiu jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaczął swoją wypowiedź: „Sutenerzy, psychopaci, gangsterzy i zwykłe bydlęta piorące się po mordach w sejmowym barze – czy 1 czerwca oddadzą im Polskę debile, faszyści i nieuki, do spółki z bigotkami?”. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Negocjacje z Pol Potem?

Bardzo optymistyczne nowiny przedstawił amerykański prezydent Donald Trump po swojej rozmowie telefonicznej z prezydentem Władimirem Putinem. „Właśnie zakończyłem dwugodzinną rozmowę z prezydentem Rosji Władimirem Putinem. Uważam, że poszła bardzo dobrze. Rosja i Ukraina natychmiast rozpoczną negocjacje w sprawie zawieszenia broni i – co ważniejsze – zakończenia wojny” – oznajmił Donald Trump.

Na taką niespodziankę błyskawicznie zareagował prezydent Wołodymyr Zełenski. „Potwierdziłem, że Ukraina jest gotowa do bezpośrednich rozmów z Rosją w dowolnym formacie, który przyniesie rezultaty. Turcja, Watykan, Szwajcaria – rozważamy wszystkie możliwe platformy. Ukrainy nie trzeba o tym przekonywać, a nasi przedstawiciele są gotowi do podejmowania realnych decyzji w negocjacjach” – zapewnił prezydent Zełenski.

Postawa taka może być dla obserwatorów niemałym zaskoczeniem. We wrześniu 2022 r. prezydent Ukrainy wydał nawet specjalny dekret stwierdzający „niemożność prowadzenia negocjacji z prezydentem Federacji Rosyjskiej Władimirem Putinem”. Dokument nie został dotąd formalnie uchylony. Prezydent Ukrainy kategorycznie wykluczał w przeszłości jakiegokolwiek rozmowy z Władimirem Putinem.

Stanowisko to uległo w ostatnim czasie diametralnej przemianie. Delegacja polityków ukraińskich, która odwiedziła niedawno Stambuł, domagała się gromko przyjazdu rosyjskiego prezydenta. Zarzucano nawet Rosjanom, że bez obecności Putina rozmowy pokojowe mają tylko znaczenie propagandowe, pozwalając zyskać na czasie i odwlec nałożenie na Rosję kolejnych sankcji.

Polityka negocjacyjna Kijowa może się wydawać niespójna. Nie jest w tym jednak szczególnie osamotniona. Jak pompacyjnie zapewniał polski premier Mateusz Morawiecki: „Ze zbrodniarzami się nie negocjuje, ze zbrodniarzami trzeba walczyć. Z Hitlerem nikt nie negocjował. Czy negocjowalibyście z Hitlerem? Ze Stalinem? Z Pol Potem?”. Przy innej okazji Morawiecki pouczał: „Dyplomacja wymaga dialogu, ale nie można negocjować z terrorystami; przestępcy muszą zostać osądzeni, a ideologia »ruskiego miru« musi zostać pokonana i wyeliminowana”. W bardzo podobnym tonie wypowiadali się wielokrotnie prezydent Andrzej Duda i tuziny pomniejszych postaci.

Czy nasi polityczni moralizatorzy zdążyli już podzielić się swoimi „mądrościami etapu” z prezydentem Trumpem? Jeśli negocjacje pokojowe Amerykanów z Putinem zakończą się wymiernym sukcesem, to z deklamowanych podniosło frazesów trzeba się będzie rozliczyć. ©©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nikt inny się nie liczy

Wybory w Polsce, w Rumunii, w Niemczech, nie tak dawno w USA. Wszystkie zwracają uwagę mediów, uwagę świata, każde z nieco innej przyczyny. Są jednak wśród nich wybory wyjątkowe. Żadne inne nie ogniskują bowiem uwagi mediów na świecie tak bardzo jak te, do których doszło w pewnym miejscu Europy kilkanaście dni temu. Oto obiektyw kamer i aparatów reporterów z całego świata skierowane były na łączący sobie pół tysiąca lat budynek, schowany pokornie za innym, którego fasada rozpoznawana jest bezbłędnie pod każdą szerokością geograficzną. Skierowane były na uformowany w walec kawałek

aktorzy zachowywali się inaczej niż uczestnicy kampanii wyborczych w innych miejscach globu. Nikt nie jeździł spotykać się z wyborcami, nikt im niczego nie obiecywał, nikt nie prowadził oficjalnej kampanii wyborczej, nigdzie nie wisiały plakaty z wizerunkami kardynałów, nie odbywały się debaty, po których media mogłyby mówić: ten bardziej się spocił, ten mniej denerwował, ten miał ładniejszy krawat, a tamten zaorał jeszcze innego.

Papiestwa bowiem, mimo licznych wysiłków świata – a w ostatnich dziesięcioleciach również Kościoła, a nawet niektórych spośród papieży – nie udało się jeszcze do końca zniszczyć czy zdewaluować. Papież to nadal autorytet, to nadal instytucja otoczona wielkim

kogoś, kto pochodzi z wyboru motłochu, a jego dalszy los zależy od tegoż motłochu wahać? Zmian sterowanych medialnym marketingiem emocji? Tego, czy ktoś bardziej się przejęczył czy mniej odstawiały mu włosy? A w taki właśnie sposób wybiera się dziś polityków, i to nie tylko w Polsce, lecz także w Niemczech czy w USA.

Nikt inny nie posiada dziś nawet połowy tego autorytetu, co którykolwiek, najgorszy nawet papież. Bo co to za autorytet, który dziś jest, a jutro go już nie będzie, skoro zaraz skończy się czteroletnia kadencja? I znów trzeba będzie płaszczyć się przed gawiedzią, śpiewać disco polo, robić pompki czy piec sernik, by zdobyć głosy i pozostać przy władzy?

Papież nie musi tego robić, będzie panował do śmierci. Tak oto uświadamiamy sobie, że w Kościele przetrwały resztki normalnego świata, stosunku do władzy. Widać to, gdy lud Rzymu czeka na słowa: Habemus papam!

Kościół nie ma dywizji, nie produkuje czołgów, nie posiada broni atomowej. Nie handluje ropą naftową, gazem ani nawet procesorami kierującymi sztuczną inteligencją. A jednak to na jego przywódcę patrzy cały świat.

Czy Leon XIV zechce to sobie uświadomić? Przypomnieć światu i Kościołowi, czym jest papieństwo? Czym jest sam Kościół? Zobaczmy.

Jeden z poprzednich papieży, gdy rozpoczynał pontyfikat, prosił wiernych, by modlili się za niego, aby nie uciekł przed wilkami. Chybaśmy jednak wtedy zawiedli, bo ów papież zwinął manatki i przed tymiż wilkami zwiął.

Nie zawiedźmy tym razem. Tyle możemy. ©

Kościół nie ma dywizji, nie produkuje czołgów, nie posiada broni atomowej. Nie handluje ropą, gazem ani nawet procesorami. A jednak to na jego przywódcę patrzy cały świat. Czy Leon XIV zechce to sobie uświadomić?

blachy, z którego dymu wszyscy niecierpliwie oczekiwali.

Tak, chodzi o wybór papieża. O konklawe, wciąż owiane aurą tajemnicy i sacrum. O to, czego nie doświadcza już żaden inny władca współczesnego świata, może z małym wyjątkiem chrześcijańskich monarchów stanowiących dziś jednak raczej ozdobę systemu władzy państwowej niż jej ukoronowanie. A papież wciąż rządzi naprawdę.

Oto kilka tygodni temu umarł papież. I oczy świata zwróciły się na Watykan. Przyszedł czas wyboru następcy, tajemniczego, a z drugiej przecież strony szczegółowo opisanego procesu. Cały świat mu się przypatrywał, ale jego

majestatem, to nadal urząd, który przewodzi ponad miliardowi ludzi we wszystkich miejscach globu.

Ta społeczna i medialna potęga papieństwa łączy się nierozzerwalnie również z widzialną ciągłością Kościoła. Oto papież otrzymuje władzę kolejno po swoim poprzedniku, Leon po Franciszku, tamten po Benedykcie, on zaś po Janie Pawle i tak cofając się dwa tysiące lat aż do Ewarysta, Klemensa, Anakleta, Linusa i Piotra.

Piotra, któremu władzę powierzył sam Zbawiciel. Nie ma drugiej takiej instytucji. I nie będzie. Nikt inny się bowiem nie liczy. W tych kategoriach nikt inny nie może być nawet uznany za poważnego. Bo czy poważnym można nazwać

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJAKSAMI.SUSCINIA

W wyborach jakoś tak wychodzi, że głosuję na kandydatów z marginesu. Takie mam poglądy, że w efekcie oddają głos (tym razem też) na kogoś, kto sromotnie przegrywa. Za komuny bojkotowałem wybory i zachęcałem do bojkotu. Nosiłem wtedy w klapie antysystemowy znaczek BEZPARTYJNY.

Mam go do dziś i miałem ten znaczek na sobie także tym razem. Dodatkowo do lokalu wyborczego zabrałem gaśnicę samochodową. Nikt mnie nie zatrzymał, bo w lokalu nie było widocznej ochrony, co jest dziwne. Gdyby ktoś mnie zatrzymywać próbował, broniłbym mojej gaśnicy: skoro to sprzęt, który ma atesty na wożenie w bagażniku narażonym na stłuczki, to tym bardziej nie stanowi zagrożenia w lokalu wyborczym, który się nie trzęsie na wybojach. Czyli na ubraniu miałem stary znaczek z czasów komuny z oświadczeniem BEZPARTYJNY, włożyłem koszulkę z napisem WSZYSCY WON, miałem też gaśnicę, czyli manifestacyjny wyraz poparcia dla Brauna, a głos oddałem na Pana Jakubiaka. W ten sposób oddałem jakby dwa głosy: jeden tajny, drugi widoczny z daleka (gaśnica).

Dzień wcześniej telewizja podała, że nikt nie weryfikuje tego, w ilu lokalach wyborczych obywatel figuruje na listach. Skandaliczny burdel w systemie. Sprawdziłem i rzeczywiście mieli mnie na liście pod moim bardzo starym adresem z czasów, gdy jeszcze mieszkaliśmy u Mamy, oraz mieli mnie na wsi, gdzie płacę podatki. W obu komisjach byłem uprawniony do głosowania, a głosowanie to

obywatelski obowiązek – z tego wynika, że skoro państwo polskie uprawnia obywatela do głosowania w dwóch miejscach, to obywatel powinien zagłosować dwa razy – do takich wniosków doszedłem.

Ludzie o stałych poglądach mają problem taki (cytat z sieci): 30 lat temu moje poglądy były normalne, 20 lat temu te same poglądy uważane były za konserwatywne, 10 lat temu za skrajnie konserwatywne, dzisiaj jestem uważany za faszystę!

W moim przypadku było inaczej – poglądy mam niezmiennie, ale już 30 lat temu „Gazeta Wyborcza” twierdziła, że jestem faszystą. To dla mnie wygodne – od 30 lat uważają mnie za faszystę i już nic gorszego wymyślić nie są w stanie, bo dawno temu zgrali swoją najmocniejszą kartę. Próbowali to potem naprawiać i przez czas jakiś byłem dla nich „kato-talibem”, ale to była karta dużo słabsza od karty „faszysta”.

Najwięcej głosów w pierwszej turze zdobył kandydat „Ktoś-inny-nie-PO/PiS”. Resztę wzięli Nawrocki z Trzaskowskim. Naród jest podzielony na trzy grupy o zbliżonych rozmiarach – coś jak trzy odrębne ludy na jednym terenie. Nie stanowią wspólnoty narodowej. Nie oszukuj się, człowieku. Masz coś wspólnego z Trzaskowskim? Obaj mówicie tym samym językiem, ale to za mało, by być wspólnotą. Macie paszporty wystawione przez to samo państwo, ale to za mało. Tak jak za komuny, gdy naród

dzielił się na „my – oni”. Przed wojną podobnie – mogłeś mieć paszport wystawiony przez to samo państwo, ale Żyd na polskim paszporcie nie odczuwał wspólnoty narodowej z Polakami.

Teraz też nie jesteśmy już jednym narodem, choć śpiewamy ten sam hymn. Ja np. odczuwam więcej wspólnoty z Meksykanami niż ze skrzeczącą komunistką Senyszyn – z nią nie mam NIC wspólnego, choćbym się bardzo starał znaleźć. Z Trzaskowskim też mnie nic nie łączy poza niechęcią. Z kolei on sam nie chce mieć absolutnie nic wspólnego z wyborcami Brauna – powiedział to jasno i za tę rzadką chwilę prawdy w jego ustach jestem wdzięczny. Nie cierpię kłamliwej formuły: „Będę prezydentem wszystkich Polaków”. Żaden nie był, choć wielu tak twierdziło dla fasonu.

Niechęć do kandydata to nie jest łącznik, lecz podział. Wobec Trzaskowskiego moje emocje są spójne z moimi przemyśleniami na chłodno – ten facet jest obrzydliwy. Z okazji jego poprzedniej kampanii prezydenckiej zrobiłem klip wyborczy, w którym sięgam ręką do kibla, wyciągam kulkę papieru, rozwijam, a tam napis „Trzaskowski”. Ludzie byli zniesmaczeni – uważali, że przesadziłem. Czy ktoś jeszcze tak uważa dzisiaj? Po prostu wypuściłem tamten filmik o 5 lat za wcześniej.

Lewactwo ewoluuje. Komorowski to był „zły wybór”, Trzaskowski pięć lat temu to był „bardzo zły wybór”, a dzisiaj

ten sam Trzaskowski to „wybór obrzydliwy i niedopuszczalny”.

Jedna trzecia wybrała opcję „Ktoś-inny-nie-PO/PiS”. Dla tej grupy druga tura to już nie będą wybory demokratyczne, gdyż ta grupa będzie głosować pod przymusem na kogoś, kto im się nie podoba. Aby wybory kwalifikowały się jako demokratyczne, muszą być wolne, a w drugiej turze nie ma wolności wyboru – są jedynie POZORY wyboru. Jeżeli nie pójdę głosować, to pomagam Trzaskowskiemu, a jeżeli pójdę głosować, to muszę dać głos Nawrockiemu, który mi nie odpowiada – ten układ to nie jest wolny wybór!

Szczególnie trudno mają katolicy. Zostaliśmy zapędzeni w sytuację bez wyjścia i zrobił to Trzaskowski – w kampanii wiele razy mówił, że jest zwolennikiem swobody w mordowaniu dzieci nienarodzonych. Katolik nie ma wyjścia, katolik MUSI zapobiegać takim rzeczom jak dzieciobójstwo, czyli katolik musi dać głos na Nawrockiego, aby odebrać głos Trzaskowskiemu. Druga tura to nie są wybory, a jedynie głosowanie – niczego nie wybieram, a jedynie przebiegam w opcjach, które wcześniej odrzuciłem.

Zwycięzca drugiej tury nie ma mandatu społecznego. Ma tylko władzę. Jego władza jest konsekwencją pozostającą w mocy, ale nie da się mówić o mandacie społecznym. Po drugiej turze zwycięzca ma prawo mówić jedynie o tym, że dostał poparcie tylu głosów, ile ugrał w turze pierwszej. Tamte głosy były prawdziwym odzwierciedleniem poparcia. Czyli niezależnie, który z nich wygra, będziemy mieli prezydenta, którego poparła zaledwie jedna trzecia narodu, a dwie trzecie chciały kogoś innego. ©©

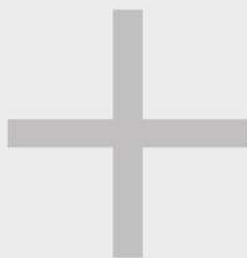
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„BAJECZNA CHORWACJA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1403~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Inwestuj w uczciwość!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Inflacja, podatki,
tania energia
– czas mówić prawdę
o gospodarce.”*

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.